

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

ZMYSŁY

Nr 4 (85) Zielona Góra 2023 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



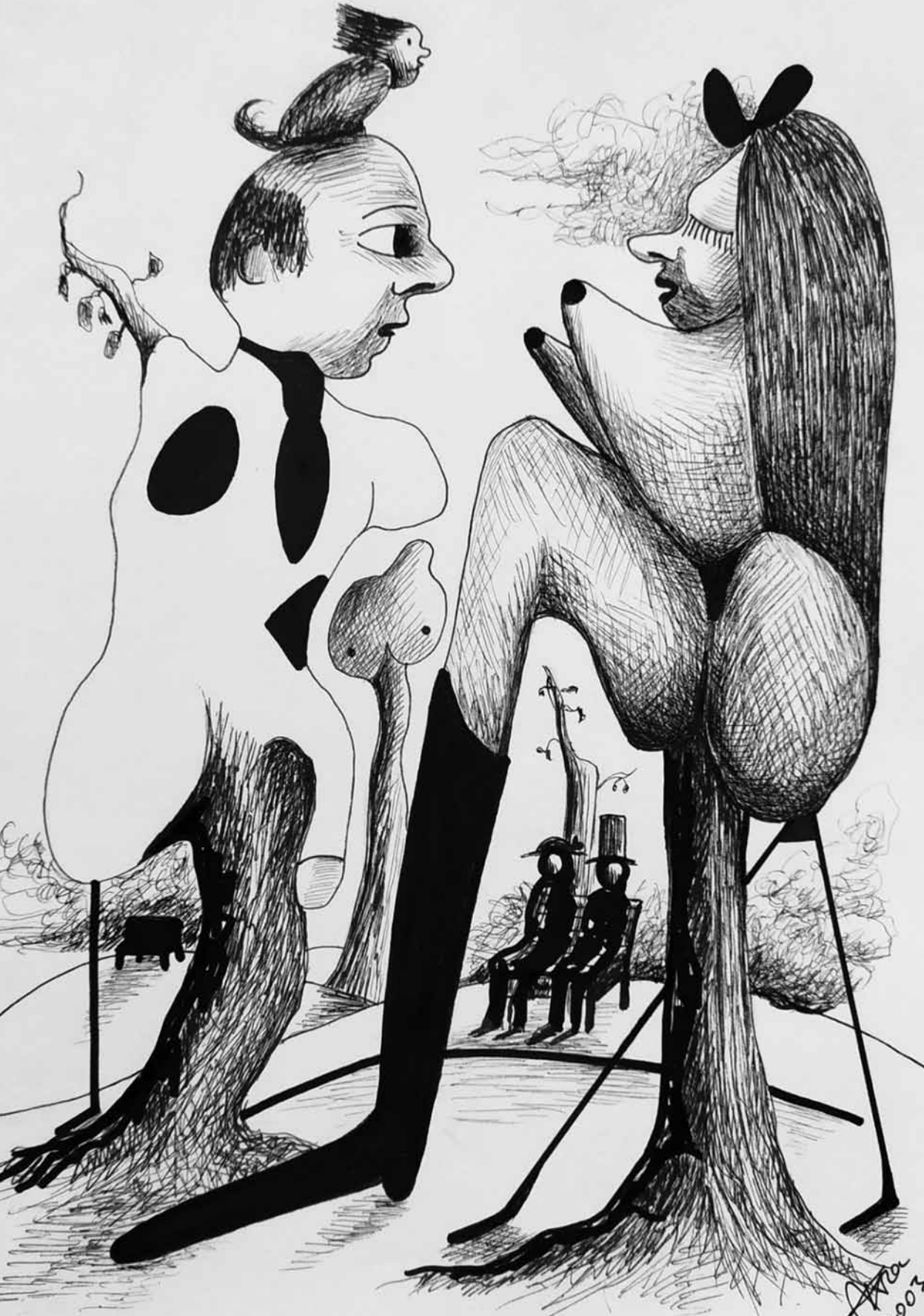
Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

W numerze wykorzystano prace Andrzeja Troca

Copyright by

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2023

Redakcja

Andrzej Buck (redaktor naczelny), Ewa Mielczarek (sekretarz redakcji), Mirosława Szott, Joanna Wawryk, Adrian Lokś (redakcja techniczna strony internetowej prolibris.net.pl)

Stale współpracują

Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak

Fotografie

Archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Agnieszka Ginko-Humphries, Katos, Aneta Michałowska, Anna Polak, Krzysztof Subocz, Tomasz Żurek

Wydawca

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru

Danuta Morawska

Druk i oprawa

GRAF MEDIA

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji

WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl www.wimbp.zgora.pl www.prolibris.net.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

BIBLIOTEKA
NOR
WID



Lubuskie
Warte zachodu

Od redakcji

Nie ma dwóch osób, które by jednakowo odebrały fragment świata i na niego tak samo zareagowały. Ponadto nie usłyszymy dwa razy tego samego koncertu, ani nie zobaczymy tej samej wystawy. W każdej chwili nasze zmysły odbierają mnóstwo bodźców, zmieniając sposób reakcji. Kora mózgowa wyławia je i selekcjonuje. A wybór jest dokonywany poza naszymi świadomymi decyzjami. Czy nie jest to fascynujące?

Tytułując najnowszy numer „Pro Libris” ZMYŚŁY, domyślaliśmy się sporego odzewu, ale nie przypuszczaliśmy, że temat w takim stopniu zainteresuje nasze Autorki i Autorów, i stanie się katalizatorem wielu zmysłowych tekstów. Zestaw materiałów, które zaprezentowaliśmy w numerze, jest jak zwykle mocno zróżnicowany. Na łamach pisma gościmy wybitnego współczesnego poetę, Józefa Barana, który przesłał nam swoje leśne rozważania. Prezentujemy najnowsze wiersze m.in.: Karola Graczyka, Jolanty Fainstein, Agnieszki Leśniewskiej, Jarosława Barańczaka. Blok prozy otwiera intrygujące opowiadanie Patrycji Mierzejewskiej pt. *Kulki*. Wśród tekstów znajdują Państwo też fragmenty przygotowywanych powieści (Maria Jolanta Fraszewska, Marek Krukowski) i treściwe, autobiograficzne *Zapiski* Czesława Sobkowiaka. Zachęcamy do zapoznania się z tekstem Mirosława Kuleby, który zapoczątkowuje swój autorski cykl *Obrazki z wystawy*, snując opowieść o pięknej beduinie z obrazu Aleksandra Laszenki. Tym razem refleksje o mocy muzyki (ukazane w tle) przedstawił w formie dialogu Władysław Edelman.

W dziale ZBLIŻENIA umieszczona została rozmowa z prof. Piotrem Kładocznym – językoznawcą, który zajmuje się konceptualizacją zmysłów w twórczości wybranych pisarzy i pisarek. Natomiast w dziale VARIA Weronika Nawrocka poruszyła temat oddziaływania synestezji. Z kolei swój tekst, dotyczący sztuki *Kształt rzeczy* Neila LaBute’a realizowanej w Lubuskim Teatrze w 2008 roku, zaproponował Piotr Prusinowski. Zwyczajowo też publikujemy relacje z imprez i wydarzeń literackich (Małgorzata Grelak, Agnieszka Ginko-Humphries).

Zachęcamy do zapoznania się z rekomendacjami i omówieniami książek w dziale krytycznoliterackim. Znajdą tu Państwo obszerną recenzję prof. Małgorzaty Mikołajczak, dotyczącą debiutu literackiego prof. Marty Ruszczyńskiej. A ponadto: ciekawe spojrzenie na tomik Ewy Lipskiej (Jerzy Madejski), wnikliwe słowo o *Bruzdach wyrytych rydwanem* (Czesław Sobkowiak), w końcu też – zaczepny tekst o debiucie Patrycji Mierzejewskiej (Rafał Gawin). A to i tak nie wszystko, gdyż oferta tekstów jest dużo bardziej obszerna.

Tym razem swoich prac do zilustrowania zmysłowego numeru użył Andrzej Troc. Mamy nadzieję, że docenią Państwo te surrealistyczne przekształcenia świata. O jego twórczości i działalności piszą w numerze Dariusz Bareya i Iwona Peryt-Gierasimczuk.

Warto dodać, że tym numerem „Pro Libris” otwieramy 7. edycję Konkursu Debiut Pro Libris – jego regulamin znajdują Państwo na końcu pisma. Prosimy pamiętać o Festiwalu Literackim im. Anny Tokarskiej PROZA POETÓW – jest jeszcze mnóstwo interesujących wydarzeń w kolejnych dniach listopada.

Spis treści

Józef Baran , Wiersze z cyklu <i>Prosto z lasu</i> [Każdy zamknięty w swoim lesie, Echologia leśna, Za trudne lekcje]	6
Patrycja Mierzejewska , Kulki	10
Karol Graczyk , Wiersze [Piwnice i wyjścia, Bilans zysków i strat, Doliny i wzgórki, Śniadania i kolacje w różnych okolicach]	14
Krzysztof T. Dąbrowski , Doświadczając tego stanu, ładnie pachnieć i smakować, Rozkosznie upiornie splątanie	18
Jolanta Fainstein , Wiersze [dla mojej ukochanej klitoris, kobietom żyznego półksiężyca, nie mogła wybierać, a co ty na to]	19
Maria Jolanta Fraszewska , W siódlach namiętności. Wirtualni ulicznicy (fragment powieści)	23
Agnieszka Leśniewska , Wiersze [prawda; donikąd, zewsząd...]	30
Czesław Sobkowiak , Zapiski	32
Marcin Stefaniak , Wiersze [*** nie udzielam odpowiedzi..., Dreszcz, Niccość]	37
Joanna Kapica-Curzytek , Maskarada	40
Grażyna Rozwadowska-Bar , Wiersze [*** gdy odchodzi człowiek..., *** wybrałaś się...]	41
Władysław Edelman , Tańcz mnie	44
Jarosław Barańczak , Wiersze [Pszczoty, Smak na języku]	45
Karolina Barczak , Afterlife	47
Agnieszka Ginko , Wiersze [W środku, Beksa-lala, Jagody]	51
Barbara Maria Wauben-Czekalska , Trzepanie dywanów	54
Władysław Klępka , Wiersz [Patrząc...]	56
Ryszard Jasiński , Laura i Filon	57
Wojciech Śmigieński , Wiersze [Elegia, Gobelin purpurowy, Gdy rozstrzyga się los, Nie przypomina gwiazdy]	60
Marek Krukowski , Apatia (fragment)	64
Ewa Franków , Wiersze [Lejtmotywy, Usłyszeć Carcassonne, Vincent]	67
Rafał Krzywiński , Głucha	70
Roman Krzywotulski , Wiersze [*** może kiedy..., *** biegałem...]	72
Mirosław Kuleba , Córka ben Brahima (z cyklu „Obrazki z wystawy”)	74
Adam Bolesław Wierzbicki , Wiersze [Zmysły, Zanurzeni w lato]	78
Natalia Haczek , Cytryna	80
Agnieszka Moroz , Wiersze do suszenia włosów	82
Marcin Mielcarek , Najgorętszy język na wschód od Łaby	85
Elżbieta Dybalska , Wiersze [Brama, Promień]	92
Jolanta Fainstein , 100%	94
Władysław Łazuka , Wiersze [W maju, Noc, Lato, Zima]	98
Grzegorz Puł , Śniadanie	102
Andrzej Nowak , Wiersze [Czary wiary, Erotyk na dotyk, Ości z przeszłości, Wary od pary]	104

ZBLIŻENIA

Poznanie zmysłowe z perspektywy językoznawcy. Z prof. Piotrem Kładocznym rozmawia Mirosława Szott	108
Małgorzata Grelak , Pomiędzy edycjami. 9 (12). edycja Kozzi Film Festiwal. Kozzi – Pieczka – Chęciński 2023	112
Agnieszka Ginko-Humphries , Inspiracja i integracja, czyli cykliczne spotkania dla poetów i pisarzy w Bibliotece Norwida	118

VARIA

- Weronika Nawrocka**, Operowanie obrzydzeniem, czyli o oddziaływaniu synestezji i dwóch przykładach z polskiej literatury współczesnej 122
- Julia Kruszakin**, I. Sztuka 125
- Piotr Prusinowski**, Między sztuką, miłością i manipulacją. O sztuce *Kształt rzeczy* Neila LaBute'a i jej zielonogórskiej inscenizacji w reżyserii Szymona Kuśmidra 127

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

- Anna Polak, Paweł Karp**, Fenomen żarskiej fary. O tym, jak nauka otworzyła drzwi turystom. Z cyklu: Żarski zakątek tajemnic, cz. III. 130

PREZENTACJE

- Andrzej Mikołaj Troc. Artysta surrealista – samouk 134
- Dariusz Bareya**, Andrzej Troc – Klejnot, drzewo, ptak 135
- Iwona Peryt-Gierasimczuk**, O Andrzeju Trocu... 137

RECENZJE I OMÓWIENIA

- Detektywka i tajemnice Kołobrzegu
- Marta Ruszczyńska, *Diabeł i panna* (**Małgorzata Mikołajczak**) 138
- Jak bije sens?
- Ewa Lipska, *Wariacje Goldbergowskie* (**Jerzy Madejski**) 142
- Cień współczesności
- Jarosław Barańczak, *Bruzdy wyryte rydwanem* (**Czesław Sobkowiak**) 143
- Bliskość po katastrofie
- Patrycja Mierzejewska, *Wchłaniania żelaza* (**Rafał Gawin**) 145
- To ja mam rację
- Magda Turska, *Szczęśliwostki* (**Czesław Sobkowiak**) 147
- Wiersze jak tatuaże
- Natalia Sztegner-Jaskulska, *Poezja dojrzewająca w słońcu* (**Joanna Marcinkowska**) 149
- Przebudzenie poezji po długoletniej drzemce
- Grażyna Rozwadowska-Bar, *Obudzone wiersze* (**Robert Rudiak**) 151
- Minimum słów, maksimum smutku – o dwóch tomikach poetyckich Joanny Marcinkowskiej
- Joanna Marcinkowska, *Czarne motyle; Przebudzenia* (**Agata Kostrzewska**) 154
- Dobrych myśli nigdy za wiele
- Lidia Jasińska, *1 pocatunek + 1 obrót klepsydry* (**Mirosław R. Kaniecki**) 156

KSIĄKI NADEŚLANE 158

AUTORZY NUMERU 159

DEBIUT PRO LIBRIS – VII edycja 167

13. FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ [program] 168

Józef Baran

Wiersze z cyklu *Prosto z lasu*

Każdy zamknięty w swoim lesie

każdy zamknięty w swoim lesie
zasadzonym przez lata własnymi rękami
co rozrósł się zgęstniał zarósł ścieżki dróżki
biegnące radośnie w stronę słońca

przedzieramy się przez liany minionych zdarzeń twarzy
pohukiwań dobiegających z odległych głusz
mrocznieje wieczór i gwiazdy nad głową
jakby coraz bardziej zamknięte na klucz

Czarnawa, sierpień 2023

Echologia leśna

W czarnawskim lesie
wieczność igra z nicością
pod postacią przeźroczystej wałki

początek bawi się
z końcem
w chowanego
nawołując go zza pni

skutek pyta o przyczynę
lecz słyszy tylko
echo
własnego wołania

a wody życia płyną i płyną
ciemne nabrzmiące wody
pod korzeniami dębów i sosen

Za trudne lekcje

na tej leśnej polanie
sobie a muzom
akrobatki wiewiórki
skaczą z gałązki na gałąź

szemrze strumyk
cichą pieśń pojednania
i pokaz chwili
daje rój motyli

a brodaty chór świerków
poszumem błogim
ucisza w sercu niepokój

w prześwitach sosen
srebrzą się leśne bogi pajęczki
snujące rozgwiązdy
swych mikrokosmosów

spadają żołądźcie z dębów
wszystkie bez imienia własnego

wdzięczą się
brzozy wiotkie
kropla w kroplę do siebie podobne
gęstwą
paprocie i trawy
a także zioła wszelakie
o listkach i łodygach identycznie
anonimowych

pod sosną
kopczyk cheopsa
wznosi kolektywnie
mrówczy narodek
nie oczekując
za swój trud
indywidualnej
nagrody

tu
w tym lesie
gdzie wszyscy są stąd
struga leśna
odbija moją
nie tutajszą
twarz
ludzkiego przybłądy

co zdziwiony nieodmiennie stwierdza
że na darmo pobiera
te lekcje
milczącej
zgody
na bezimiennosc
życia i umierania

bo to jednak
wciąż za trudna lekcja

stale będzie ze mnie wysterkał
gen pojedynczości
domagając się
ciągu dalszego
pod tą samą postacią
z tym samym imieniem
i to koniecznie
wiecznego

Borzęcin-Czarnawa, wrzesień 2023

Kulki

Po trzech dniach namysłu doszłam do wniosku, że ktoś mnie musiał urodzić z litości, innego wyjścia nie ma. Z litości, na ten przykład, dokarmia się czasem kulawe psy. No więc czemu nie, można też było powiść takiego dziwoląga jak ja. Zastanawiam się czasem, komu do łba strzeliło takie poświęcenie. Z pewnością nie była to Babka, bo każdy głupi na tym świecie wie, że babki nie rodzą wnuków. Mam pewne podejrzenia, zwłaszcza w stosunku do jednej sąsiadki, która nader często, bo aż trzy razy w roku, częstowała mnie ciastem. Przypadało to na święta i w moje urodziny – skąd niby miałyby wiedzieć, kiedy je obchodzę? Lecz o tej Jadzi z naprzeciwka, ale trochę po skosie, to później.

Z kolei Babka z litości podzieliła się ze mną imieniem – symetrycznym, więc łatwo było ciachnąć. Byłyśmy tak biedne, że nie stać nas było na dwa osobne. A tak ciach i jest. Dwa imiona z tych samych liter, teoretycznie można przeglądać się w sobie jak w lustrze. Ale jak wiadomo, teoria do praktyki ma się jak pięść do oka, to nijak nam to nie wychodziło. Nie byłyśmy ani podobne, ani różne. Nigdy nie udało nam się ustalić, która jest An, a która Na. Pilnowaliśmy obie, żeby nikt się nie dowiedział o ostatecznym dowodzie naszej skrajnej biedy. Kiedy wychodziłyśmy z domu, jedna pożyczła drugiej swoją sylabę i tak oto można było paradować po wsi w pełnym imieniu. Dobrze nam poszło, nabrałyśmy wszystkich.

Problemem bywała niedzielna msza, na którą zawsze musiałyśmy się pofatygować w duecie. Szczęśliwie cała uwaga kościoła skupiała się w pierwszej kolejności na sołtysie, bo jego córka zawsze robiła aferę. Jako dziecko darła się wniebogłose już przed kazaniem, jako nastolatka nosiła tak krótkie spódnice, że zjadani przez korniki święci odwracali głowy. W drugiej kolejności do skupiania uwagi był ksiądz, bo każdy się bał, że dostanie za coś imienny ochrzan z ambony i później trzeba będzie świecić gałami przed sąsiadami, a w ramach pokuty wygłancować klechową furę. Dzięki temu udawało nam się nie zwracać na siebie uwagi. Bieda i nieszczęścia mają to do siebie, że dla innych są przeźroczyste.

Uwagi nie zwracać udawało mi się zresztą całkiem długo. Babka, dopóki mogła, trzymała mnie w obejściu. Nawet kiedy grzebała w grządkach, a tłuste dżdżownice wiły się w jej palcach jak niedzielny makaron w rosole, kątem oka sprawdzała, czy nie przekraczam zakazanej linii płotu. Brakowało tylko, żeby do szyi przypięta mi łańcuch, ten co został po Burku, którego chuć pognała ostatniej wiosny i nigdy nie wrócił. Kiedy ktoś pytał, czemu nie chodzę nad staw, do innych dzieci, odburkiwała tylko, że jestem opóźniona. Odburkiwała, znaczy była niemiła, bo gdyby ktoś nie wiedział, to Burki jednak szczekają, a nie odburkują.

Tak czy inaczej, dopóki nie przylazł babsztyl z gminnej komisji i nie orzekł, że jednak nie jestem aż tak opóźniona, żeby nie iść do szkoły trzy lata po terminie, dopóty nie znałam niczego poza podwórkiem, drogą do kościoła i sklepu oraz lasu na tyłach gospodarstwa, dokąd trzeba było chodzić zbierać jagody latem, a grzyby jesienią. Babka nie miała wyjścia, chcąc uniknąć pewnych jak amen w pacierzu kłopotów, pierwszego września ubrała mnie w najlepszą bluzkę oraz zaopatrzyła w oręż – miotacz obronny, naładowany słowem „spierdalaj”. Miałam nim ciskać zawsze, gdy próbował się do mnie zbliżyć ktoś oprócz nauczycielki czy księdza. Przez parę dobrych tygodni broń okazała się zupełnie bezużyteczna, bo wsiove bachory po prostu ignorowały moją obecność. Miały swoje bandy i sojusze, a ja mogłam przypatrywać się wszystkiemu z boku, pierwszy raz widząc, jak to wszystko działa. Kłopoty, jak to z kłopotami bywa, przyszły i tak, tylko odroczo-

ne w czasie. I przypadły w udziale nie Babce, a mnie. W okolicach Zaduszek, kiedy trzeba hakać groby jak grządki, okazało się, że podczas przerw mogę zapewnić rozrywkę zdecydowanie tańszą niż lizaki ze sklepu.

Wsiowe bachory nie znały umiaru, przestawały tylko wtedy, gdy w zasięgu wzroku pojawiali się ksiądz lub nauczycielka. Ta druga przynajmniej udawała, że im zabrania takich wybryków. Bąkała pod nosem bzdury, że nie wolno tykać słabszych. Znaczą silniejszych chyba można, ale co to za atrakcja samemu finalnie dostać łomot. Ksiądz nawet nie udawał, że reaguje. Syknął mi kiedyś nad uchem: „dobrze ci tak, szatański pomiot”. Nie wiedziałam, co to pomiot, ale chyba nic fajnego. Może więc na to wszystko zasłużyłam, skoro szatan miał coś z tym wspólnego. Pytałam później Babki, ale nie chciała mi wyjaśnić, kazała się zamknąć i iść zamykać podwórko. Szło mi całkiem nieźle – trudno, żeby było inaczej, skoro w domu miałam taki wspólny przykład.

Babka świetnie zamykała pod dywan. W sumie to zachowywała się głupio – bo z jednej strony zawzięcie stamtąd wszystko wymiatała, a w miejsce tych kłębków kurzu i drobinek piasku utykała rzeczy, o których nie chciała mówić. Kiedy myślała, że nie patrzę, wypluwała dyskretnie słowa w dłoń, ugniatała z nich kulki i siup pod chodnik. Kulki chyba były turlane na drożdżach, bo z czasem zaczynały wyrastać. Podnosiły dywan, tworząc śmieszne wybrzuszenia. Lubiłam leżeć na brzuchu i patrzeć, jak się wydymają. Im bardziej patrzyłam, tym bardziej się wydymały. Jak rybie brzuchy tamtego lata, co pijany sąsiad spuścił wodę ze stawu i wszystkie karpie pozdychały. Chyba z gorąca tak spuchły, bo nie podejrzewam, że od wodorostów, te raczej nie są ciężkostrawne. Chociaż nie wiem, nigdy nie próbowałam. Trochę mi się chciało płakać, gdy tak patrzyłam na te ryby otwierające bezgłośnie pyski w błaganu o ratunek. Ale jak wiemy, dzieci i ryby głosu nie mają, więc ratunek po prostu nie mógł nadejść. I to niczyja wina.

Od gorąca puchną zresztą różne rzeczy, nie tylko rybie brzuchy i drożdże. Babce, na ten przykład, puchną nogi. Przestaje być widać kostki, a ja muszę zaparzać wtedy pokrzywę, bo stara leży z kopytami do góry i każe się obsługiwać. Przestaje nawet dziabnąć w ogródku, co się wydarza jeszcze tylko w przypadku burzy. Jęczy do tego tak, jakby na te spuchnięte nogi miała umrzeć jak karpie. Niedoczekanie. Raczej moje niż jej.

W końcu zorientowałam się, że i ja puchnę, ale inaczej niż Babka i ryby. Puchłam niewidocznie, nikt nie był w stanie tego zauważyć. Kiedyś poskarżyłam się starej, że mnie w środku wszystko uwiera. Kazała mi przestać gadać głupoty, stanąć przed lustrem i zobaczyć, że wyglądam tak samo. Chyba miała rację, bo faktycznie nie dostrzegłam żadnej różnicy. A jednak wrażenie nie tylko nie chciało mnie opuścić, ale rosło z miesiąca na miesiąc. Najpierw myślałam, że coś zeżarłam, lecz musiało chodzić o coś innego, bo latanie za chałupę nic nie pomogło. A i tak to jeszcze nie wszystko.

Każdego poranka puchło mi coś w gaciach od pizamy, a co gorsza było to całkiem przyjemne. Wystraszylam się nie na żarty, bo jak coś jest przyjemne, to zawsze zwiastuje kłopoty. Po trzech dniach namysłu, trzęsąc się ze strachu, postanowiłam jednak udać się z tematem do Babki. Sprawa gaci w naszym domu była od zawsze omijana szerokim łukiem, stara więc dostała furii, kiedy próbowałam zapytać, co mam z tym zrobić. Złała mnie ścierą i zabroniła dotykać miejsca między nogami, poza wypadkiem cosobotniej kąpieli i wizyt w wychodku. Wprowadziła też nową zasadę – żadnego korzystania ze szkolnej toalety, od teraz mam załatwiać się tylko w domu. Nie wolno kusić losu.

Los jednak został i tak skuszony, bo zakaz Babki spowodował, że któregoś dnia po prostu nie wytrzymałam i posrałam się w gacie. Pani nauczycielka wysłała mnie do domu, a następnego dnia zaczęła lekcję od tego, że nie wolno tak robić. Przy okazji dowiedziałam się, że nie mówi się „srać”, że to chamsko i niewskazane publicznie. Publicznie to raczej wcale na ten temat, a jak już mus, to mądrze, czyli defekować. Całą drogę powrotną do domu powtarzałam w myślach nowe słówko „defekować”. Znaczą się robić kupę. Tylko w wersji ą, ę – butkę przez bibułkę. Muszę być teraz kulturalna, bo jadę do wielkiego miasta, zupełnie zapomniałam o tym wspomnieć.

No więc wyjeżdżam. Nie wiem, czy bardziej nie mogę uwierzyć w to ja, czy Babka. Wyjazd załatwiła Jadzia. Mówiłam od początku, że coś jest z Jadzią na rzeczy. Miała wtyki w szkole, jej kuzynka jest sprzątaczką. I tak przy okazji ścierania kurzy i podlewania paprotek biedna kobiecina stała się świadkiem tego, co mnie na tych szkolnych korytarzach spotyka. Nawet było mi jej trochę szkoda, że musiała na to patrzeć. Co sobotę przychodziła pomóc Jadzi w obejściu i chyba zabrakło im w końcu wioskowych tematów bieżących, skoro zaczęły gadać o mnie. Skutek był taki, że Jadzia się przejęła i zaczęła urabiać Babkę.

Babka rzucała się jak wesz na grzebieniu, Jadzia przychodziła trzy dni z rzędu i tłumaczyła jej jakieś różne, zawiłe rzeczy. Nie mogłam za bardzo podsłuchiwać, bo każały mi wychodzić na podwórko i zamykały szczelnie okno. Słyszałam tylko podniesione głosy i strzępki słów, że to koniecznie, bo jak się dowiedzą, to mnie zabiją. Sztachetą od płotu albo tulipanem. Albo, co gorsza, puszczą chałupę z dymem i starej się też nie upiecze, albo właśnie wręcz odwrotnie. Jak znam Babkę i życie, to zadziałał ten drugi argument.

Tak więc postanowione, od września, to jest zaraz po wakacjach i zbieraniu jagód, jadę do internatu. Grzyby ogarnie sobie Babka sama. A w zasadzie – szkoły z internatem, bo o to pierwsze głównie chodzi. Jak już się zaczęłam uczyć, to muszę skończyć, nie ma rady. To szkoła tylko dziewczynska, więc żadne wiosne chłopaki nie będą mnie okładać po głowie, co z jednej strony było pocieszające, a z drugiej jednak dziwne. Bo jak to tak, z samymi babami? Z samymi, bo to na dodatek klasztor żeński, znaczy się księży w wersji damskiej. To dopiero jaja, albo właśnie wręcz odwrotnie. No trudno, może się przyzwyczaję.

Babka uznała, że w klasztorze będę tak samo przeźroczysta jak w kościele, więc muszę poradzić sobie z moją jedną sylabą, nie ma takiej opcji, żeby pożyczyla mi własną. Mogę sobie za to wedle uznania przedstawiać literki, droga wolna. Specjalnie dla mnie kupiła dwie wyjściowe bluzki od obwoźnego kramarza, o rozmiar większe, żeby starczyły na cały rok. Prosiłam o dwa numery różnicy, bo bałam się, że opuchlizna da o sobie w końcu znać też i zewnątrz, ale stara stwierdziła, że plotę bzdury i ma nadzieję, że mi zakonnice te banialuki z głowy klęceniem na grochu wybiją. To trochę durny pomysł, bo groch można zjeść, z kapustą na ten przykład. Może Babce już ze starości zaczyna się mieszać we łbie, kto to wie.

Do miasta odwiozła mnie Jadzia, Babka wykręciła się reumatyzmem, który po prawdzie faktycznie wykręca, ale myślę, że akurat tym razem nic jej w kościach nie łamało, bo pogoda była dobra, ciepło i sucho w powietrzu. Stojąc przy płocie, chciała chyba wykonać jakiś gest w stylu pogłaskania mnie po głowie, ale skończyło się na nerwowym tiku, który przeobraził się w machanie na odchodne. Trochę to było dziwne, tak jechać w autobusie koło Jadzi, która na dodatek przypatrywała mi się uważnie i wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Może i ona puchła od środka, może to jakaś tajemnicza choroba, na którą chorują wszyscy mieszkańcy naszej wioski, tylko nikt się nie przyznaje i do lekarza nie lata.

Kiedy wysiadłyśmy na rynku, Jadzia obwieściła, że idziemy na lody. O mało nie padłam z wrażenia, bo Babka nigdy nie pozwalała jeść lodów, mimo że wszyscy przez całe lato wcinali je jak opętani. Kiedy siedzieliśmy nad pucharkami, Jadzia obwieściła poważnym tonem, że to najwyższa pora, żeby ktoś ze mną porozmawiał. I żebym się nie gniewała na Babkę, bo ona nie umie. Może by i umiała, ale nie chce, bo ma złe doświadczenia. Ale o tym później. Wydało mi się to dziwne, bo kto to widział rozmawiać z dziećmi. Może w mieście jest inaczej, może tutaj wolno.

Jadzia wiedziała o moim puchnięciu. Nie, nie tym od środka, tego nawet ona nie zauważyła, chociaż taka mądra. Chodziło o moje majtki. Kolejny dowód na to, że mogła mnie urodzić, bo kiedy indziej niby miałyby mnie widzieć bez gaci. Powiedziała, żebym na razie za dużo się nad tym nie zastanawiała. Bo to nic nie da i puchnięcie nie ustąpi. Jak już nie będę w ogóle mogła wytrzymać, to mam iść do toalety i zadziałać instynktownie. Instynkt kojarzył mi się mętnie z Burkiem i chucią, więc wolałam nie dopytywać. Tylko nikomu, jak coś, o tym ani słowa. Co w toalecie, zostaje w toalecie. To akurat była bardzo słuszna uwaga.

Przełożona zakonnica o wszystkim wiedziała i miała pilnować, żeby nikt się mnie nie czepiał. Coś z tym zrobimy, ale dopiero jak przyjdzie pora. Jeszcze nie teraz, bo jest za wcześnie, a jednocześnie już za póź-

no. Jadzia gadała jak potłuczona, a najlepsze miało dopiero nadejść. Brat Babki miał to samo, wyobraźcie sobie. O mało nie spadłam z krzesła. Babka nigdy nie mówiła o bracie, tylko o siostrze, co ją Niemcy zabili podczas wojny. No więc to nie była siostra, tylko brat. I nie Niemcy, tylko swoi, i nie w naszej, a w innej wiosce. Nic nie rozumiałam, mimo tego, że byłam w mieście, jadłam lody i od tych dwóch rzeczy powinienam z automatu zmądrzeć, a przynajmniej dorosnąć.

Jadzia obiecała odwiedzić mnie co czwartą niedzielę i wyjaśniać różne rzeczy. „Nie wszystko na raz, bo ci głowa spuchnie” – tak powiedziała. Miałam już serdecznie dosyć puchnięcia, więc wcale mi się nigdzie nie spieszyło. Pomyślałam, że może tu, daleko od wioski, trochę mi przejdzie.

U zakonnic nie było tak strasznie, jak sobie wyobrażałam. Co prawda Babka miała rację z tym grochem, ale zdarzało się to tylko czasem, gdy ktoś nabroił i cała klasa musiała iść do kaplicy odmawiać różaniec w ramach pokuty. Podobało mi się, że cierpiałśmy wtedy wszystkie, że Bozia ani nikogo nie wyróżniała, ani nie oszczędzała.

Co piątek, w ramach świętowania Męki Pańskiej na Krzyżu, zaraz po obiedzie, miałyśmy się spowiadać, znaczy wyznawać grzechy. Nie podobało mi się to wcale, bo zdążyłam się już przyzwyczaić do obecności samych kobiet. Pojawianie się spowiednika, znaczy mężczyzny, niechybnie zwiastowało kłopoty. Ten, co przychodził słuchać naszego stękania, był tak stary, że pewnie swoich przewinień już nie pamiętał, więc musiał się karmić naszymi. Ślina kapłała mu na ornat, kiedyśmy tak po kolei szeptały mu do ucha.

Zawzięłam się i postanowiłam, że nie będę mówić. Nic a nic. Ani słowa o puchnięciu, ani tym bardziej o instynkcie. To, co mnie uwierało, wypluwałam w dłonie i w drodze do konfesjonatu upychałam pod dywan przed ołtarzem. Kiedy czekałam na swoją kolej do spowiedzi, padałam na kolana. Że niby taka żarliwa jestem i najpierw chcę się pomodlić. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, bo wszystkie uczennice robiły w majty ze strachu, co tym razem mają powiedzieć. Ja miałam wyuczone całe dwa grzechy – zapomniałam odmówić pacierza i nie słuchałam przełożonej. Amen.

Podczas nabożeństw widzę czasem, jak dywan się wydyma. Zerkam wtedy na siostry, czy też to zauważają. Te jednak wpatrują się w księdza jak w jakiś obrazek. Cierpliwie czekam, aż przyjdzie pora i pewnego gorącego dnia kulki dojrzeją. Sfermentują całkiem i wyrosną większe niż drożdżowe baby na Wielkanoc. Wydostaną się spod dywanu, przetoczą przez ołtarz, poprzewracają figury świętych, wyleją wino z kielichów i powybijają szyby w kaplicy. Przedostaną się za mury, wszyscy będą stali jak wrzyci, kiedy eksplodują prawdą na klasztorным dziedzińcu.



Piwnice i wyjścia

Dla Lemniskaty Bootha

Jest ciemno. Jesteśmy zamknięci każdym oknem
i wszystkimi drzwiami. Kiedy próbuję je otworzyć,
zamieniają się w mur, który może odgrodzić albo
stworzyć dom. Biorę wtedy rozbieg i uderzam w ścianę.

Ściany nie czują bólu, stoją niewzruszone.
Słyszę zza nich piękną muzykę i czekam,
aż ktoś otworzy. Drzwi, usta, oczy, butelkę.
Kiedy nikt nie otwiera, zamieniam się w mur.

Im zimniej jest na zewnątrz, tym cieplejsze wewnątrz.
Krew krąży powoli, miarowo, do celu. Powtarza cykle.
Zza małego okna widać przestrzeń zbyt dużą,
żeby ją ogarnąć. Zostaję w bezpiecznym miejscu.

Nic nie ma za żadnym oknem i żadnymi drzwiami.

Bilans zysków i strat

Wychodząc z piwnicy można upaść na bruk,
w międzyczasie wielokroć przechodząc przez próg,
który dotąd nie istniał albo był nieznany.

Przechodząc najlepszy czas suchymi stopami
po grząskim gruncie, jesteście wygrani,
do czasu, kiedy czapki nie spadną nam z głów.

W słowniku można znaleźć całą masę słów,
ale żadne z nich nie powie całej prawdy,
jak stanie w ciszy tuż obok fontanny,
trzymając w rękach wszystkie rozwiązania.

Bilans zawsze wychodzi ujemny,
nikt z nas nie pchał się na świat.
Niewiele zyskujemy, kiedy się rodzimy,
umieramy samotni, jak wszystkie rośliny.

Doliny i wzgórki

Nie zabij się wieczorem, nie rób tego rano,
bo każda porażka jest tylko przegraną.
To jakbyś poddał najważniejszy mecz.

Żadna choroba i stan nie są tego warte,
póki coś trwa, ciągle daje szansę,
jak rozwarte ręce, miłość albo śmierć.

Póki żyjesz, przeżywasz tylko stany,
możesz posolić lub zaszyć wszystkie rany,
później zostanie ci tylko zagadkowe nic.

Jeśli jednak wejdiesz w tę ciemną dolinę,
próbuj z niej wychodzić, chodź na krótką chwilę,
a kiedy w spokoju poczujesz swój stan,
zamknij oczy – idź tam, gdzie nie będziesz sam.

Śniadania i kolacje w różnych okolicach

*So if you want to love me,
Then darlin' don't refrain.*

Powietrze najlepiej pachnie w okolicach września,
w białych kolorach. Później będzie tęcza.

Nic nie smakuje lepiej od krótkich momentów,
w których twoje palce wplatały się w moje.

Nic nie tłumaczy lepiej długiego wieczoru,
niż żółć zmęczonych oczu otwieranych rano

po wspólnych papierosach palonych na tarasie.
Kiedy budzi nas budzik, dość niespodziewanie,

nie ma już czasu na wspólne śniadanie,
obiad czy kolację. Coś innego za chwilę się zacznie.

Wszystkie poduszki w mieście straciły swój zapach.

Doświadczając tego stanu

Biorę tabletkę inicjującą. Następnego dnia lekko zaokrąglą mi się brzuszek. Po tygodniu jest wielki jak balon.

Mdli mnie i co chwilę biegam do toalety. Na dodatek mam dziwne zachcianki kulinarne i bardzo wyzulony węż.

Ciekawe doświadczenie, ale mało przyjemne.

Ten stan będzie trwał, póki go nie przerwę.

Gdy zaczynają boleć plecy, zażywam tabletkę cofającą.

Z dnia na dzień symulant ciąży zanika, a ja jestem bogatsza o nowe doświadczenie – współczuję kobietom sprzed stu lat, tym bardziej że musiały się męczyć przez dziewięć miesięcy, a potem ten koszmary poród...

Teraz wystarczają pojedyncze komórki od rodziców, a sztuczna macica we wszystkim człowieka wyręczy.

Ładnie pachnieć i smakować

Nauka poszła do przodu. Zapachologia genetyczna również.

Ludzie mogli się nie myć, a i tak pachnieli – na dodatek tak, jak lubili.

Pojawili się tacy, którzy chcieli pachnieć jak gorąca czekolada lub inne słodczyce.

Potem to poszło jeszcze dalej – dzieciaki zaczęły nałogowo dłubać w nosach, bo ich rodzice chcąc zaoszczędzić na słodczych, zamówili aktywację genu sprawiającego, że smarki będą miały słodki smak.

Skutkiem ubocznym modyfikowania było to, że ludzie jak pachnieli, tak smakowali – odkryli to ci nerwowie, z tendencją do obgryzania skórek i paznokci.

Gdy katastrofa zniszczyła technologię, nastał wielki głód – po kilku dniach ludzie zaczęli się nawzajem zjadać. Na dodatek ze smakiem.

Rozkosznie upiorne splątanie

Zakochali się – to było jak grom z jasnego nieba i... w tej samej chwili z błękitu przestworzy w najbliższy blok huknął piorun.

Tydzień później wylądowali w łóżku.

Ona trzęsa się z rozkoszy. W tym samym czasie na sąsiedniej wyspie miało miejsce trzęsienie ziemi.

Gdy on doszedł, na ich wyspie wybuchł wulkan.

Tak było za każdym razem, ale jakoś tego z sobą nie łączyli.

Pewnego razu on postanowił wywołać u niej kobiecy wytrysk. Gdy mu się to udało, ich okolicę nawieździła ogromna powódź.

On dalej ją pieścił, aż zatracając się w rozkoszy, miała wrażenie, że przestała istnieć – Ziemię pochłonięła czarna dziura.

dla mojej ukochanej klitoris

najbardziej boli odgryziona kobiecość
nie tylko w krainie bezimiennych waris dirie
boli za każdym kęsem
ręką prawa
najbardziej bolesna jest jednak zawsze ręka innej odgryzionej
kontynuatorki tradycji
t r a d y c j i
czyniącej w imię boga i prawa
za nachalnym przyzwoleniem niektórych
za cichą zgodą chcących spokoju
świętego
święty spokój gwarantuje pokój
bez wybroszyn
a nawet leczy histerię
i chroni głowy rodzin
przed rozwiązłością ukochanych

kobietom żyznego półksiężycy

przyklejone na pot
ubranie do pleców
to wcale nie jest
taki los
bad luck
to jest
pech
historii
geografii
kultury
apokalipsa w imię jedyne

nie mogła wybierać

nosiła holistyczne ubranie
czarne z poliestru
rozpoznać ją można było po butach

mogła pomarzyć aby zniknąć
z powodu udaru
od oblepiającego ciepła
ugotowanego powietrza
parującej wody
utopiona potem
poparzona oddechem
od awitaminozy

oblazł ją
wzrok czarnych oczu
w śnieżnobiałej bawełnie

a co ty na to

że jej nagie kolano
będzie atrakcją
dla owadów
i otarć
żadne wilgotne oko
nie prześliznie się
przez gorące powietrze
wydychane przez obce usta

Maria Jolanta Fraszewska

W sidłach namiętności. Wirtualni ulicznicy

(fragment powieści)

Przez pół dnia oddawałam się rozkoszy nieistnienia. Jak to się robi, gdy nic się nie robi? Nie wiem. Leży się. I nagle telefon przerwał tok przestrzennej pustki.

– Co robisz? – usłyszałam męsko brzmiący głos w słuchawce.

– Czekam na zmiłowanie boskie – odparłam, jakby to był atak. – Czekam na wybaczenie – ciągnęłam nędznie. Jak już raz wejdzie się w niespełniony nastrój, tak od razu z niego się nie wyskakuje.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – pograżałam się dalej.

– Telefonuję do ciebie nie po to, aby prowadzić monolog – głos uderzał mnie po membranie ucha. Jak-by błędne ognie mnie opętały. Czas najwyższy, aby mu się odegrać.

– Brum, brum, brum – zawyłam chybotzącym głosem.

– Jezu! Zdurniałaś.

– Prawie.

Nie, nic więcej nie mów. Nie mów, bo szkoda słów. Słowa będą opadały, niżej i niżej, a ty wraz z nimi jak płonące po raz ostatni liście. I wylądujesz gdzieś w nieznanym miejscu. Zanim zorientujesz się gdzie, będzie już po wszystkim. Ponownie znajdziesz się w pustce. Samotność jest wtedy, gdy nikt do ciebie nie telefonuje. Nabywasz aparat telefoniczny, instalujesz go, wydajesz pieniądze i czekasz. Siadasz przed aparatem i lustrujesz go wzrokiem. Ładny, estetyczny, w twoim typie. I co jeszcze przychodzi ci do głowy? Że w twoim typie, estetyczny i ładny. Sama go wybierałaś, a on milczy jak mężczyzna. Przestań już milczeć! Przecież mówię do ciebie!

– Nie wierzę ci.

– Nie wierzysz?

– Nie. Znowu będzie tak jak poprzednio.

– Jak?

– Tak jak poprzednio...

Odłożyłam słuchawkę. Bezwzględne telefony. Odbierają spokój w każdym momencie, w każdej chwili. Wiem, że przegram, bo przyzwyczałam się do przegranej. Rozkosz jest chwilą, może tylko wyobrażeniem. Zaskoczenie rozchyła swą nagłość. Rozpina skrzydła namiotu chwili. Chwila brnie w chwilę. I za chwilę przeminie. Za chwilę oddajesz siebie. Potem szukasz powrotu. Nie możesz znaleźć, gdyż nie ma tej samej drogi odwrotu. Powrót nie istnieje. Powrót jest takim samym odkrywaniem jak przyszłość. Wciąż idziesz do siebie przed siebie. Czym różnią się powroty od odwrotów? Powrócić do ciebie mogę, ale odwrócić ciebie już nie mogę. Nie mogę odwrócić się od ciebie. Moje pożądanie odwraca się od ciebie i powraca do ciebie. Mknę i gnam do ciebie. Ilekroć się zatrzymuję – tracę oddech. Ilekroć tracę oddech, odwracam się od ciebie. A powrotu już nie ma...

2.

– Czemu milczysz? Czemu znowu milczysz!?

– Milczę... Słucham twego oddechu. Nie chcę przerywać jego rytmu, gdyż jestem w twym rytmie oddechu. Poszukuję tam siebie. Nasłuchuję, jak gubisz mnie za skałami, jak usilnie odcinasz się od mojego echa...

– Jesteś moim echem, cieniem i światłem.

– Jestem światłością, gdy leżę przy tobie. Płonę i błyszczę, gdy odchodzisz, tłę się zaledwie.
– Przecież jestem.
– Jesteś w słuchawce telefonicznej. Tam zamieszkałeś.
– Nie! Jestem przy tobie i zawsze będę!
– Będziesz tylko to mówić. Mówił do słuchawki telefonicznej. To ona czuje twój oddech. To na niej skrapla się tlen i wodór. To ona chłonie wodę, ślinę z twych ust. To ona pije twoje usta. To wszystko ma ona. Nie ja. To ona teraz zagląda ci w oczy. To ją teraz trzymasz w objęciach, parzysz ją swoimi dłońmi. Ja jestem daleko... daleko.

Gdzie jestem? Czy jestem w odwrocie? Stałam się odwrotna. Stoję do góry nogami. Podglądam go. Jaki on zabawny. Ścisła słuchawkę w rękę i milczy. Zagryza wargi. Wyciąga brodę, naciąga skórę szyi. Wyglądałby całkiem dostojnie, gdyby nie te zęby.

Nie chcę twoich telefonów. Nie chcę! Dlatego odłożyłam słuchawkę, dlatego odłączyłam aparat od sieci. Nie będę na linii. Nie będę jak linoskoczek chybotać w powietrzu. Ja potrzebuję przestrzeni.

3.

– Uwiązałeś mnie.
– Przecież wiesz, w jakiej jestem sytuacji.
– Jesteś zaplątany w sytuację.
– Nie ukrywałem tego. Wiesz od samego początku. Wiesz wszystko.
– Wiem, że musisz być uwiązany, zaplątany, zasupłany, pogrążony. Musisz się wyplątywać, wyszarpywać, wciąż mobilizować energię.

– Nie przesadzaj.

– Myślisz, że przesadzam?

– Tak. Telefonuję do ciebie w każdej wolnej chwili, kiedy tylko mogę.

– Właśnie. Telefonujesz do mnie w chwili wyżebranej z... chwili wyrwanej.

Chwila z odzysku, z odwrotu. Ułatwia ją wyjście z psem lub z dzieckiem na spacer. Chwila w chwili. Chwila złożona z przypadku. W przypadkowej chwili powinnam być w domu, aby móc usłyszeć jego głos.

– To ja będę telefonował. To ja mam interes w tym, aby cię zastać.

– Masz interes w tym, aby mnie zastać... Ja takiego interesu nie mam?

Ty rządysz i panujesz, ty się liczysz... ze sobą. I rozliczasz. Ja przyjmuję i odbieram telefony.

Telefony są bezgłośne. Krzyczą tak, że ich nie słychać. Potrafią milczeć. Ich życie wyznacza jeden terkot na chwilę. Jeden krzyk rozpaczy. Jeden donośny krzyk.

– Tak? Jestem. Jestem i czekam.

– Mówiłem ci, nie czekaj. Żyj tak, jak żyłaś. Żyj tak dalej.

Dalej? Czy istnieje jeszcze jakieś dalej? Czy jest coś bardziej odległego niż głos w słuchawce telefonicznej?! Tocz się dalej jak twoje życie. Tocz się dalej z górki i pod górkę jak odwroty i powroty. Może się zdarzyć, że nie zdążysz uskoczyć, gdy natrafisz na kamień. Dzień jest bardzo krótki, bo złożony z chwil. Dopiero odwrotnie, w mrokach nocy zaczniesz spadać w sen. Pobiegniesz odwrotnie i na zapas zawiśniesz z nogą uwiązaną w linie bungee.

4.

Nie pamiętam, która chwila składa się ze snu, a który sen z chwili?

Nie pamiętam chwil składających się na moje życie. Wiele nie pamiętam. I nie chcę odzyskać pamięci.

Czy jest ktoś, kto zapyta, czego chcę? Czy będę miała szansę jeszcze raz odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcę odzyskać pamięć?

Chcę odzyskać pamięć, chcę pamiętać. Chcę żyć i zapadać w sen. Śnić z poczuciem rozkoszy jego trwania. Chcę, aby dzień istniał, ale niekoniecznie muszę pamiętać, że kiedyś należałoby się obudzić.

Czy do obudzenia się potrzebna jest mi pamięć?

Nie jest mi potrzebna pamięć do tego, abym pamiętał o mnie. A więc nie jest mi pamięć potrzebna. Powinam obyć się bez pamięci. Powinam wiele rzeczy zrobić w życiu. Powinam też spać. Powinam zasnąć. Moją powinnością jest sen. Głęboki i stabilny. Sen.

Będę śnić. Dlatego nie zasnę. Będę przyglądać się z uwagą, z jaką prędkością mkną chwile. Jak wydłużają się i zapadają w siebie. Gdy nastąpi już tylko taki moment, że chwila pozostanie już tylko jedną chwilą, zasnę, nie wiedząc nawet o tym.

5.

Mogę znowu wyjść na ulicę. Biegiem na ulice! Dzień wstał, niezależny i piękny.

Nie, nie, zacznę od skradania się. Będę szła powolutku i wszyscy ludzie będą patrzeć na mnie. Wszyscy ludzie. Nawet tam, w tłoku, wśród obcych i nieznanymi mi ludźmi nie ukryję swej samotności. Uczucie to zostanie tam wzmożone. Poczucie samotności paraliżuje mnie do tego stopnia, że czuję się drętwa. Sztymna. Nie bój się, nikt cię nie zobaczy, jesteś nikim, taką samą przezroczystą szatą przyodziana jak inni. Po nikim wzrok przebiega nieustannie, ale też niezauważalnie.

Ulica. Ruch. Oczy. Szkliste bezdenne monitory. Nawet ich powieki są przezroczyste, nieistniejące, nie przykrywają światła. Wyzywają je na szermierkę. Słowo na słowo. Pierwsze zdanie i odwrót.

Świat staje się bardzo ruchomy i chwieje się w nieprzewidywalnych momentach.

Wydaje się, że nikt cię nie zna, aż nagle słyszysz:

– Cześć, jak tam? Dawno cię nie widziałam.

– Co za spotkanie...

– No to lecę, śpieszę się, wiesz, jak to jest.

Wiem, jak to jest. Wychodzę i wracam w to samo miejsce. Jestem wśród ludzi, jestem otoczona ludźmi. Wszędzie ich pełno, cała masa, zalewające potoki ludzi...

Ludzie chodzący wokół siebie, dookoła, wte i we wte, mieszają się ze sobą. Cześć. Uśmiech. Zażenowanie. Powodzenia. Dzień dobry, co słychać. I już mnie nie ma. Witaj i znikaj. Co dalej?

Pełno ludzi, nie ma wolnego miejsca, swobodnego, brakuje słów do wypełnienia wolnej przestrzeni. Słowa i wyrazy. Uwyraźnij się. Pokaż, co potrafisz. Pokaż siebie, tylko siebie, swoje życie. Przecież jesteś, przecież żyjesz.

Włączam komputer. Jest droższy od telefonu. Cenniejszy. Wchodzę na ulicę wirtualną. Nikt mnie nie widzi. Widzą tylko to, co chcę, aby widzieli. Widzą mój nick, moje pseudo-imię. I ja ich widzę. Czy na pewno? Kogo tam widzę? Co to jest t a m?

Tam to jest mrok, który tętni iluzją.

6.

Światło przedziera się zaułkami ulicznymi krętych schodów nocy. Przeciska się niepostrzeżenie dla ciebie. Uderza w ekran. Otwiera się krawędź przestrzeni. Wystarczy ją schwycić, kliknąć, pociągnąć. Jest. Niewielka klamka współczesnego świata. Naciskasz, delikatnie muskając palcami obłoczek wirtualnej myszy. Doskonale dopasowana do dłoni, tak byś ją czuł w objęciach chłodu materii.

Nie istnieje nic, a jednak istnieje wszystko. Przeglądasz się w monitorze jak w lustrze. Przeglądasz się w przestrzeni, która nie istnieje w rzeczywistości twego realnego życia. Wybierasz się po omacku na spacer. Zaglądasz z zaciekawieniem.

Tak! Jesteś odkrywczą!

Dzień tańczy przed tobą, ponętnie wierzgając biodrami.

Wchodzisz w tłum. Szary, bezbarwny, nieistniejący. Nieistniejący?

– Cze, masz chwilę?

– Mam.

– To fajnie.

– Fajnie.

– Poklikamy?

– Poklikamy.

– Skąd jesteś?

– Stąd.

– Skąd?!

– Z drugiej strony.

– Co z drugiej strony? A gdzie masz pierwszą?

– Po pierwsze, mam chwilę i ją trzymam.

– Jesteś nawalona?

Nie zdążyłam się nad tym zastanowić, gdy wskoczyło kolejne okienko. Okienko apletu.

– Może seks?

– Gdzie?

– Może być u ciebie.

Jezu, o co tu chodzi? Jestem chyba kompletnie durna. Ale powoli, powolutku...

– Jesteś tam?

– Zastanawiam się.

– To gdzie mieszkasz?

– A to moja sprawa.

Oczywiście moje zastanawianie się nad całą tą nietypową dla mnie sytuacją rozmówca przyjął jako zastanawianie się nad owym nieskomplikowanym przecież wyborem miejsca dokonania owej możliwości.

– Hej, jesteś zainteresowana seksem wirtualnym?

– Hej, to znaczy jakim?

– Przez telefon, chcesz? Daj numer.

– Chyba nie tym razem. – Spojrzałam na swój nick. *Zakręcona*. I co się tu dziwić poszukiwaczom przygód.

– Sorry, pa, malutka.

– Pa.

Małeńka karuzela, następnym razem obejdzie się bez mdłości. Nie wsiada się do pojazdu, nie zapinając pasów bezpieczeństwa, tym bardziej, gdy nie da się przewidzieć prędkości poruszania.

7.

Tu nieskończoność ogranicza się do jednej szklanej tafli monitora komputerowego. Bo tu przecież panuje królestwo innej świadomości. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie wielkości ziemi ani tego, że horyzont się załamuje. Skąd wiesz, że nasz ludzki świat już nie jest wirtualny. Może świat jest wirtualny, nie jest rzeczywisty...

W monitorze jest świat wirtualny, a przed monitorem jest świat rzeczywisty, tak to wygląda z mojego punktu widzenia. Mój mózg jednak tego nie czuje, a moje ciało nie czuje, że to, co widzę, jest nieprawdą. Widzę obrazy i szukać ich mogę w nieskończoność, szukać obrazów, których nie jestem w stanie sobie teraz, ani nie byłam w stanie przedtem, wyobrazić. Ciało jest opakowaniem duszy, mojej energii.

My, ludzie, dopuszczamy do świadomości sferę duchową. Nasz organizm nosi energię, jesteśmy ubrankiem dla energii. Nie mam wątpliwości, że żyjemy tak szybko jak przemijające chwile. Czas płynie wartkim nurtem i jak rwąca rzeka porywa nas w życie. Tylko gdzie jest to życie? Czy to ja tworzę życie? Z komputerowych pro-

cesorów wypływają potoki, wysyłają dwie wartości. On i ona. Ona i on. Jest prąd i nie ma prądu. Są razem i już nie są. Tu jesteśmy my, ludzie. A tam to jest matematyka kantowska. Pełny elementarz granic rzeczywistości.

Bo przecież nie mogę usłyszeć płynącego oddechu. Nie usłyszę też, jak odbija się w tle pogłosu realnych ścian pokoju echo mego głosu wypowiadające twoje imię. Bez telefonu nie usłyszę brzmienia swego głosu wpadającego do twego ucha. Bez obrazu nie zobaczysz moich ust wypiętych brzmieniem tonu wypowiadania twego imienia.

Na zegarze moich ust wypisana jest tęsknota. Wargi wypowiadają oczekiwanie. Nie interesuje cię, kiedy pragnienia wypłyną w słowach. Tylko ja wiem, że gdy je napiszę, w słowie zawrę świadomość. Ty tego wiedzieć nie będziesz. Nie zobaczysz moich ust wydętych dźwiękami złożonych z liter brzmiących imieniem, symbolem tak sprzęgniętym z tobą.

8.

– Cze. Pogadasz? – W okienku pojawił się *Darek*, nie w całości, zaledwie imię.

– Cze. Skąd jesteś? – Zerknęłam w moje okienko. Zalogowałam się w dwóch pokojach. Zawsze zmieniam nicki. I w pokojach, i w ciągu dnia, i w trakcie zwykłego zalogowania. Nie chcę być rozpoznawana. Nigdy nic nie wiadomo, mój nick tymczasowy: *Daria*.

– Skąd jesteś?

– Hahaha.

– Co w tym pytaniu jest zabawnego? – Może to jakiś świr albo zalany. Bez różnicy i tak na jedno wychodzi.

– Napisałyśmy je razem. Ty mi, a ja tobie.

– Wspólna ciekawość.

– (Emotikon: uśmiech) nio. Więc skąd jesteś?

– (Emotikon: uśmiech) zg.

– Ha.

– Aha – poprawił się.

– Czy to twoje prawdziwe imię? – Skoro ja się ukrywam...

– Tak, daczego...

– Różnie to bywa...

– A twoje?

– Nie.

– A twoje jakie jest?

– Uwierzysz, jeśli podam?

– Tak.

– Nie podam.

9.

Kim jestem dziś? *ONA*-zg. I wszystko jasne, choć nie do końca. Na szklany monitor wskoczyło okienko. Pojawiła się nazwa nic mi nie mówiąca: *Tongs*.

– Cze. Ile masz lat?

– 35 – Na dzisiaj to fakt, co się będę szczypać. Na zbędne pisanie nie mam czasu. – A ty, ile masz lat?

– Jak powiem, że mam mniej, nie będziesz chciała pewnie klikać.

– Nie wiem. To zależy.

– Od czego?

– Oczywiście od... wieku. Więc ile masz lat?

– 23. No i?

- Niezły wiek.
- Do czego?
- Do wielu rzeczy.
- O czym poklikamy?
- Powiedz coś o sobie.
- Wygląd czy charakter?
- Jedno i drugie.
- Wysoki, szczupły, włosy blond. 180, może troszkę więcej. Ponoć zdolny, inteligentny, ale leniwy.
- Studiujesz?
- Matmę. Dalej?
- Tak.
- Bywam czasami wredny, raczej niewiele mówię.
- Niewiele teraz słyszę.
- Bo niewiele mówię.
- Zgrabne.
- Teraz ty.
- Co?
- Wygląd, charakter, czy jesteś mężatką...
- Nie za wiele naraz?
- Napiszesz coś o sobie?
- Dziś nie mam ochoty.
- A na co masz?
- Na delikatność.
- Czy coś się stało? Bo zabrzmiało tak, jakbyś miała nieciekawą dzień. Szkoda, że przez monitor nie można przytulić.
- Trafieś.
- I szkoda, że nie jestem z Zielonej Góry. Ale w tygodniu będę w Zielonej i jeśli ci się humor nie poprawi...
- Chyba jesteś sympatyczny.
- Może jednak będziesz miała ochotę na spotkanie?
- Jesteś bardzo młody.
- No i co?
- Co: no i co?
- Że jestem młody?
- To, że jestem starsza.
- Tak bardzo ci to przeszkadza???????
- Troszkę, a tobie?
- Chciałbym cię poznać.
- Czemu?
- Zaintrygowałaś mnie.
- Nie było czym.
- A jednak.
- Przekonaj mnie.
- W tym chyba nie jestem najlepszy.
- Trudno. Pa.
- Zaczekaj.

– ?

– Jak masz na imię?

– ?

– Po prostu, kobieta na tyle szalona, żeby rozważyć chociaż możliwość umówienia się z chłopakiem o ładnych kilka lat młodszym musi być niezwykle interesująca.

– Aga.

– Marek. Miło mi (emotikon: uśmiech).

– Prawie mnie przekonałeś.

– No i?

– Co cię interesuje w kobietach?

– Kobieta musi mieć w sobie jakiś ogień. Nie chodzi o to, że to musi być jakaś laska, musi mieć w sobie urok, zaciekać tak, żeby patrzeć w jej oczy i móc się zatracić.

– Marku, czego poszukujesz na czacie?

– Szczerze?

– Tak.

– Siedzę tu, bo się nudzę.

– Nudzisz się, gdyż jesteś normalnym człowiekiem. Zazdrościsz ci.

– A przy okazji poznaję ludzi. Pewnie już cię nieźle zanudziłem.

– Lubisz poznawać ludzi?

– Tak.

– Masz przyjaciela?

– Zrozumiałaś chociaż część z tego, co napisałem...?

– Co miałabym zrozumieć albo i nie?

– A o co pytałaś?

– Teraz o przyjaciela. Czyli o to, czy jesteś dla kogoś wartościowy, bez skojarzeń partnerskich, tylko ogólnoludzkich.

– Mam i 3 mamy się od podstawówki. Każdy za pozostałego dałby się pociąć.

– Po co?

– To taka przerośnia.

– Wiem, ironizuję.

– (Emotikon: uśmiech) Będę w środę w zg. Masz ochotę się spotkać? Odpowiesz?

– Nie umawiam się z tak młodymi facetami.

– Przyzwyczajenia można zmienić.

– A ty, czy umawiałaś się ze starszymi kobietami?

– Jeszcze nie.

– A o czym chcesz ze mną rozmawiać podczas spotkania?

– Wyjdzie z czasem.

Słusznie. Wszystko wychodzi z czasem. Nie ma innego wyjścia. Chciałam skrócić czas jak wstążkę wplątaną w wieczność obaw? Bo przecież głupszego pytania raczej zadać nie mogłam. Tak prosto w oczy powiedzieć: o czym taki młody facet może rozmawiać ze starszą kobietą? Skoro wiek jest bez znaczenia...

prawda

gdy tylko nasze ciała
przestały się miarowo zgniatać,
opowiadał

gdy byłem mały,
mówiła do mnie: kotku puszysty,
ptysiu miętowy; i masował
swoje długie nogi,
włoski na nich sprężyste,
jak świeżo skoszony trawnik,
targał

beźmiar czułości,
którą siebie obdarzał,
przerażał

to ona go otworzyła na to ciemne światło
jej obecność czułam pewnie, coraz głębiej,
jak się wkrada powoli

pragnęłam błysku,
chwilowej choćby aureoli,
leżałam na baczność, przed jego matką,
naga jak prawda.

donikąd, zewsząd...

cóż warta jest poezja?
trupi szept kogoś, kto po trzykroć nie żyje,
ostatni szczebel w długiej drabinie,
czuła coda filologa.
gdy wiersz spływa coraz ciężej, głębiej
jakby sam ojciec pełził po dnie rzeki, jak to on
zawsze pod prąd.
i gdy już nie można srebrnym piórem wiosła
zagrozić jej obręczy.

cóż warta jest poezja?
od lizania brudnej, zimnej szyby
nie przybędzie blasku śniegu,
od bielienia błota, światła...

i otwiera gdzieś nogi zaropiała ziemia
i rodzi diament. na nim skazę,
i jest diament, i go nie ma...
i jest diament.

Zapiski

Tablica

Czas Mieczysława Warszawskiego

Po latach życia, wszystkich wtajemniczeniach, przygodach młodzieńczych, po latach literackiej pracy, wielu etatowych zajęciach, wydanych książkach, teraz, kiedy już go nie ma, przyszedł czas poetyckiego powrotu Mieczysława Warszawskiego. Pod koniec maja tego roku została odsłonięta pamiątkowa tablica z fragmentem jego wiersza, umieszczona na fasadzie publicznego domu wiejskiego w Laskach Odrzańskich. Wytrwałe starania środowiska literackiego okazały się w końcu skuteczne. Poeta zasłużył sobie na nią. I teraz jego postać uobecnia się we wspomnieniach, w pojedynczych, cennych zdaniach licznych osób, bo wielu go znało. Po milczeniu i poniekąd zapomnieniu, które jest dla pisarza zawsze czyścicowce, mamy ten ważny dla twórcy powrót. Także fotograficzne ujęcia w zbiorze pośmiertnym *Nic ponad* pokazują jego życiową linię od dziecięcych do późnych lat. I ponownie stało się ważne, jakie książki autor wydał, jak realnie żył, że zdobywał nagrody, gdzie publikował, że uporządkowanie cechowało kształt jego pisma, jak postępował, rzeczowo i skrupulatnie, i co mówi się o nim, o jego obyczajach i charakterze. To wszystko jest też zawarte w treściowo bogatym faktograficznym filmie Roberta Rudiaka. A w radiowym dyptyku reportażowym Cezarego Galka okazało się czymś fascynującym, autentycznym, prawdziwym, żywym. Audycja piękna, bez patosu, o poecie i zarazem zwyczajnym człowieku, borykającym się z wieloma codziennymi problemami. A przecież i będącym twórcą dużej miary, którego margines ani manowce nie zagarnęły. Pijącym chętnie piwo pod parasolem „Żywiec” w ogródku piwnym, niedaleko Teatru i pod łaskawą mu gruszą w Laskach z kolegami. I zarazem umiał Mietek jako twórca poddać to wszystko, co doświadczone, swoje i nie swoje, lirycznej refleksji. Wspominają go z niejakim zapałem i fascynacją jego bracia, Henryk i Jerzy, i koledzy po piórze, i ci miejscowi, co pod gruszą w Laskach pili z Poetą piwo. Teraz cieszą się, że mogą mówić o Mietku jako bliskim, swoim. Że biegł do domu, gdy naszła go wena, bo coś koniecznie na kartce musiał zapisać, jedną, dwie linijki, dwie zwrotki i wracał potem do nich, znowu do picia piwa i rozmowy. Teraz są chętni czytać jego poezje, nie takie znowu proste. Wielu coś mówi o życiu Warszawskiego. Najczęściej w pozytywnym tonie i znaczeniu. Tak. Był społecznie niedopasowany, przekorny, wrażliwy, świadomy swojego „ja”. Ale i lubił przyjaźnie odnosić się do ludzi, nawet mało sobie znanych. Zbierał oryginalne słowa do wierszy, pożyczzał pieniądze w pewnych miejskich okolicznościach. Nigdy nie zapominał sumiennie, co do grosza, je oddawać. Taki drobiazg. Zachowywał się po swojemu, pracował w różnych firmach, nie lubił kwiatów bardzo konsekwentnie i nikt nie wie, dlaczego tak było, a powód musiał istnieć. Układały się lub nie układały jego prywatne sprawy. Coś go bolało, męczyło, miał dosyć trudne usposobienie. Egotyczny, ale nie do końca. Także wrażliwy na innych. Gdybyśmy nie trafili do tego samego liceum przy ulicy Chopina, to wtedy bardzo odmiennie potoczyłyby się nasze życiowe drogi. Ale spotkaliśmy się. Teraz jest czas legendy Mieczysława Warszawskiego. Niech rośnie.

I

Wbić się w bezimienną chwilę piękną. W elementarną cząstkę czasu, w to wszystko, co ona wyznacza i co wyposaża ją. W te kilka sekund doraźności, które przenika wieczność.

Dni lipca i piołun

Obracają się ostatnie dni lipca. Na pustkowiach rośnie i pachnie piołun. Niewiele potrzebuje do życia. Lubi suche i dosyć jałowe miejsca. Na takich mu dobrze. Urwałem malutki listeczek i spróbowałem jego palącej gorzkości. Mocna. Poza tym zauważyłem, że niektóre krople podobne są do łez. Albo i są samymi łzami, które przyjmuje ziemia.

Deszcz

Był nad ranem duży deszcz, przez sen słyszałem. Padało. Dźwięczał blaszany parapet. Czułem niepokój, że to może niszcząca ulewa. Pogoda w żniwa gospodarzom ciągle potrzebna, by zebrać ziarno z pól. Zarazem deszcz w suszy potrzebny. Nocny deszcz w końcu uciszył się, zelżał, przestał. I mogłem dalej trochę spać.

Ważne

W sztuce, literaturze czy chodzi głównie o empiryczną prawdę? Nie chodzi. Albowiem co innego jest ważne. Przede wszystkim wewnątrz tego, który tworzy. Również sennie widzenia. Symboliczne obrazowania. Ważne to, by podmiotowo i wiarygodnie, i przekonująco zwrócić się do drugiego człowieka przy pomocy zdań niesprowadzonych do płaskiej dostawności.

Bagiński

Artystycznie ustanowił wysoko swoje miejsce i imię codziennym, wieloletnim wysiłkiem. Jego upór i konsekwencja poglądów na sztukę są godne podziwu. Cechuje je doza uniwersalności i poetycka aura. Mimo późnych lat zdaje się być ciągle młodym, energicznym człowiekiem. Regularnie bywa w pracowni, maluje olejne płótna, obrazy i akwarele. Ostatnio jedne i drugie są dużego formatu. Odbieram je jako swoistą sumę duchową, więc muszą być duże. Jakoś już uwolnione od tego, co uznał za zbędne. Trzeba umieć to dostrzec. Adam jest świadomy zadania twórczego, które realizuje. Jak mało kto. Ceniony jest przez krąg odbiorców, potwierdzających sens tworzenia, który bez wątpienia kiedyś powiększy się. Rozmawiamy przez telefon. Przygotowuje się w zaciszu swojego domu do malowania akwareli. Ma poczucie, że czasu nie może marnować bezczynnością. Kontempluje osobiste życiowe doświadczenia i zdarzenia, by dobrać odpowiednią dla nich paletę barw i kompozycję. Nie wymyśla swojej sztuki, czerpie ją z siebie i to mnie zaciekawia. Chciałby, aby wszystkie jego dzieła znalazły w przyszłości gdzieś stałe, dobre miejsce.

Niedziela

Niedziela, cisza. Sennie, nie jak codziennie. Sercu gdzieś daleko. Bezszelestne drzewa. Ktoś idzie. Dzwon słyhać. Melodia ptasich śpiewów dociera. Drzewa wyglądają młodo. Rymują się liście akacji, gołąb usiadł. Biedronka na liściu. I coś jeszcze...

Miniaturka fuksji

Maleńka fuksja, którą dał mi sporo czasu temu Mietek, nie zaginęła. Stoi w małym plastikowym kubku. Jedna cicha łodyżka. Trochę, ale jednak urosła, może dwa centymetry, trzy. Są dwa nowe listki i wychylił się pomiędzy nich kwiatusek. I dokładnie ten zachwycający efekt widać. Oprócz listków rozchyliły się cztery czerwone płatki, pośrodku nich inne płatki luźno jeszcze zwinięte, niebieskie, tworzą jakiś rodzaj kielicha.

Z tego kielicha wychylają się bordowe, cieniutkie jak nitka pręciki, zakończone kuleczkami. Wszystko ma-
lutkie. I to jest właśnie już arcypiękny kwiat fuksji. Miniaturka póki co. Oryginalny kształt i wykwinna deli-
katność. Liczę, że urosnie.

Czwartek

Wokoło pełno lata. Z dalekiego wiejskiego podwórka dochodzą fale muzycznych melodii. Gra radio. Zapew-
ne towarzyszy jego muzyczne granie gospodarskim, przydomowym pracom lub odpoczywaniu, bo z ja-
kiego innego powodu miałyby być wystawione na dwór. Dzięki tej muzyce lato zdaje się być jakiejś szcze-
gólniejszej urody. Jakby rozleglejsze.

Dziewczyna

Jest gorąco. Rozlewa się szeroko lipcowa ciepłota. Wchodzi do domu. Upał wyściela wszystko. Nasącza
zapachami. Dziewczyny na Kupieckiej odstaniają ciała. Kuse spódniczki ukazują uda wysoko nad kolana.
Krótkie bluzki nie zakrywają brzuchów. Zauważyć można na brzuchach, udach, plecach, ramionach tatu-
aże, które pobudzają jakimiś rysunkami wyobraźnię. Idzie deptakiem. Ma na sobie luźne, krótkie spoden-
ki. Widać, jak ocierają się o majteczki, które są pod nimi lub może nie są. Spodenki przylegają do każdego
centymetra ciała. Że też muszę to dostrzec. I zaciekawiać się.

Ważna książka

Tak się składa, że ostatnimi czasy dużo rzadziej, prawie wcale, kupuję książki, poezję lub prozę. Przyczyna
banalna. Słabe możliwości finansowe. Zdarzyło się jednak, co poczytuję sobie za dobrą przygodę i niespo-
dziankę, że nabyłem dzieło o sporej objętości (stron 280), a mianowicie księdza Andrzeja Draguły pt. *Bóg
Incognito. Kazania z nadzieją*. Byłem na spotkaniu promocyjnym i już po kilku minutach prezentowania tej
publikacji, na którą składają się, jak napisano na stronie czwartej okładki, „komentarze do Ewangelii”,
postanowiłem ją kupić. Właśnie ze względu na rodzaj rozważań uznaję ją za ważną. To mnie przekonało, bo
te „kazania” nie są wcale dewocyjne, nakazowe, nawracające, będące zbiorem przestróg, nakazów, wska-
zań, retoryki upomnień tu nie ma, a mamy do czynienia z głęboko humanistycznym wyjaśnianiem i inter-
pretowaniem zapisanej w Ewangeliach historii zbawienia. Włącza autor logikę teologicznego dyskursu my-
ślowego. Prawdy ewangeliczne i biblijne nie są jednak obciążone patyną przekazu religijnego stricte, ale zo-
stają odczytane i odniesione równie dobrze do codziennego doświadczenia człowieka. Przy okazji rozwa-
żania i interpretacje mają dużo mówiące odniesienia do krajobrazu społecznego historycznego Izraela. Są
nasycone dozą erudycji, ale nie za ciężką. Wzbogaca je Andrzej Draguła przytoczeniami poglądów różnych
myślicieli, filozofów lub świętych (np. Augustyna, Simone Weil). Książka o znaczeniu wiary, słuchaniu Słowa,
o ateizmie, o istocie Trójcy Świętej, Królestwie Bożym, agnostycyzmie, o tym, co boskie, ludzkie, o kry-
zysie w Kościele, uchodźcach na granicy, łamaniu chleba – według rytmu roku liturgicznego. Czasem autor
posługuje się poetyckimi utworami (Tadeusza Różewicza, Wisławy Szymborskiej, Anny Kamieńskiej, Julia-
na Tuwima), wyciąga z nich coś dla swoich uzasadnień. Styl tej książki zachęca, zaciekawia. Każdego dnia
mamy do czynienia z opisanymi dylematami duchowymi, pytaniami i zwątpieniami. W centrum jest tu wiara
i człowiek, i Bóg. Daje to szansę wczytywania się w te nie za długie zresztą teksty. I z pewnością można
z nimi prowadzić wewnętrzny dialog, który rozszerza przestrzeń myślenia. A nawet skłania do polemiki
niejednokrotnie. W gruncie rzeczy odkrywamy ważność tego wszystkiego, co niesie nauka Jezusa z Na-
zaretu: „Żeby zobaczyć siebie, trzeba się dać oświecić” (s. 166). Celne. Bo czy sami siebie możemy? I wiele
innych błyskotek tutaj. To jest ważna książka, przekonywająca. Czytam akurat jedną z istotniejszych jej nar-
racji – *Cud winogron* – pasującą do współczesnych kłopotów z pojmowaniem świętości i cudu istnienia.
I nasze go nazbyt uproszczonego o nim myślenia, gdy marnie rozglądamy się naokoło.

Na poboczach

Na poboczach, skwerach, jakichś przydrożnych placykach, wysypało się sporo drobnych, różnokolorowych kwiatusków – fioletowych, białych, żółtych, czerwonych, o różnych kształtach płatków. Zanurzonych w trawie albo wywyższających się nieco ponad nią. W miastach ostatnio mniej gorliwie tnie się kosiarzami skwery i trawniki i ta bezinteresowna uroda dzikiego stanu natury ma szansę objawiać się urodą. Ktoś wreszcie poszedł po rozum do głowy.

Potrzebne to

Nie jest konieczne ani ważne, aby poeta pisał tylko same wysokie, dobre wiersze, ważnego znaczenia i podniosłej tonacji. Taki lot nie jest możliwy do utrzymania, ale i niepotrzebny. Dobrze, gdy czasami drobne wzruszenie liryczne swoją tkliwością do samej ziemi przybije. Że serce zaboli. Wtedy wierszyk jest wielki. Ujęcia mniejsze, drobne szczegóły, też dużo mówią. Ale. Gdy cały zbiór jedynie z takich ujęć się składa, pozbawiony utworów większej wagi, niosących uogólnienie, jakiś uniwersalny ciężar znaczeniowy, to zbiór będzie się rozpadał. Nie nabierze potrzebnej wagi.

Osty

Ciągle trwa kalendarzowe lato z dostatkiem blasków, półcieni, tchnień, zadiwień. A w zasadzie lata prawie już nie ma, bo wrzesień. Kształty się wypełniły, dźwięki przebrzmiały, owszem, zostały powitane w dobrej wierze. I ucichły. Nie było w nich nic z utrud, wypełniały je wielkości, radości nie na niby, w skwarach, suszach, deszczu, duchocie, trzepocie motyli, gwarze ptaków. I cóż, już koniec, już ta uroda mija. Wolno odchodzi, przechyla się ze swoimi upałam, burzami w jakiś metafizyczny spokój, w chłody wieczorne, w spowolnienie, w inny rytm, obecny na niebie, polach, łąkach, drogach. Czas objawia się teraz smugami i milczeniem. Nostalgiczną poniekąd aurą. Kwitły w sierpniu osty, widziałem je wysokie, ich sny fioletowe, dostojnie skupione, piękne, by objawić wprost, że osty to nie tylko kolce, z którymi należy podstępować ostrożnie, ale i odrębne piękno stworzenia. Jako przypomnienie i upomnienie, że ze wszystkim należy ostrożnie. Na wąskiej ścieżce i w rozległej przestrzeni. W życiu. A zwłaszcza na skrzydłach kolorów, blasków, smaków, zapachów. I tych rozmaitych tchnień ostrożnie.

Pochwała

Wiejscy ludzie, ci ostatni, już starzy, jeszcze czują, że są odpowiedzialni za istnienie i funkcjonowanie świata, najbliższego krajobrazu. Wyznawcy sensu istnienia, w którym tkwi sakralność, co nie jest i nigdy nie była im obca, ale zadziwiająca. Wiedzą więc, że nie wolno jej plugawić. Modlą się o to. Nie stali nigdy z założonymi rękami, ale coś żniwnego, polnego robili. Tak szedł z nimi cały rok. Pola pełne urodzaju, kwiatów i ziół czekały. Wiejscy ludzie. Niczego nie czynią ani pojmują przewrotnie. Żyją przeciw abnegacji i pustce. Ich cechą jest prostota myśli i postępowania. Niekiedy bywają nawet prostacy. Ale nie myślą się w głównej sprawie.

Moja wiara jest

Moja wiara nie jest zdecydowanie wielka. Czasem wyrzucam to sobie. Jest, jaka jest. Nie całym sobą ją wyrażam i czuję. Ogień jej nie przepętnia. Przyznaję. Ale niebo widzę. I też wiem, że nic na pewno. Bałbym się kategoriycznych sądów i osądów. Takich nastawień chcę się strzec. Bo mogą krzywdzić. Za dużo nie wiem, coś czuję, coś wydaje się niemal oczywiste. Właściwe. A nie jest. Jedno z drugim u mnie w równowadze. Gdyby jedno lub drugie było dominujące, to zapewne skrzywiałoby kontemplację istnienia. Dobrze więc, że jest, jak jest.

Henryk

Jego pasja warta cenienia. Corocznie latem przyjeżdża z zagranicy i odwiedza jakąś część Polski – krajobrazy, miasta, wsie, drzewa, łąki, lasy, potoki, miejsca szczególne, architekturę. Zachwyca się i ciekawi. Rozsmakuje się w urodzie polskiej ziemi. Tu znajduje rzeczy bliskie, które wnoszą do jego duszy wzbogacenie tożsamości. Przesłał mi widokówkę o słuchaniu ciszy na malowniczych terenach Narwiańskiego Parku Narodowego, o płynięciu czasu, rzeki i o podlaskich chmurach. Wszystko to bardzo ważne. Nie jedynie turystyczne.

Po

Po blacie okrągłego stolika idzie maleńki jasnozielony robaczek, takie pół milimetra, żywa kuleczka. Drobny ruchami podąża. Samotny. Ma swoje nóżki, oczy, głowę. I całą resztę potrzebną do życia.

A teraz

Jest środek nocy. Ciszka. Włączyłem światło. Czekam na zdanie. Dobrze byłoby coś w tej ciszy znaleźć, nie-zniweczone hałasem dnia.



Nie udzielam odpowiedzi w czerwonym
świetle zamykam pytanie o głębokość powietrza
zasięg światła białego, nierozszczepionego
jeszcze umysłu przed słowem,
graficzną pętlę kręgów
kiedy już uwolnione
namalują dźwiękiem
odpłyną z falą poza,
w nie odpowiedzi na pytanie jednak siedzę
nad rzeką czekam aż przepłynie
we mnie zachwytem, zdefiniowany
kwantem, pulsarem nieba z nieba
z ciebie

Dreszcz

twoje żółte palce zaczynają szarpać
blusa z delty,
o dziewczynie
dreszcz
nie o śmierci,
o jej życiu w domu lalek,
o nadmiarze złej miłości,
o przemianie złota w piasek

Nicość

Piękna przestrzeń,
genialna uporządkowana elementarna doskonałość,
z pauzą przed kreacją,
czekając momentu uwolnienia embrionu wszechświata
łzy z opcją życia

Maskarada

Walc *Maskarada* Arama Chaczaturiana. Utwór powstał jako muzyka do dramatu Michała Lermontowa pod tym samym tytułem. W skrócie jest to historia męża, który niesłusznie oskarża żonę o niewierność, truje ją, a potem sam popada w obłąd.

To także opowieść o tym, że nasze własne obsesje mogą być przyczyną zguby.

Ten z pozoru romantyczny walc doskonale oddaje nastrój narastającej grozy. Początek tego jednak nie zapowiada. Przy tej muzyce tak łatwo sobie wyobrazić, że jestem na sali balowej. Mam na sobie przepiękną suknię w pastelowym, twarzowym kolorze. Znakomicie się bawię, jestem często proszona do tańca. Nikt nie domyśla się, że głośnym śmiechem i beztroską paplaniną maskuję rosnące napięcie. Cały czas czekam, że podejdzie do mnie ten, dla którego na ten bal przyszedłem.

Wstrzymuję oddech. Nareszcie! Zbliży się i kłaniając się, prosi mnie do tańca mój wymarzony partner. Dotyka mnie delikatnie i nieśmiało, wymieniamy uśmiechy i spojrzenia, które mówią i obiecują wszystko. W tych ułamkach sekund rozstrzyga się przyszłość. Czy to nasze spotkanie przerodzi się w przelotny romans, życie rodzinne, zimną wojnę albo kurtuazyjną przyjaźń?

Mój tancerz wpatruje się we mnie, w jego oczach widzę uśmiech i niepewność, czy odpowiem na wszystkie dręczące go pytania. Pojawia się też niecierpliwość, jak gdyby chciał już teraz wiedzieć o mnie jak najwięcej. Tańczymy walca.

Pochłonięta muzyką, nie zauważam, że nagle wkrada się między nas napięcie. Jest jak nagły poryw lodowatego wiatru, który burzy letnią aurę. Czuję silniejszy dotyk, męczyzna przyciąga mnie bliżej. Zgaduję moje myśli, więc z początku się nie opieram.

Ale to nie jest zniecierpliwienie. W nieobecnym, szklistym wzroku coraz wyraźniej rysuje się szaleństwo. Partner coraz mocniej trzyma mnie mocno w objęciach. Nie mam jak uciec... Główny temat walca zapętle się i osacza. Wirujemy coraz szybciej, do utraty tchu, chcę przestać tańczyć, zatrzymać się, mam zawroty głowy, duszę się...

Ci, którzy z boku obserwują nas tańczących, myślą: jaki to piękny romans.



pamięci Janusza Werstlera

gdy odchodzi człowiek
zostawia za sobą czas

i echo biesiadnej rozmowy
w Piwnicy na Ogrodowej

pamiętam żółty blask ognia
płonący w kominku
to tam iskra wierszy
błyszczała jak nigdy

a miasto żyje

na Ratuszu zegar
odmierza godziny

przez deptak
przesypuje się
ludzki pośpiech

wielkie okna kamienic
mają swoje sekrety
cień i światło

mijane twarze
radosne i smutne
na moment
zapominają o nas
zajęte szukaniem
czegoś co jak zwykle
jest najbliżej
pod skórą
każdej minuty

nasze miasto
jest takie
jak było zawsze

pełne cieni przodków
oczekiwań marzeń

i tylko został

osierocony antykwariat
z wypłowiałym smakiem rozmów
w pustej szklance

na mojej półce książki
cicho zamykają
życzliwe dedykacje
wpisane w tamtym czasie

w kwiatach
na parapecie
ciągle błąka się
zapach pamięci

* * *

pamięci Ani Tokarskiej

wybrałaś się w podróż
z której się nie wraca

wyjechałaś
bez uprzedzenia
bez walizek pakowania

czy zabrałaś
mapę wszechświata
czy ktoś ci zaznaczył
na niej błękitne planety
adresy Bogów którzy
będą ciebie witać
w swoich progach
chleba uśmiechem

a może w ziemskich teatrach
siedzisz otulona fotelem
czekasz na spektakl
aż ciemna kurtyna
odsłoni twoją nieobecność

wyplyną puste kalendarze
niewidoczne daty
rozleje się
rozpacz dławiąca przyszłość

nie wiedziałam
jak ci opowiedzieć
twoją podróż na skraj mapy
za znikający horyzont

jak opowiedzieć ciszę

wieczorami
otwieram twoje książki
delikatnie by słowa nie wypadły
dary ziemi ognia i wody

myślę o wierszach
które zabrałaś ze sobą

wiem że w nich
ciągle jest życie

Tańcz mnie...

- Proszę, nie dotykaj mnie. Bardzo cię proszę... Tak, tak wystarczy. Wystarczy, że siedzimy naprzeciw siebie.
- Włączysz jakąś muzykę? Nie, niekoniecznie do tańca, do posłuchania. *Sambę o rozstaniu* na przykład. Hanna Banaszak. Janusz Strobel na gitarze. Też to lubisz? Tak, jest piękna.
- Wiesz, kiedy słucham tej piosenki, robi mi się tak jakoś... sama nie wiem. Smutno, tak, smutno. Bo przeczuwam, że... no... że chcesz mnie zostawić.
- Nic nie mów! Nie zaprzeczaj. Posłuchajmy razem.
- No dobrze, jeden kieliszek. Jakie to? Wytrawne. Lubię wytrawne.
- Dobrze, jeszcze jeden.
- Dobrze jest. Nalej jeszcze. Ostatni. I zaraz sobie pójdę.
- No przecież mnie nie odwieziesz. Wezmę taksówkę.
- Dobrze, zatańczmy.
- O, Cohen. Też go lubię. *Dance Me to the End of Love*.
- Ależ masz zimne dłonie.
- Nie, proszę, nie tak blisko...
- Dobrze tańczysz. *Tańcz mnie po miłości kres*... Nie sądzisz, że to dziwnie brzmi po polsku?
- Ciepło tu. Nie jest ci za ciepło? Nie? Ale zdejmij marynarkę, będzie ci wygodniej.
- *Szeptem do mnie mów, mów szeptem*...
- Nie, nie musisz szeptem, to taka piosenka. Nie pamiętam, kto śpiewał, chyba różne wykonania są.
- Banaszak też, to prawda.
- Jest tam coś jeszcze? Dobrze, ostatni. Naprawdę ostatni...
- No, i będzie plama!
- To przez to, że tak ci dłonie drżą. Cały drzysz. Zimno ci? No choć, ogrzeję cię...
- Teraz lepiej? Też masz płamę na koszuli. Daj, wypiorę, zdejmij, proszę...
- Oooo, i tu jest mokre.
- I tu...
- I to też...
- Wszystko do prania!
- Wszystko...
- Nie patrz tak na mnie. No... tak jak patrzysz...
- Nie... proszę...
- Tak.
- Ja też...

Pszczoly

W porannej ciszy słyszę tylko pszczoły.
Bezczynne leżenie pochłania śmieszny sen
o pluskach ryb w głębokiej wodzie. W oknie
pociętym zielonymi i niebieskimi kreskami
stoją drzewa. Rozciągnięty na pomiętej nocą pościeli,
powoli zanurzam się w *jasno*. Znow tu jest,
wykropkowane szczeknięciami psów.
Z zapachem herbaty, ze skrzypieniem drzwi, które
ktoś właśnie zamknął. Za chwilę otworzy,
powie: włóż świeżą koszulę. I będzie dzień
– trochę świąteczny.

Smak na języku

Słucham, jak rozpycha się fuga Bacha,
a obok, w złotych ramach, święty Sebastian.
W tle czerwienieją cegły i ta mała dziewczynka.
Z czymś, co mogłoby być lizakiem.
Trochę za dużo tej polifonii i tych strzał
tkwiących w jego pięknym ciele.
I nagrobnych tablic, ornamentów
chroniących przed nicością von Herrgotta,
który nie wie, że tuż obok ma sąsiadów.
Dźwigają pamięć Nowogródka, Grodna, Lwowa.
Lipski kantor, już nikt nie mówi, że schizmatyk,
dźwiękami szczelnie zapełnia świątynię.
Tej małej jest zresztą wszystko jedno.
W ręce trzyma niebieski lizak. Liczy się tylko
smak, który zostaje na języku.

Afterlife

Paweł i Anna to starsze małżeństwo. Mieli dwóch synów, którzy już odeszli do Pana. Byli akurat po kolacji i kładli się spać. Zapomnieli jednak zgasić kominek, a pech chciał, że u ich sąsiadów ulatniał się gaz. Obudzili ich głośny wybuch, dochodzący z salonu. Paweł zaproponował, że pójdzie to sprawdzić. Nie zdążył jednak przekroczyć progu, gdy poczuł uderzający zapach dymu. Odwrócił się do żony:

– Musimy uciekać, pali się! – powiedział z paniką w głosie.

Kobieta wstała i sięgnęła po telefon. Zadzwoiła po straż pożarną i oboje wybiegli z pokoju. Próbowali opuścić budynek, ale ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko. Wreszcie, nie będąc w stanie iść dalej, zatrzymali się w przedpokoju.

– Kocham cię – szepnęła Anna, a sekundę później osunęła się na ziemię.

Paweł próbował ją złapać, ale jego ciało było zbyt ociężałe od ilości wdychanego dymu. Zamglonym wzrokiem spojrzął na swoją żonę, lecz nie będąc w stanie się ruszyć, mężczyzna upadł na kolana obok kobiety.

– Ja też cię kocham, skarbie. – Przytulił ją ciężko i sam stracił przytomność.

Gdy się obudzili, nie było już bólu ani strachu, mimo że wokół nich wciąż trwał pożar. Zrozumieli, że nie żyją, a obok nich pojawiły się istoty trochę przypominające Anioły.

– Jestem Angelo – przedstawił się jeden z nich. – Jestem twoim Aniołem Stróżem, Anno. – Skinął do niej głową na powitanie.

– Ja jestem Tristan – odezwał się drugi Anioł. – Jak już się pewnie domyśliliście, jestem Aniołem Stróżem Pawła. – Również skinął głową.

Małżeństwo stało osłupiałe. Owe Anioły nie wyglądały bowiem jak te, które ludzie przedstawiają na figurkach czy obrazkach. Zamiast głów miały jedno duże oko, wokół którego kręciły się trzy pierścienie, w całości pokryte mniejszymi oczami różnej wielkości.

– Nie bójcie się – powiedział spokojnie Angelo. Anioły nie miały ust, a słowa, które słyszeli, rozbrzmiewały prosto w ich głowach. – Może i nie wyglądamy tak, jak to sobie wyobrażają ludzie, ale musicie nam uwierzyć.

– Więc... dlaczego? – wydukała Anna.

– Dlaczego ludzie przedstawiają was inaczej? – dokończył za nią Paweł.

– Ludzie uważali, że wyglądamy zbyt strasznie, dlatego zaczęli nas przedstawiać w bardziej ludzkich postaciach – wytłumaczył Tristan.

– Właściwie to tylko Aniołowie Stróże tak wyglądają. W zależności od powierzonego mu zadania każdy Anioł wygląda inaczej. Malując obrazy, ludzie inspirowali się wyglądem Gabriela, on właśnie tak wygląda – dodał Angelo.

– Ze względu na powód waszej śmierci możecie pożegnać się z waszymi bliskimi, jeśli chcecie.

Małżeństwo spojrzało po sobie. Oboje byli sierotami, a ich dzieci zmarły przed nimi. Jedyne rodzina, jaką mieli, to siostra Pawła, z którą nie rozmawiali od lat, ponieważ była lesbijką.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Anna. – Nie mamy takiej rodziny, z którą moglibyśmy się pożegnać. Wszyscy z nich czekają już na nas w niebie. – Uśmiechnęła się smutno.

– W takim razie czas na wasz sąd – rzekł Tristan.

Oba Anioły stanęły obok swoich ludzi. Wtedy wiatr wokół nich zaczął się rozmywać i po chwili nie było już wokół nich płonącego budynku, a ich oczom ukazała się piękna zielona łąka porośnięta czerwonymi kwiatami ze wszystkich gatunków świata. Niebo było błękitne bez ani jednej chmurki. Niedaleko od nich stał tron, a na tronie ktoś siedział. Angelo wskazał ręką, aby podeszli pod tron. Gdy się zbliżyli, zauważyli, że postać siedząca na tronie przypominała człowieka. Wiedzieli jednak, że to Bóg. Ukazał im się w postaci rosnącego mężczyzny z długą brodą. Miał na sobie szatę tak białą, że przypominała śnieg. Odezwał się do nich głębokim głosem:

– Pawle i Anno, przychodźcie przed tron boski. Zazwyczaj sąd odbywa się indywidualnie, jednak wy jako małżeństwo, które zmarło razem, macie ten przywilej. – Prowadziliście dobre życia, jednak dla niektórych bliźnich brakło wam miłości. Angelo, Tristanie, zabierzcie ich do czyśćca. Nie bójcie się, moje dzieci, gdyż będziecie tam tylko na chwilę, później będziecie się radować w niebie ze wszystkimi.

Obydwoje byli zbyt oczarowani osobą Boga, aby cokolwiek powiedzieć, więc tylko ukłonili się, a ich Aniołowie Stróże zaczęli ich prowadzić w stronę czyśćca.

– Poczekajcie jeszcze chwilę. – Zatrzymał ich Bóg. – Chciałbym, abyście kogoś spotkali. – Młody chłopak niosący dziewczynkę na rękach właśnie szedł w stronę Boga. Ukłonił się i czekał na werdykt Pana.

– Czy to Anioł? – zapytała Anna. – Nie wygląda tak jak nasi Aniołowie Stróże.

– Tak, to prawda – potwierdził Bóg. – On akurat był kiedyś człowiekiem. Wybrani ludzie mogą zostać Aniołami Stróżami. On na przykład był powołany, aby pomagać ludziom. Zmarł przedwcześnie, dlatego po śmierci też im służy. – Spojrzał na dziewczynkę na jego rękach. – Amanda Miller, osiem lat – Bóg westchnął. – Wypadek samochodowy, takie małe dziecko. Zabierz ją od razu do nieba.

– Tak jest – odpowiedział chłopak i odwrócił się, aby odejść.

– Ale chwila, chwila – oburzyła się kobieta. – Ja znam tę dziewczynkę. Nie chodzi na religię ani nie modli się. Jej rodzice są ateistami. Dlaczego ona nie idzie nawet do czyśćca, tylko od razu do nieba?

– To tylko dziecko. Zresztą nie tylko chrześcijanie idą do nieba. Czyż mój syn nie uczył was, że jestem miłosierny i pragnę zachować od śmierci wiecznej jak najwięcej dusz ludzkich? Zaprawdę powiadam wam, takie myślenie was samych prowadzi do zguby. – Anna nic nie odpowiedziała. – Olivierze! – Bóg zwrócił się do Anioła.

– Tak, Panie? – Chłopak odwrócił się w Jego stronę.

– Czy wiesz, kim są ci ludzie? – Wskazał ręką na małżeństwo.

Olivier spojrzał się w ich stronę. Gdy się im przyjrzał, jego oczy się rozszerzyły.

– Mama? Tata?

– Tak, chłopcze, to są twoi rodzice. Aniołowie Stróże mieli ich właśnie zaprowadzić do czyśćca, ale chciałem, abyście się przywitali.

– Antek, dlaczego zmieniłeś imię na Olivier? To imię, które dostaje się na chrzcie, jest najważniejsze i ma największą moc. – Zmartwiła się jego matka.

– To nie jest Antoni, Anno, ale wasz drugi syn – odparł spokojnie Bóg.

– Ale my nie mamy drugiego syna, ale córkę – zaprzeczył milczący do tej pory Paweł.

– O ludzie serc nierozumnych. Wciąż nie rozumiecie?

– Nigdy nie mieliście córki, lecz syna – powiedział ze spokojem Angelo.

– Bóg stworzył go mężczyzną w kobiecym ciele – dodał Tristan.

– To prawda, moje dzieci – potwierdził Bóg. – Ludzie nie potrafią zrozumieć takich rzeczy i przez to ranią inne moje dzieci, a ja kocham was wszystkich tak samo – westchnął. – Już czas na ciebie, Olivierze. Idź tam, gdzie zmierzałeś.

– Tak jest, Panie. – Anioł ukłonił się i odszedł. Jego rodzice spoglądali za nim, dopóki nie zniknął im z oczu.

– Nie mogę w to uwierzyć – wydukała Anna. – Przez ten cały czas próbowaliśmy zdusić w nim to, kim stworzył go Pan? – Kobieta ukryła twarz w swoich dłoniach i cicho załkała.

– Nie płacz, Anno, to nic nie zmieni – pocieszył ją Bóg. – Tak uczy was świat. Wysyłam takich ludzi jak on, lecz ludzie wciąż uważają to za modę. Dlatego właśnie te wyjątkowe dzieci trafiają najczęściej do chrześcijańskich małżeństw, z zamiarem zmienienia ich serc.

– Ale chwila, chwila – oburzył się Paweł i założył ręce na piersi. – Maria, to znaczy Olivier popełnił samobójstwo. Dlaczego nie jest w piekle?

Bóg westchnął.

– To kolejne błędne myślenie ludzi. Samobójstwo to grzech, ale w wielu przypadkach nawet nie ciężki, a co dopiero śmiertelny.

– Jak to? Nawet nie ciężki? – powiedział Paweł z niedowierzaniem.

– Przypomnij sobie, proszę, cechy grzechu ciężkiego: musi być dobrowolny, w pełni świadomy i poważnej materii. Jeśli samobójstwo popełnia osoba chora na depresję lub inną chorobę zniewalającą umysł, to nie jest to grzech ciężki. Nie miałem powodu wysyłać go do piekła. Był nawet w łasce uświęcającej, zanim zmarł. Dobre osoby, które popełniły samobójstwo, lecz nie zasługują na karę śmierci wiecznej, podlegają karze dodatkowych, nieprzeżytych na ziemi lat w czyścisku. Olivier to wyjątkowy, miły i pomocny dzieciak. Właśnie z tego powodu mógł dostąpić zaszczytu kontynuacji swojego powołania, którym było pomaganie ludziom. – Gdy Bóg skończył mówić, małżeństwo było zbyt oszołomione, aby powiedzieć choć słowo. – Zostaniecie teraz oprowadzeni po tym świecie przez Tristana i Angelo. Zobaczycie niebo i piekło i na końcu traficie do czyściska. Możecie odejść. – Anioły ukłoniły się Panu i czekały, aż ludzie zrobią to samo, jednak oni nawet o tym nie pomyśleli.

– Pokłońcie się przed Panem, który okazał wam litość – zwrócił im uwagę Angelo.

Oboje zreflektowali się i ukłoniли nisko. Anioły odwróciły się, po czym ludzie zrobili to samo i odeszli. Po chwili marszu sceneria wokół nich się zmieniła. Stąpali teraz po chmurach, które delikatnie łaskotały ich stopy, jednak nie zapadały się pod nimi. Po chwili pojawił się przed nimi mur zbudowany z jaspisu, którego fundamenty ozdobione były drogocennymi kamieniami. W murze stała duża, złota brama, której strzegła istota potężna. Posiadała ona ciało lwa i ludzką twarz. Anna i Paweł zdążyli się domyślić, że to po prostu kolejny rodzaj Anioła. Na bramie widniało imię Ruben, oznaczające jednego z synów Jakuba. Za murem znajdowało się miasto zbudowane ze złota tak czystego jak przezroczyście szkło.

– Oto niebo. Raj, do którego dążą ludzie. – Angelo wskazał na miasto za murem. – Za tą bramą znajduje się wieczne szczęście razem z Barankiem.

– Dlaczego mówi się, że to Święty Piotr strzeże bramy do nieba? – zastanawiała się Anna.

– Owszem, w Ewangelii św. Mateusza napisano „Na to Jezus mu rzekł »[...] I tobie dam klucze królestwa niebieskiego [...]«”. Stąd się to wywiodło. Jednak z widzeń Jana dowiadujemy się, że do nieba prowadzi dwanaście bram. Szymon Piotr tylko symbolicznie trzyma klucze do nieba. Oznacza to powierzenie losów ziemi i ludzi w jego ręce, jako pierwszemu papieżowi. Teraz musicie się przygotować na to, co wkrótce zobaczycie. – Cała czwórka odwróciła się i odeszła.

Już po chwili sceneria wokół nich znowu zaczęła się zmieniać. Annie i Pawłowi zaczęło się robić gorąco, a wokół zaczęło się robić ciemno. Zrozumieli, że zmiierzają w stronę piekła. Ziemia stawała się coraz ciemniejsza, aż w końcu całkiem zwęgłona. Podeszli na skraju klifu.

– Spójrzcie. – Tristan wskazał na dół. Spojrzeli i zobaczyli okropny widok. Wszędzie było pełno ognia, a z dołu można było usłyszeć jęki bólu i rozpacz. Stamtąd bił blask, ale nie taki ciepły i przyjemny, jak blask Pana, lecz palący i nieprzyjemny. – Oto piekło. Tam jest ból i zgrzytanie zębów, a tych, którzy tam trafiają, przez wieczność pali ogień, według ich uczynków – wyjaśnił.

– Chodźmy już, proszę – zaproponował Paweł. – Nie podoba mi się tu.

– Nic dziwnego – zgodził się Tristan. – Nikt nie chce tu trafić. – Odwrócili się i odeszli.

Po chwili marszu sceneria znowu zaczęła się zmieniać. Tym razem szli przez suchy step. Kilka metrów przed nimi rozciągał się ogromny kanion, sięgający aż po horyzont. Gdy stanęli nad przepaścią, zobaczyli na dnie ludzi. Było ich tam wielu, jednak nikt ze sobą nie rozmawiał.

– Dlaczego oni ze sobą nie rozmawiają? – zdziwiła się Anna.

– Taka jest ich kara. Każdy odbywa swoją pokutę indywidualnie – odpowiedział jej Angelo. – Oni widzą to inaczej niż my stąd.

– To właśnie jest czyściec – dodał Tristan. – Kiedy nadejdzie koniec waszego oczyszczenia, przyjdziemy do was i zabierzemy was z powrotem do Pana.

– Jak mamy tam zejść? – zapytał Paweł, niepewnie patrząc w dół.

– Nie martwcie się o to – uspokoił go Angelo. – Tutaj nic wam się fizycznie nie może stać. – Oba Anioły położyły swoje dłonie na ramionach swoich ludzi. W ułamku sekundy znaleźli się dnie kanionu.

– Usiądźcie – polecił im Tristan. – Będziecie tu trochę przebywać, ale nie martwcie się, to nic w porównaniu z wiecznością, którą spędzicie w niebie. Nim się obejrzyjecie, już będzie po wszystkim.

– Czy nasza pokuta polega tylko na siedzeniu tutaj w ciszy i samotności? – dopytywała się Anna.

– Na to pytanie nie wolno nam udzielać odpowiedzi – odpowiedział Angelo.

– Dowiecie się w swoim czasie – dodał Tristan.

– A czy będziemy jeszcze w stanie porozmawiać z naszym synem? – zapytał Paweł z nadzieją w głosie.

– Myślę, że nasz miłosierny Pan nie będzie miał nic przeciwko – odpowiedział mu Angelo. – A więc do zobaczenia.

Obaj ukłonili się i zniknęli.



W środku

Zimno, zimniutko,
a my tu sobie pobiegamy w snach.
Tam spojrzysz, Adelina,
w okno (fereastră),
w to malutkie niebo,
w gałąź (ramură).
Za nami i przed nami otwiera się czas.
Cicho, cichutko.
Tylko pięć lat w celi,
bo nic nie znaleźli.
Tak zarządził, powiedzmy to głośno w myślach,
Ceașescu.
Kiedy wyjdziemy,
obejmiemy twoją korę, drzewo,
pijane od powietrza.
Kolana, konary, mech, mrówki.
Rowy poziome, chaszczki malinowe.
Narwali, natargali,
najedli się, naspali.
Ziemia twarda, ciepła,
a my na bosaka,
zostaniemy tam, Adelina,
na drugie życie.

Beksa-lala

Beksa-lala pojechała do szpitala,
a w szpitalu powiedzieli:
większej beksy nie widzieli.
– Niech przestanie już histeryzować
– usłyszała po 20 godzinach bólu
i braku pełnego rozwarcia.
Położne jak owady przy łóżku,
kolejne kroplówki na skurcze.
Przyszedł lekarz,
czuła na sobie jego głodny wzrok,
kiedy ją badał.
Pani jest taka ciasna, wyszeptał,
taka ciasna.
Wpatrywał się jak szpak w czereśnię.
Nie będzie cesarki, będzie pani rodzić.
Stała się zwierzęciem w klatce,
coś krzyczała.
Nie pamięta, jak i kiedy urodziła.
Nie, nie postradała zmysłów,
chciała się uwolnić od swojego ciała,
które obrzydło jej od bólu i do bólu.
Beksa-lala pojechała do szpitala,
a w szpitalu było mokro,
wyrzucili ją przez okno.
Na podwórku były dzieci,
wyrzuciły ją do śmieci...

Jagody

Tata od zawsze bił ją po obiedzie
jakby chciał zdążyć do wieczornych libacji.
Za słowa wylatujące z jej ust.
Na ciele plamy jak grzyby, sine kapelusze.
Chciała uciec do lasu, ale zawsze był szybszy.
Kiedy mama dostała rozwód,
zamieszkały w bloku robaczywym jak jabłko,
gdzie nie było koronkowego mchu za rogiem,
tylko bandy chłopaków.
Chciała zanurzyć się w noc i nie wstać.
Było to lepsze niż deser i kompot,
i słodkie jagody.
Nie było jej.
Nie było też psychiatrów, tak mówiła mama,
terminy za rok.
Ona jeszcze oddycha, ma młode ciało,
miękkie jak wilgotne igły jodły.
Jeszcze nie połknęła wszystkich tabletek na sen
słodki jak jagody.

Trzepanie dywanów

Chrupiąca, nieco zbrązowiała skórka. Wypukłe, brązowe plecy, z garbami niczym niemowlęca zabawka. Miękkie, pulchne, roztopiające się na podniebieniu wnętrze. Koniecznie białe. Takie, którego osoby na diecie (sic!) powinny unikać. Do tego tłuste masło, w ilościach bizantyjskich, bezwarunkowo odzwierzęce; pomimo (pseudo)wegetariańskiej diety. Najważniejszy jest zapach ciepłego wypieku, cząsteczek skrobi zmieszanych z glutaminianem sodu. Aromat wzbudzający faryzejski, bezgraniczny apetyt. Koniecznie ten z piekarni w Ośnie, z papierową naklejką (tak, ją też można zjeść – tłumaczę pocieszę). Potrafię wtrynić cały bochen za jednym zamachem, jak gdyby szczęka nieustraszona wizją chirurga szczękowego nie potrafiła się zamknąć, raz poczuwszy tę boskość na języku. Zwłaszcza, gdy dawno nie byłam w Polsce.

Jak wytłumaczyć dziecku polski chleb? Ten tutejszy można złożyć na pół bez naruszenia struktury, jak gdyby był z gumy. Smakuje jak papier (mamo, mówiłaś, że papierową naklejkę z piekarni można jeść? – reżolucyjnie doda pociecha). Zupełnie jak gdyby cały bochenek pod dłonią zmęczonego, holenderskiego piekarza był papierową naklejką, a chleba pod nią ktoś zapomniał wypiec. Można zjeść trzy chleby i nadal być głodnym. Nie pokrywa się grzybnią, jak gdyby zielony nalot pleśni również się go brzydził. Jest przydatny chyba tylko do tostów. Nawet ten świeży, prosto ze sklepowej półki, smakuje jak spierniczały.

Córa była w Polsce dawno, zapomniała. W umyśle zarosły niegdyś wydeptane ścieżki, po których język jej zlizywał nadworne ilości żółtego masła, roztopiającego się na grubej pajdzie. Dziadek dodawał kolejną łyżkę miodu z pasieki Dutkowiaka, tego wielokwiatowego. Ule stały niedaleko pola jęczmienia za Postomią w Ostrowie. Tak, mamo, miód pamiętam – dodaje dziecko. Nic dziwnego, słoiki przychodzą pocztą; chleba nie da się przestać kurierem. Smaku dzieciństwa nie zapakują rodzice do kartonowego pudła. Pozostaje tylko co jakiś czas telepać się niemieckim blaszakiem, słuchać godzinami terkotania metalowych kół o tory. Mamo, czy jeszcze daleko? – zapyta pociecha w Bad Bentheim, pierwszej niemieckiej stacji po przekroczeniu holenderskiej granicy.

Na pociechę jest jeszcze Oberlander. Mając na uwadze podniebienia wymagającej niemieckiej mniejszości, holenderski piekarz, niczym magiczny różdżkarz, stworzył przedziwną chimerę. Cztery pajdy, zapakowane w plastik (nota bene: ośnieński chleb zapakowany jest w – tu pada kolejny imperatyw – papier, by zachować świeżość i swym szelestem podjudzać niecierpliwie zmysły; szarobrązowe zawiniątko, niczym rowerowy dzwonek informuje o fakcie, że tata przed sekundą wszedł do domu ze świeżym chlebem w koszyku; papier w wyścigu do błony bębenkowej wyprzedzi nawet znajome skrzypienie schodów). Zapakowany w foliówkę Oberlander to chlebobopodobna papka o strukturze bardziej zbitej niż chleb holenderski, lecz nadal gumowej, jak gdyby piekarz nie potrafił rozstać się z jakimś tajemniczym, rozciągliwym składnikiem (od jakiegoś czasu podejrzewam, iż może to być gumowy kalosz w niebieskie kropki). Mimo mej hipotezy czasami sięgam po niego, znużona nostalgią. Wizyta z Polski go nie tyka. Krewni przywożą ze sobą cały zestaw pulchnych bochenków i pajd, na wypadek gdyby wielki głód z '44 roku miał się w Niemczech powtórzyć. Polski chleb, nawet ten czerstwy, po tygodniu, dwóch, lepszy jest od papieropodobnej faktury w ustach.

Był jednak haniebny moment, kiedy bochen pszennego chleba spadł z piedestału. Były to bodajże wczesne lata dwutysięczne. Większość wyedukowanej młodzieży opuściła sulciński ogólniak i wyfrunęła

w daleki świat zielonogórskich, wrocławskich, szczecińskich tudzież poznańskich uczelni. Ewa, koleżanka ze szkolnej ławy, nad wyraz pilna studentka technologii żywności i żywienia, odbywała staż w zakurzonych i pełnych mącznego, magicznego pyłu (wtedy jeszcze nie wiedziałam, że były to w rzeczywistości pospolite zarodki pleśniaka) progach sułęcińskiej piekarni. Ewa, pierwsza kobieta, tym razem wiodła prym w niewdzięcznym zadaniu zbrukania pamięci polskiego chleba. Codziennie wstawiała o czwartej rano, by w ciemności poranka udać się za szerokie ramię piekarza z Leksu. Do tej pory marzę, by cofnąć czas i wymazać z pamięci jej słowa; znieważenie mej świętości. Kąciki ust wykrzywiają się w obrzydzeniu, gdy wspominam, jak relacjonowała lot zacnego, sakralnego ciasta na umorusaną sadzą i piachem podłogę. Oczy próżno zamykają się, by nie widzieć w obrazie wyobraźni, jak przez opis odwłoka karalucha, maszerującego po piekarskim ołtarzu, wali się moje *sanctum sanctorum*.

Pocieszam się karaluchem. Spoglądam na deszczowe lato za oknem. Zastanawiam się, czy krople deszczu próbują zmyć, czy podlać moją nostalgię – tęsknotę za chrupiącą, brązową skórką okrywającą niebiańskie wspomnienia z dzieciństwa. Wytrzepuję z pamięci resztki wyschniętego błota, skamieniałe okruchy, pozostałości spleśniałego popcornu. W zakręcie hipokampa pozostaje nieskazitelny obraz polskiego chleba. Jest niczym świeżo wytrzepany, wełniany dywan na salonowej podłodze z płytek. Obraz ten, niezbrukany karaluchem, indukuje w odruchu Pawłowa mimowolny ślinotok. Brązowa skórka i miękki jak dziecięcy kocyk miąższ są idealnymi substratami dla nostalgii, tej niewdzięcznej uwodzicielki, kuszącej jak chleb w koszyku niesionym przez tatę.



* * *

Patrzę nie widzę co się dzieje
coraz bardziej skłaniam ku ziemi
jakbym uparcie drążył w ciemni
gdy znowu cały świat się chwieje

*

Czuwam nocą nad swoim cierpieniem
żeby nie stracić namiętności
nawet gdy we śnie tylko gości
urok tej twarzy co jest zdumieniem

*

Wiatr dziś rozbiera mnie uparcie
jakby obedrzeć chciał ze skóry
sen pokazuje kadr
droga w zaświaty jest na starcie

*

Najczęściej bywa tak na ziemi
człowiek zagraża człowiekowi
hymny miłosne zamknął słowik
my beznadziejnie głusi niemi

Laura i Filon

Mężczyźni – żartobliwie pomyślała Laura, wychodząc z uniwersytetu – przydatni są podczas marcowych gwiazdozbiorów. Latawce zaprzęgna do obłoków, by cieniem nie zasłaniały jeziora. Będę czuwać przy ognisku, łapiąc iskry. Schwytaną iskrę rzucę na wodę. Gdy utonie, przyjdzie mężczyzna, rozbroi się ze spodni.

Śnieg okrył cienką warstewką zielonogórskie dachy. Na zmrożonej trawie widniały ślady kosa. Samochody ślamazarnie jechały w ulicznej mazi, niektóre ślizgały się, na chodniku szare miejsca wyrobione butami.

Dziwny mężczyzna w przeźroczystych slipkach podążał w stronę dworca PKP.

– Omamy mam – szepnęła Laura. – Mam omamy.

Wyobraziła sobie, że naga stoi w turkusowej wodzie, porywa ją świetlisty łabędź.

Bezwiednie doszła do Biblioteki im. Norwida. Najlepiej – rozmyślała – nie mieć oczekiwań! Najlepiej być pustką pośród pustki. Pełna wątpliwości jestem i chwiejna. To stan umysłu, gdy pali się głowa, uda pożądaną płonących rąk mężczyzny, a rozpalone nogi pragną pieśczoły. Wyobraziła sobie, że naga stoi w turkusowej wodzie, porywa ją świetlisty łabędź.

– Ty pani, gdzie jest dworzec PKP? – pytał nieznajomy w przeźroczystych slipkach. – Pani ty, gdzie? Zepsuła mi się głowa...

Laura łobuzersko patrzyła w siwe oczka nieznajomego. Co w nim lirycznego, dziwiła się, w facecie z jedną fioletową skarpetką na nodze, prześwitujących slipach, kroplą potu na nosie?

– Jak mnie pan widzi, skoro zepsuła się głowa?

– Pani ty żartować nie. Odszukałem po tęsknocie kobiety, która nocą do samotnego łóżka iść chce nie.

– Śledził mnie pan, szedł za mną, ot, i prawda.

– Tropił nie, szedł nie. Ty pani mnie śledziła, patrz, w tym betonowym klocku moja kwatera. Proszę, zapraszam...

Jakaż lekkość nóg, gdy idzie się przed mężczyzną, który wygląda jak chłopak dębujący łódeczkę z kory. Kiedyś próbowała strugać łódeczki, wbiła nóż w palec. Mężczyzna pachniał czterema kwiatami na „r” – rozchodnik, rdest, rukiew, rzęśl. Salon pełen książek na dębowych regałach. Dwa rzędy „Odry”, na ścianach zdjęcia czapli, rybołowa. Fotel, biurko, komputer, monitor, wersalka, kolumny głośnikowe, fotografia łabędzia stojącego w błocie z rozpostartymi skrzydłami.

– Jestem Laura, a ty? – Musnęła palcem podbródek nieznajomego.

– Pani ty, ja bez imienia. Możemy nie mieć imion?

– W takim razie dam ci imię... Filon...

– Pani ty! Proszę, nigdy, nawet myśl nie. Ukarzą mnie zakazem opuszczania bazy, Lauro, proszę, pani ty, zaparz wodę na herbatę z miętą. Pójdę po szarlotkę? Może pączki?

– Z agrestem. Z takim nadzieniem nie kupisz, zwłaszcza teraz w nocy, więc zostań.

– Pani ty, Lauro, głodni my, przed nami mocno dużo trochę robota łózkowa. – Wyszedł cicho, aby nie budzić sąsiadów.

Rozbrzmiała nostalgiczna melodia *The Song of the Sun* Mike'a Oldfielda. Skonsternowana Laura siadła na stole, patrzyła na „Odry”. Nie musiała sprawdzać, te same numery miesięcznika prenumerowała mama. Niedawno ciocia zaniosiła do antykwariatu, teraz na regale obcego pokoju. „Ha, ha, proszę” – sięgnęła po egzemplarz z zakładką. Z „Odry” wypadła kartka, od razu rozpoznała swe pismo, drobnuteńkie litery licealistki, która w sadzie wśród kwitnących mleczy przygotowywała się do matury.

Zaczęła czytać:

„Żłociste jaskry uległy astralnym motyloom. Miękki zapach nocy unosił się nad mgłą, nagła burza strąciła olchę do rzeki, z gigantycznej muszli wypełznął obślizgły ślimak, zdjęłam kieckę w zielone kłosa owsa, ślimak sunął wzdłuż mojego pływającego uda...”

Schowała kartkę między strony czasopisma, uśmiechnęła się, kiedyś naiwnie próbowała pisać erotyczny pamiętnik, trochę się uszkadzało seksualnych opisów... Za dużo przypadków, muszko, pajaczek złapał cię do sieci, idź, uciekaj stąd, jak najprędzej. Nagła błyskawica wiosennej burzy. Rozebrała się, weszła do wanny. Szybko zjedli osiem pączków z nadzieniem agrestowym. Bezczelnie patrzyła na nieznanego, golutki wyszedł z łazienki. Karkołomnie balansowali na poręczy łóżka. On nogę doczepił do koka, ona obracała się wokół ciała z taką szybkością, że miała wrażenie, iż sufit zajął miejsce podłogi, prostokąt okna stał się elipsą drzwi. W zębach trzymała jego ucho, siedział na krześle i wirował dookoła jej brzucha, nie wiedziała, jak to możliwe, lecz była wniebowzięta. W szafie śmigali pomiędzy płaszczami na wieszakach. Nie czuli żadnego ciężenia, związku między częściami ciała, które rozsypały się, lecz były zachwycająco poplątane. Śmiała się, poznała seksualną definicję: erotycznie skręcone ciała kobiety i mężczyzny są studnią, w której narodził się czas, zanim zaistniał kosmos.

Przybież zygzakiem do wyczekującej krwi, wolno, potem coraz gwałtowniej, nie ustawaj, twe ciało niech wgłębia się w moje, niechaj gen wściekle odbija się od genu. Wejdz tu i tam, tam i tu. Wejdz na polu, na obłoku weź, pod wodą, wejdz. Słyszysz, komety zazdroszczą prędkości, z jaką mkniemy od galaktyki do galaktyki. Całuj tu, tu, tu, tu, tu i tu też! Moje szczęście, moje, moje, nasze, zapiszę je w szesnastym chromosomie, gdy już świat dobiegnie do kresu czasu.

– Pani ty, Lauro, gdy już wodę zgasimy naszą żądzą i ogień zamienimy w śnieg, odejdę.

– Nie spodziewałam się niczego innego od picusia. Nic już nie mów, nic, nic, nic. Biermy się za robotę, nasz seks to niesyte światło ciekące z otwartych aort. Obejmij mnie, ogarnij ogniem. Ciało moje, głodne, spal ustami. Ręce, ręce, ręce rozsyp piesszczotą. Uda, uda, wrzące, ociosaj dłońmi.

Jeszcze noc, księżyc schodził coraz niżej. Nieznajomy mężczyzna siadł w kącie pokoju.

– Spędzmy ze sobą jeszcze tych parę minut do świtu...

– Parę minut... Niby chwilka, ale mogę zdążyć nie, czekają przy dworcu PKP, muszą naprawić moją głowę. Uspokajała go, przytulając się, głaszcząc po nosie, skroni.

– Picuś ty! Powąchaj mnie tu, za uchem, i tu, przy pępku, i jeszcze tu, tu, i nawet tu...

Nieustannie coraz większa emocjonalna cena, jaką płaci, bezkrytycznie ulegając mężczyznom.

Obudziło ją skrzywienie ostrożnie domykanych drzwi, cichutkie kroki na schodach. Odszedł zatem, jak mówił, odchodzą zawsze tak samo, zarzuciła płaszcz na mokre, gołe ciało, wybiegła na chodnik. Sześcioro obojętnych przechodniów, autobus oczywisty w chłodnym poranku. Nieustannie coraz większa cena, jaką płaci, bezkrytycznie ulegając mężczyznom. Jednak to przedziwne upojenie dotykaniem ich rąk na brzuchu i we włosach zbyt dużo ma wspólnego z nieważkością. To rozkoszne wrażenie, że się jest termodynamiczną iluzją. Zmysłowe doznanie, które chce się odczuwać wbrew wiedzy, że potem, po powrocie do pustego łóżka, brak sił do życia? Do studiów? Do jedzenia? Do niczego! Autobus przemknął, odsunął ulicę, powróciła cisza.

– Muszę zatrzasnąć za sobą ten życiowy rozdziałik – szepnęła do kosa, który żółtym dziobkiem, ach, ta cudna czerń piór i żółty dziobek!, chwycił piórka, by przygotować gniazdo dla kilku niebieskozielonych jaj upstrzonych brązowo-czerwonymi plameczkami. – Teraz muszę wynieść się w inne miejsce, do innego zegara.

W powietrzu zapach czterech kwiatów na „I”: lepiężnik, lawenda, lobelia, lilia. Tak nieznamy mężczyzna pachniał, gdy przed wyjściem z pokoju wciągał slipki na cherlawe nogi.

– Wyszedł w przezroczystych slipkach na ulicę – pisnął kos.

– Będę musiała pójść do terapeuty, bo mam omamy.

Śnieg okrył cieniutko zielonogórskie dachy. Samochody ślamazarnie jechały w ulicznej mazi, niektóre ślizgały się, na chodniku szare miejsca wyrobione butami.

Mężczyźni – zartobliwie pomyślała Laura, wchodząc do Biblioteki Uniwersyteckiej – przydatni są podczas marcowych gwiazdozbiorów.



Elegia

Kiedy obywatele opuścili miasto
jego ulice zaczęły wyglądać jak cementarne aleje
brakowało na nich tylko bluszczu
i zniczy płonących wzdłuż krawężników
Domy zostały z pootwieranymi oknami
wychylały się z nich trzepoczące zasłony
a niejedne drzwi trzaskały miarowo na wietrze
Gdzieś widać było porzucone buty
gdzie indziej rozwartą walizkę albo lalkę
Wszystko wskazywało na to
że ewakuacja nastąpiła w pośpiechu
że mieszkańcy musieli odejść nagle
i zostały po nich jeszcze ciepłe ślady życia
Myliłby się jednak ten, co by pomyślał
że dokonało się to z udziałem ich woli
Uciekający zabrali tylko najpotrzebniejsze rzeczy
a przecież nie wiedzieli gdzie trafią
i ile czasu przyjdzie im spędzić w nowym miejscu
Na podstawie tego co po nich pozostało
można sądzić, że wszyscy liczyli
iż niebawem tu wrócą
Jakie musiało być ich rozczarowanie
gdy dotarło do nich, że nie ma powrotu
że ktoś za nich pozamykał drzwi i okna
powycierał ślady ich obecności
a całe miasto stało się łupem obcych
którzy mówili w zupełnie innym języku

15 marca 2020, blisko północy

Gobelin purpurowy

Patrzę w twoje przymrużone oczy
rozchodzi się delikatne ciepło
przestrzeń staje się jaśniejsza
znika za mną cień cierpliwy

Struna światła ogarnęła księcia nocy
zawdzięczam jej siłę i pewność
A największy blask o brzasku
mej pogodzie tak przyklasnął
że kontury świata w mroku
utopiły się w potoku
niczym fala w delcie rzeki

Potem powstał obraz nowy
tchnęłaś w pejzaż róż tęczowy
Tłkaj gobelin purpurowy
w chłodną pochodnię miłości

Stój na straży tej ikony
Niechaj będę odrodzony

Droniki, 25 marca 2020, poranek o brzasku

Gdy rozstrzyga się los

Ważce

Piszę ci strumień, brzezinę i ciszę
jak książkę na serio z Herberta
składam z alfabetu kordialnie
winszowanie uroczyste z końca świata.

A ty w sukni sonej jak skała
z dłońmi otwartymi ku obłokom
jakby oczekująca na krople deszczu
nieruchoma
nad brzegiem wzburzonego morza
w krótko obciętych włosach czerwona wstążka
niczym jaszczurka w trawie.

Coraz częściej mieszkam w trawie i liściach
stąd poprzednie porównanie
topnieje liczba mieszkańców mojej jaźni
a mnożą się drzewa
wśród nich łatwiej o serdeczność
a także prościej odróżnić dobro od tego co złe.

Drzewa skrycie pozdrawiają
kłaniają się póki wiatr je pochyla
milczą kiedy milczeć trzeba
leciutko drgają gdy promyk mruga z nieba
a ja ich gałęziami odganiam złe duchy
i pośród liści znajduję swe miejsce.

Niechże i przy tobie zostaną serdeczni
oni miłowanie wynoszą ponad wszystko
A hufiec drzew niech ci przypomina
że jest taka wyspa, taki ład, kraina
gdzie nie ma sztucznych świateł
zupełnie jak w baśni
a ciemno robi się dopiero wtedy
gdy księżyc zgaśnie.

Droniki, 25 kwietnia 2018

Nie przypomina gwiazdy

Moja dziewczyna nie wygląda jak gwiazda
ale gdy zmierza ku mnie
sunie za nią welon wibrującego powietrza
jak ogon komety
Nie przypomina syreny
ale rozcina taflę jeziora
w korytarz wody
czułą szczeliną dwóch dłoni
Nie wygląda jak sarna
tonie buszująca w zbożu
zostawia na nim kreskę
czerwoną pochodnią włosów
Przypomina wrózkę
gdy gałązką lawendy rysuje kształty
i na piasku kreśli hieroglify
znajomych słów
aż przyjdzie fala
zabierze je ze sobą
i plaże przesłoni mrok
a flet mojej dziewczyny
powiedzie mnie przez noc
na drugą stronę
uśpionego zalewu
jak wyschniętego jeziora

Marek Krukowski

Apatia

(fragment)

Jak bardzo czuję się zmęczona, nieszczęśliwa?

Jak bardzo czuję się?

Z końca języka zwisa mi czarna kropla prośby: „Może byś się wyprowadził na kilka dni do rodziców”. Niemal wypowiedziana, zresztą nie jestem pewna, czy w istocie coś tam nie przebaknęłam. Kiedy przysiadł na łóżku w moim pokoju... tak, bo teraz rozdzieliliśmy mieszkanie pomiędzy nas dwoje. Nasz pokój, w którym gnieździł się przez ponad rok, jest teraz wyłącznie moim pokojem. Pokój odziedziczony po starej Dance to biuro Adama, jego szaniec. Natomiast pokój dzienny przerobił na swoją sypialnię-jadalnię. Śpi tam i je wszystkie posiłki, ale żebyś coś uprzątnął po sobie, to zapomnij! Właściwie cały dzień zalega na nierozłożonej kanapie, z której uczynił mi barłóg! Zalega pod zmiętym cielskiem głębinowej kołdry wyłowionej z dna czarnych akwenów nocy. Otwieram okna, próbuję wietrzyć, nic to nie pomaga. I tak czuć szlamem, błotem, bagniskiem, jakąś zielonkawą rzęsą dusznej ludzkiej egzystencji na bupropionie.

Nie sypiam po nocach.

W dzień chodzę nieprzytomna. Nabrzmiała od kompulsywnych urojeń. Ataków dzikiego Amoku, w których szoruję od stóp do głów srebrzyste cielsko naszego potężnego mercedesa, tego starego rekina szos. Albo wstawiam pranie oraz zmywarkę równocześnie, równoległe! Na raz! Na dwa szoruję wannę. Na trzy kafele w kuchni.

W każdym razie kiedy przysiadł na krawędzi mojego łóżka, co najwyżej stęknęłam z fotela, z *Dolina* /ssy w ręku:

– Chciałabym zostać sama?

– CO?!

– Chciałabym zo, ostać, sa, ama? – głos mi się na pół i jeszcze raz na pół przełamał.

– Aha! – mruknął.

Położyłam się na łóżku.

– Przytul mnie – jęknęłam. – Przytul mnie albo coś, cokolwiek, bo naprawdę źle ze mną. – Objął mnie od tyłu. Ciało do ciała. Zapadłam w sen bez obrazów. W sen przesycony jego cielesną obecnością. Słodkie opadanie i jasne promienie przenikające w dół, stamtąd, z powierzchni jaźni.

Nie otwierając oczu, niby ślepe szczenię, przekreśliłam się twarzą do jego twarzy, ustami do jego ust. Językiem wokół jego języka. Oddechem w jego oddech. Śliną poprzez jego ślinę. Aż zmusiłam go, aby wszedł we mnie. I poruszał się we mnie. Jak ciepłe morze. Ciężkie morze. Nakrywające mnie fala za falą. Przyptyw. Odpływ. W tył i w przód. Jakbym leżała na dnie łódki, którą fala zniosła w sitowie. I teraz niespiesznie nią kołysała. W kołysce ciała i ciepła. W dzień bezwietrzny i upalny. Rozgrzany jak hutniczy piec od nadmiaru lipcowego słońca. Aż rozkołysał mnie po krawędź, za którą nastąpił rozbłysk. Wstrząsana bardziej szlocham niż jękiem, zakneblowałam sobie usta przedramieniem, zaciskając zęby na własnej skórze, smakując jej słoność. Na granicy płaczu i śmiechu. Czułam, jak wszystko we mnie puszcza, jak wreszcie staję się pełnym „się”.

– O rany! To takie męczące! – poskarżył się Adam. – Męczące i niesmaczne. Tylko się spoczęłam. I znów muszę wziąć prysznic.

* * *

Ale są też inne warstwy, gdzie mogę się udać.

Mam czternaście, piętnaście lat. Moje przyciasne ciało uwiera mnie tu i tam. Jego absurdalna chudość i wiotkość. Codziennie, kiedy wracam ze szkoły, w mojej głowie już siedzi pan Ból. I pierwsze nastoletnie wiersze (śmierć, matka, dom). I pierwsze nastoletnie żądze (muskularne ramiona młodych mężczyzn).

Zamiast w radosnych podskokach wlokłam się do domu, przygarbiona pod ciężarem tornistra.

Dopytywałam do martwego cielska przewróconego wieżowca, wyrzuconego na brzeg asfaltowej rzeki.

Później bardzo powoli wspinałam się na trzecie piętro, stopień po stopniu z pochyloną głową tak ciężką od rojeń i nastoletnich smutków, które nigdy nie wyparowały, a jedynie przybrały bardziej dojrzałą formę. Z czasem oswoiłam się z ich obecnością. Przystałam zwracać uwagę na smętne zaśpiewy tego widmowego chóru, stojącego wytrwale gdzieś w tle mojej codzienności.

W końcu docierałam do drzwi mieszkania. Jego ciche, rozświetnione wnętrze, korytarz kryty linoleum udającym sosnową podłogę.

Matczyne krzątanie się po kuchni.

Nieobecność psychopatycznego ojczyma.

Rzucałam tornister w byle kąt. I kładłam się na łóżku pełna głodu i ćmiącego bólu. Wykrzykując z siebie to sakramentalne pytanie: „Co będzie na obiad?”.

Jaskółka matczynego głosu przecinała korytarz koszącym lotem, wzbijając się pod sufit mojego pokoju, obwieszczała odpowiedź, przynoszącą albo wybuch ekscytacji, albo szary deszcz rozczarowania.

* * *

Z dzisiejszej perspektywy lubię te moje minione powroty. To jak zalegałam na łóżku, z książką w ręku, choć najczęściej ból głowy zmieszany z głodem nie pozwalał mi czytać.

Omdlała z wyczerpania, czekałam, aż ponownie nadleci jaskółka matczynego głosu i wyśpiewa mi ratunek, to jedno wykrzyknienie: „Obiad!”.

Z półprzymkniętymi powiekami, z czołem opartym na otwartych stronicach książki, kołysałam się w gondoli mieszkania zawieszzonego na trzecim piętrze miasta, ponad rwącą rzeką jednej z głównych ulic, ponad nieruchomą płaszczyzną trawnika i labiryntem osiedlowych chodników, i labiryntem metalowych drabinek placu zabaw.

Dzień po dniu dojrzywałam do odegrania niechcianej roli pełnokrwistej kobiety.

Niechętnie miesiączkowałam.

I ostatecznie zrejterowałam. Bo czy dziś można mnie nazwać pełnoprawną kobietą?

* * *

Przymykam oczy i znów wychodzę na balkon tamtego mieszkania, do którego dziś mam dostęp jedynie we wspomnieniach.

Oparta o metalową barierkę, ponownie w przyciasnym, nastoletnim ciele, skrzypienie skóry na kolana, wychyłam się ponad ulicą, niemal dotykając językiem liści drzewa rosnącego tuż-tuż. Szachuję okna wielkopłytkowego ośmiopiętrowca, rosnącego po drugiej stronie asfaltowego dum-dum. Unoszę głowę i oczy, liżąc szary błękit nieba i szarawe kolosy przesuających się chmur. Jeszcze raz zachwyam się tym, co mnie otacza. Co wzbiera wiosną. Co eksploduje latem. Ta miejska zieleń znużona nagłą wybujałością. Mrużę oczy w pogoni za stadem srok: pulsujący tuman czarnych punktów zataczający szalone kręgi wokół lasu telewizyjnych anten na dachach odległych wieżowców.

Czekam nadejścia lipcowej burzy. Napór powietrza. Groźny fiolet. Stupiętrowy mrok ciągnący od zachodu zasnuwa nieboskłon. Wpełza na dachy wieżowców. Spogląda w moje roziskrzone oczy. Śmieję się

w jego nachmurzoną twarz. Pierwszy odległy błysk. I spowolniony przez upał grzmot. Pierwszy powiew atakujący balkonowe drzwi. Pierwsza olbrzymia kropla na mojej twarzy. Tak, tak, chcę więcej, chcę jeszcze. Podskakuję, trzymając się oburącz metalowej barierki i piszcząc wewnętrznie.

Nagle zieleń drzew zmierzwiona, wprawiona w gwałtowne falowanie. Punkty ludzi, tam w dole, rozpierchające się z pochylonymi głowami. Granatowa ciemność. Ze złocistą obwódka. I otwartość rozwi-chrzonego powietrza. To wszystko naraz i jeszcze więcej.

Wichura tężeje, grzmieć koniec świata, targając drzewami.

Ach, gdybyż to mogło być prawdą! Egzaltuję się bez zahamowań.

Nagły błysk i grzmot. I ściana deszczu. Chluszcząca we mnie tak miękko, tak wściekle, tak ożywczo.

I najczystszy smak powietrza.

A później koniec. Skapująca z liści cisza.

* * *

A co z nieobecnością psychopatycznego ojczyrna?

Oto potęga literatury: po ostatnią stronicę mogę go skazać na nieistnienie.

Mieszkanie na trzecim piętrze będzie jaśniało wyłącznie pustką. Rozbrzmiewało jedynie matczynym zaśpiewem, jej kuchenną krzątaniną. Sama zamieszkać na balkonie, w tej podniebnej łodzi, w której będę dryfować ponad ulicą i miastem, wzdłuż krawędzi osiedla, wysnuwając z lewego ucha nić babiego lata.

Oczywiście, że jego psychopatyczność zanurzała korzenie i ciągnęła soki z psychopatyczności jego ojca, komunistycznego aparaczyka. Drugi z szalonej, zdziczałej czwórki. Zagubiony w gąszczu sadów i zachwaszczonych ogrodów powojennego, poniemieckiego, „odzyskanego” miasta. Ukrywający się na strychach. Nie-raz zbity na kwaśne jabłko. Pozorujący samobójstwo. Złakniony czułości, uwagi, troski. Dla mnie wynurzył się z tych sadów i chaszczy jako szczerbaty, czarnowłosy szczur, który drapieżnie wgryzł się w moje serce. Biorąc wspaniały odwet, koronował się na człowieka lasu, człowieka-wilka, pierwszego grzybiarza i węd-ka, niemal myśliwego, z pewnością zbieracza i tropiciela.

Za koszmar minionego dzieciństwa mścił się na mnie i matce, rozsnuwając nad nami pajęczynę emo-cjonalnego terroru, o której cicho sza!

Ale tyle razy usłyszałam od niego, że jestem kimś w rodzaju pleśni... Być może finalnie miał rację. Przy-kleiłam się do matki, przywarłam do dziadków, oplotłam Adama i w cierpiętniczej pozie ssę z nich życio-dajne soki.

Niektórym wypadło już pomrzeć, a ja wciąż, raz za razem unoszę oczęta i wzdycham boleściwie: „Ach życie-życie, jakież ty bywasz uciążliwe!”



Lejtmotyw

Dawno przekroczyliśmy brzeg nocy
wjeżdżamy do Rumunii

Nad głowami słoneczników
ogromny ciobanul
srebrnym okiem
dogłąda gwiazdnego stada

Porzuci je kiedy ucichną cykady

Za dnia osiągamy top
drogi transfogaraskiej

W dole tyci tyci bożek Pan
na szmaragdowej hali
zagania białe stadko do koszary
pora dojenia

Zamiast śpiewu fletni psie szczekanie

Usłyszeć Carcassonne

Para spragnionych turkawek
w cieniu milczącego zaułka
chce przeczekać południowy skwar

Zanurzamy się w dyskretnych beżach i brązach
w ledwo słyszalnych szarościach
w naznaczonych słońcem
różach błękitach i zieleniach

Kawiarniany parasol jedynak
drapieźnie krzykiem karminu
sygnalizuje swoją obecność

Gargulec – sprawdzamy –
ma wyschnięty jęzor
dyszy strasząc
otwartą paszczą

Zachodnie niebo pomrukuje granatem
prognoza meteo
już od rana przepowiada burzę

Musimy przekroczyć
barierę średniowiecznego szeptu
i odnaleźć się w przestrzeni
współczesnych dźwięków

Skończyła się woda w butelce

Vincent

Muśnięty skrzydłem Anioła
ultramaryną
wyznaje swoją religię

Przez szpitalne okno
na podobieństwo nocnego ptaka
wlatuje atramentowy pejzaż

Z głową pełną chaosu
bez wina jasna Wenus
wiruje na falach niepokoju

Po lewej ręce
wyrasta przesądny cyprys
smukłe memento mori

Mistral przychodzi z białym katharsis
środkiem horyzontalnie od prawej
poranna mgła

Kontempluję kultową halucynację
łza przemieniona w perłę
gwiazdzista noc
na kaszmirowym szaliku z Arles

Głucha

Malwina Koper wstała lewą nogą. Wszystko ją irytowało. Pal licha, że zamiast zaplanowanych w opasce monitorującej sen siedmiu godzin przespała zaledwie sześć. Najwyżej do dwóch kaw rozpuszczalnych z syropem piernikowym z Torunia zaaplikuje sobie trzecią. Przeboleła też końską muchę i komara, które jakimś cudem przedostały się przez dwukrotnie reklamowaną moskitierę. Machnęła ręką na dwa głośne esemesy od szefowej. W końcu to jej wina, tradycyjnie nie wyciszyła smartfona. Zlekceważyła nawet ścinanie trawy kosiarką spalinową. Chyba nie będzie miała innego wyjścia i zainicjuje internetową zbiorczą porządną (cichy) traktorek dla dozorczy. Arogancki e-mail od członków zarządu wspólnoty mieszkaniowej „Nowoczesność” doprowadził ją jednak do szału. Jak oni mogą domagać się natychmiastowego ogrodzenia osiedla? U progu recesji gospodarczej, w drugiej połowie roku?! Koper teatralnie łapała się za głowę! „Kiedy wprowadzaliśmy się na osiedle, gwarantowano nam ciszę jak makiem zasiał, anielski spokój, idylliczne miejsca z bujną zielenią”. Skąd im się wzięły takie literackie określenia w urzędowej skądinąd korespondencji? Malwina zagotowała się do tego stopnia, że sypała wulgaryzmami niczym Cumulonimbus nocnym opadem. Oczywiście musieli wyartykułować wszystkie swoje wydumane pretensje w formie pisemnej. Nie mogli jak kulturalni ludzie, Europejczycy, użyć smartfona, aby umówić się na spotkanie i w cywilizowany, dyplomatyczny sposób wyłożyć kawę na łąkę? W drugiej wersji dla leniwych wystarczyło użyć któregoś z mediów społecznościowych lub komunikatorów internetowych. Nie, oni musieli kwiecistym językiem wylewać żale z ostatnich kilku lat. Koper ponownie chwyciła się za głowę, zerwała się z łóżka na równe nogi i rzuciła laptopa na kołdrę. I to na tyle niezręcznie, że ten prawie zsunął się na ulubiony dywanik z owczej skóry. Wściekła prawie pobiegła do kuchni, przygotowała tradycyjną latte z ekspresu i już spokojniejsza usiadła w salonie na kanapie. I myślała, czy powinna w jakiś sposób odnieść się do tych zarzutów lub zaproponować zebranie, na którym wytłumaczy piniaczom, że to wszystko nie jest takie proste. Najchętniej skapitulowałaby, w tym była najlepsza. Nigdy nie przejawiała skłonności do ryzyka, brakowało jej elementarnej odwagi cywilnej. Psycholodzy prawdopodobnie orzekliby, że ma osobowość borderline, którą cechuje między innymi częsta zmiana nastroju i chwiejność emocjonalna. Malwina wyśmiewała podobne diagnozy. Nie lubiła się wychylać – to wszystko i dzięki temu zawsze spadała na cztery łapy. Niczym sprytna lisica najpierw na kogoś nakrzyczała, potem kiedy wymagała tego sytuacja, przeproszała. Bo trzeba być lisem i lwem, jak pisał Machiavelli. I taka była, uległa albo agresywna, ale nie asertywna. I dlatego, choć uważała większość propozycji lokatorów za niedorzeczne, zgodzi się na wszystkie. W końcu od dekady jest jednym z najbardziej rozchwytywanych zarządców nieruchomości w mieście. Na spokojnie wypunktuje postulaty mieszkańców i proponuje tzw. mapę drogową ich realizacji. W pierwszej kolejności zaakceptuje dodatkowe ogrodzenie placu zabaw i zakaz wejścia dla dzieci spoza osiedla, to drobiazg, ale pokaże, że ma dobre intencje. Na funduszu remontowym zbierała się już całkiem spora sumka i kawałek „siatki” nie sprawi przecież, że zbankrutują. Co prawda miejska opinia publiczna zapewne wyrazi dezaprobatę wobec tego posunięcia. No, ale jak odmówić mieszkańcom, którzy piszą tak: „Opłacamy panią z naszych składek członkowskich, czyli pani jest pracownikiem do naszej dyspozycji”. To bezczelne, ale prawdziwe. Nie będzie przecież walić głową w mur.

II

We wtorkowe popołudnie na placu zabaw było gwarno. Maluchom nie przeszkadzała patelnia, jaką zafundowało lipcowe słońce. Termometr o 15.00 wskazał 37 stopni w cieniu, ale dwóch czterolatek wrywało sobie wiaderka z gorącym piachem. – To moje! Nie, moje! Głupi jesteś! Sam jesteś głupi! Rodzice nie reagowali, znużeni upałem, gapili się w smartfony. Ukraina właśnie przeprowadza udaną kontrofensywę na południu kraju – bił po oczach artykuł jednego z opiniotwórczych portali. Drugi przedstawiał alternatywną opinię, Rosja zmieniła taktykę i dowódców i po spodziewanym zwycięstwie na Ukrainie zaatakuje państwa bałtyckie, a potem przyjdzie kolej na Polskę – straszyl dziennikarz. Niczego nieświadomi Franek i Łukasz woleli atakować swoje niezbyt urodziwe babki z piasku. Przyłączyła się do nich Zuzia, piegowata dwulatka, ale nie zwrócili na nią uwagi. Na skromnym placu zabaw była jeszcze dziesiątka innych dzieci, które ganiały się jak pijane muchy na suficie. Chaos jest zbyt delikatnym słowem na określenie nieskoordynowanych ruchów wokół własnej osi, czyli piaskownicy, domku ze ścianką wspinaczkową i bujaka. Zabawa nie miała lidera ani liderki, pomysłu i energii. Już chyba nawet wspomniane leniwe muchy miały więcej werwy. Można było odnieść wrażenie, że całe to zbiegowisko utnie sobie drzemkę w hiszpańskim stylu. Nagle metalowa bramka przy wejściu otworzyła się za sprawą małych, nieśmiały rączek odrobinę przestraszonej dziewczynki. Rozglądała się na wszystkie strony świata, niezdecydowana czy wejść. Pięcioletnia Julia miała głęboki niedosłuch. Na lewym uszku zamontowano jej aparat słuchowy, w prawym miała niewidoczny, wszczepiony pod skórą implant ślimakowy. Jego zewnętrzna część, składająca się z zausznego procesora mowy i kabelka łączącego procesor z anteną, przykuła uwagę chłopców. Julia nosiła opaskę podtrzymującą procesor. Uczyła się mówić, od kilku miesięcy rozumiała otoczenie i komunikowała się z rodzicami i braciszkiem. Dziewczynka wślizgnęła się bezszelestnie na plac zabaw, wdrapała na drewniany domek i zjechała ze ślizgawki. Głośno krzyczała.

– Ale kosmitka! Tato, zobacz, jaki dziwoląg! – krzyczał jeden z chłopców.

– Czego tak się drzesz? – skarcił syna gburowaty jegomość. Miał wytatuowane prawe ramię i groźne spojrzenie. Podeszedł do dziewczynki. Delikatnie ściągnął ją ze ślizgawki i wyniósł z placu zabaw.

– Więcej tu nie wchodzi, to nowoczesne osiedle, nie cyrk! – powiedział spokojnie jegomość. I rzucił do siebie pod nos. – Ta Koper to jest jednak nieudolna!

Julia nie płakała. Stała i ze smutkiem patrzyła w furtkę.

– Jestem zepsuta – wyszeptła cichutko.



* * *

może kiedy pierwszy pocałunek
nierówny oddech
po wspinaczce na czwarte piętro
kiedy pochłaniałem wiersze Herberta
kiedy rodzice odeszli
włosy na brodzie i głowie
zakwitły bielą
może nad filiżanką kawy
w bistro na Kazimierzu
albo po przebudzeniu
kiedy oczy błędzą po zmarszczkach sufitu
poczułem ramiona czasu

* * *

biegałem za świetlistymi warkoczykami
uśmiechałem do namolnych ciotek
humorzystych nauczycielek
w czasie lekcji matematyki
czytałem zakazane powieści
po lekcjach kopałem piłkę
grałem w palanta
rozjeżdżałem rowerem chrabąszcze
miałem trzynaście lat

Mirosław Kuleba

Córka ben Brahima

(z cyklu „Obrazki z wystawy”)

Najbardziej zuchwałe spojrzenie wszech czasów rzuca mi w twarz córka ben Brahima, obwieszona złotem Beduinka półdzika, którą sobie onegdaj kupiłem. Nie targowałem się wiele, przebiłem gładko wszystkich. Kiedy się zdobywa istotę tak cenną, czy to klacz z pustynnej hodowli, sokoła ułożonego do łowów na gazy, czy też dziewczącą księżniczkę z rodu bejów, cena nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, czy przedmiot pożądania trafi w twoje ręce. Euforia tej chwili, gdy zamiast całego świata masz jedyną perłę, wartą takiej ofiary. Ofiary z całego świata, a może z twojego życia.

Śmierć obleczona w światłość zamarła nad ostrzem piramidy. Głowa dziewczyny rzuca tylko rąbek cienia na smukłą szyję. To jedyne miejsce, którego nie sięga pałające oko otchłani. Żar białego słońca wbija szklane ostrza w jej oczy, jej najdoskonalszy oręż, ostry jak obosieczna dżambija.

Nie poznałem jeszcze jej imienia. Nie jest mi potrzebne, każde imię podważy tylko jej oczywistą bezcielesność. I nieokreśloność pełną przemilczeń, gdyż nie widzę jej stóp i dłoni, a suknia zakrywa więcej, niż odsłania. Podziwu dla tego, co widzę, w żadnym znanym mi języku nie sposób jednak wyrazić wystarczająco rzeczowo. Niektórzy powiedzą, że ta dziewczyna jest skończonym pięknem. Ja widzę tu jednak raczej nieskończoność piękna, każda inna miara byłaby chybiona. Nieskończone, a więc bezgraniczne. W tym sensie, że owszem, jest pewien stan skończonej doskonałości, lecz wystarczy nieznaczna zmiana warunków – światła, przepływu pustynnego żaru, może barw rzucanych przez rozkwitły nocą rzadki kwiat – by doskonałość zyskała całkiem nowy wymiar, stała się jakąś alternatywną doskonałością, równie doskonałą.

Jest w niej zatem nieskończony potencjał doskonałości, całe spektrum uroku w najwyższym diapazonie, zależnym od moich oczekowań, pory dnia albo jej kaprysu.

Pora dnia – teraz widzę ją w samo południe, świadczy o tym siła, z jaką słońce wnika w głębię jej ciała. Właściwie to słoneczne promienie wypalają jej wizerunek w drgającym powietrzu. Moc niebiańska przenika jej śniadą skórę, więźnie w niej i wzbiera najcenniejszym z możliwych kształtem wykrojonym z bezmiaru przestrzeni. To forma kobiecego ciała, ledwo jednak widocznego w półkolistym dekolcie zwiewnej bawełnianej sukni, w lunarnym, gazelim łuku smukłej szyi i twarzy okolonej czarnymi włosami, których nie zagarnął turban.

Jej skóra była w tym słońcu równie gorąca i sucha, i tak samo płynnie uformowana jak piasek pustynnych węd, których fale przesypywały się z cichym szelestem, niczym w klepsydrze wieczności, za jej plecami. Kwarcowy pył, niesiony każdego dnia przez wiatr, nadawał jej ciału gładki szlif. Welinowa gładkość skóry przypominała w dotyku szlifowany w kaboszon topaz, igrający gamą odcieni brązu, ale dłoń mężczyzny przywykła do broni i wielbłądziej uprzęży nie była zdolna do rozpoznania subtelnej apertury dziewczęcej *charta virginea*.

Cień ukryty w najgłębszej partii oczodołu syciły smugi rzucające przez rzęsy. Brzegi powiek poczerńiła kulem ze startego na proszek antymonu. A może jednak był to naturalny ciemny odcień. Myślałem o tym, jak nakłada mirwadem czarny eyeliner, zawsze tym samym gestem od czasów królowych Egiptu. Dobrze mi znana z Orientu *الكحل لاسود وانجذابه للمغناطيس*. Czarna kredka do oczu i jej magnetyczny powab.

Pewnego dnia objawiła się w nowej postaci. Ta sama, lecz wyrzeźbiona innym słońcem, osmagana żarem wiatru, który przyniósł oddech dalekiego morza. Światło, zależnie od tego, czy napływało ze słu-pów powietrza drgającego nad mirażami zwierciadlanych tafli, czy więzło w bezruchu krystalicznej struk-tury południowych godzin, czy też nasycalo się złotem chylącego się ku wieczorowi dnia, ożywiało pale-tę spłowiących barw jej skromnego ubioru: bladoliliową osnowę zawoju na głowie, ozdobionego na czo-le złotym dinarem, metaliczne rozbłyski wielkich zausznic w kształcie złotych kół, pasiasty deseń materia-łu sukni w tonacji ziemnych ugrów. Spod turbanu spletały się z wiatrem i wiły niczym rozsierdzone węże jej czarne włosy, nasyczone najgłębszą nocną czernią, jakby nigdy dotąd nie wystawiała ich na zabójczy żar słonecznych promieni, palących ciało do białej kości.

W tej odmienionej hipostazie smagła, niemal europejska karnacja dziewczyny nabierała nasyconej, cze-koladowej głębi, pokrytej lśniącem werniksem wilgoci. Jej beduińską, arabską dominantę dopełniał nagle ciemny, afrykański – egipski czy berberyjski – komponent, żarliwy i jeszcze bardziej dziki. Wtedy malowa-ła usta jaskrawą, karminową szminką, a rozsiane smugi tego samego czerwonego pigmentu dostrzegłem na jej policzkach i w oprawie oczu.

„Gdzież on ją spotkał? – myślałem o pułkowniku, który sporządził wizerunek tej dziewczyny. – Jak na-kłonił mużulmankę, żeby mu pozowała?”. Przecież wiadomo, że kiedy mężczyzna zostaje sam na sam z ko-bietą, to tym trzecim jest szatan.

W świecie islamu kobiece spojrzenie to ulotna kreacja sztuki patrzenia, przesłanie dla mężczyzny. Obo-je znają dobrze mowę oczu i precyzyjne znaczenie nieuchwytnych znaków. I teraz, kiedy na mnie patrzy, córka ben Brahima kryje w swym spojrzeniu to, czego nie może wypowiedzieć głosem, a ja mam czytać z niego niesłyszalne. Odkryła twarz, lecz nie mogła zdjąć niewidzialnej zastony dla swej czci, której god-nie bronił majestat tego spojrzenia. To co powinno zostać dla świata zakryte, okryła tajemnicą, lecz pro-mienie światła, iskrzące w toni oczu, niosły nieomylnie przesłanie. Tam, w głębi, zwały się w walce wielkie siły. Ukryła pod maską wyniosłego spokoju potęgę swej namiętności, lecz nie sposób oszukać łowcy spoj-rzeń. Wiedziałem, że jest córką pierwotnej, dzikiej potęgi bezkresnej pustyni, nieokiełzanych, gorących wichrów z serca interioru. Każdej nocy słyszała w ich wyciu szept demonów. I może miała już w sobie szes-naście biesów, jak mówili niektórzy, dlatego była taka piękna.

Trwała w bezruchu z tym spojrzeniem sfinksa, które nadawało jej rangę pustynnego bóstwa. Zdawa-ła się dominować, lecz była to taka sama uluda jak lśniące w pustynnym piecu tafle odległych akwenów. Wyzywający wzrok miał bronić tego, co uduchowione, delikatne i wystawione na cios. Ukryła pod nim swe uczucia i bezgłośnie zmagania z samą sobą, na dnie duszy, gdzie kłębiło się w niej to najcenniejsze. Może to była szlachetność myśli, wykwił jej pragnień. A może grzech i wina. Jeszcze nie chciałem tego poznać, pamiętając o hadisie Proroka: „Obyś nie był z tych co zrywają zastony i ujawniają tajemnice”.

Wiedziałem jednak, że to nie jest kobieta zamknięta pod żelazną pieczęcią w oczekiwaniu mężczyzny, którego imienia jeszcze nie zna. Jej ciało już wymknęło się spod władzy tego nieznanego człowieka, spod czyjejkolwiek władzy. Nawet jeśli została obrzezana, jak wiele Arabek z pustynnych krajów. Cóż uczyni jej ojciec, gdy prześcierał po nocy poślubnej pozostanie białe! „Ale gdzież jest krew, moje dziecko?” – zapy-ta zdruzgotany, jak ten starzec z perskiej opowieści, zanim sięgnie po *saif*.

Córka z rodu szejka ben Brahima nie została jednak w tamtych latach królową pustyni. Karawana sie-demnastu wielbłądów przywozła kiedyś do Kairu z morza ruchomych piasków Wielkiego Nefudu inną *Queen of the Desert*, rudowłosą Gertrude Bell. Tak samo jak księżniczkę Beduinów, Angielkę owładniętą miłością do pustkowiec, którego ogrom, bezkres i milczące okrucieństwo oferowały „upojne potwierdzenie własnej siły” – albo śmierć. Któż ośmielił się zmierzyć z oceanem, w którym nie sposób zanurzyć wiosła, którego wody, stale połykujące w oddali, są tylko mirażem. Kto odważy się istnieć w otchłani nicości, żyć otoczony widnokregiem śmierci. Widok ten wzbudzał w Bell euforię, zanim nie odkryła, że Beduini w istocie nie-

nawidzą pustyni, gdyż kochają wodę i zielen oazy. Wtedy utraciła swą miłość, a morze piasków zamknęło nad nią fale. Nie wiadomo, co stało się z córką ben Brahima.

Pułkownik znał dziesiątki, może setki takich demonów pustyni. Oficer carskiej artylerii, podróżnik, egptolog amator, wielbiciel kobiet, wina i polowań. W Egipcie poznał Howarda Cartera i uczestniczył w eksploatacji grobowca Tutanchamona. Powstały wtedy cykle rysunków i płócien ze scenami z wnętrza komór grobowych, do których jeszcze wtedy nikt postronny nie miał wstępu. Pułkownik utrzymywał, że pełnił funkcję oficjalnego rysownika ekspedycji lorda Carnarvona i Cartera, a jego obrazy trafiły do kolekcji króla Egiptu, Fu'ada I. Był najciekawszym polskim malarzem-orientalistą swych czasów.

Miałbym z nim o czym rozmawiać, gdybym w porę trafił do Egiptu. O Beduinkach, których wtedy jeszcze nie poznałem, albo o rosyjskiej artylerii, którą poznałem dobrze na kaukaskim froncie pod Itum-kale, leżąc trzy kwadranse w płytkim okopie pod ogniem baterii pułkowych moździerzy. Albo innego dnia pod ognistym ściegiem poczwornie sprzężonych *szifek*, automatycznych armat Afanasjewa-Jakuszewa szyjących na wprost w czeczeńskie okopy, czy pod nawałą haubic, których pociski rozdzierały chmury nad nami w zenicie balistycznej paraboli. Beduinki były bardziej interesujące. Temat artylerii mógł się zresztą w ogóle nie pojawić. Raczej jednak Beduinki w zmienności światła i zapachów pustyni, skoro już w czasie nauki w szkole oficerów artylerii przyszedł pułkownik Aleksander Laszenko równolegle studiował malarstwo w petersburskiej akademii sztuk pięknych, gdzie został uczniem wielkiego mistrza Iłji Riepina.

Był Polakiem z kresowego majątku w charkowskiej guberni, ale do końca życia utrzymywał kontakty ze środowiskiem rosyjskich białych emigrantów. Nekrolog o jego śmierci w 1944 roku rodzina zamieściła w emigranckiej gazecie „Nowoje Słowo”, ukazującej się w Berlinie. Było to pismo literackie o wyrażeniu antysowieckim obliczu, jedyna rosyjskojęzyczna gazeta w III Rzeszy. Szpalty poświęcone szachom redagował w nim czwarty szachowy mistrz świata, Aleksandr Alechin. Po klęsce hitlerowskich Niemiec redakcja została oskarżona o kolaborację z nazistami, a redaktor naczelny, którego dopadli Rosjanie, spędził jedenaście lat w łagrach. Syn pułkownika Laszenki, z pokolenia Kolumbów, w 1939 jako harcerz wziął udział w bitwie nad Bzurą, walczył w obronie Warszawy, został podchorążym Związku Walki Zbrojnej i z siostrą Ludmiłą wstąpił do konspiracyjnej organizacji Miecz i Piłg.

Najpierw udało mi się kiedyś kupić barwny drzeworyt, na którym pułkownik pokazał dość dwuznaczną scenę, zapewne inspirowaną malowidłami z grobowca Tutanchamona – lzydę karmiącą piersią młodego mężczyzny, Horsa. Lecz Izis, mimo boskiej krwi, nie była tak piękna jak córka ben Brahima, toteż wytrwale kilka lat jej szukałem. Tej prawdziwej i żywej księżniczki pustyni, o której może powiedział Prorok: „Padnijcie przed nią, bijąc pokłony!”.

Gdy ją w końcu znalazłem, pojawiło się pytanie, czy Laszenko rzeczywiście widział kiedykolwiek tę dziewczynę w takiej postaci, jak ją przedstawił. Czy mogła tak odsłonić przed nim czarne włosy, rozwiane na wietrze? *Haram!* Kiedyś jednak trafiłem na fotografię tańczących Beduinek, którą zrobiła w 1956 roku Inge Morath, austriacka fotograf od pierwszego wejrzenia zakochana w błękitnym koniu Franza Marca – odkąd ujrzała go jako czternastolatka na nazistowskiej wystawie sztuki zdegenerowanej. Uciekła od zgłędu świata i wojen na pustynię, gdzie spotkała tańczące Beduinki. Miały suknie z takim samym wycięciem na piersi jak modelka Laszenki, a ich rozwiane włosy pożerały powietrze niczym czarne płomienie.

Odtąd oglądałem ją każdego dnia, jak słońce gładzi o świcie jej policzki, a noc sypie gwiazdy na jej włosy. A ona trwa niewzruszenie, istny sfinks, z tym swoim kamiennym spojrzeniem miazdzącym na proch męską siłę. Z grymasem ust, który nie jest jeszcze uśmiechem, który zdaje się wyniośle odtrącać, lecz niekiedy przesyła zachętę, gdy nakładała na wargi szminkę.

Laszenko nie sygnował swojego dzieła na klocek, każdą odbitkę drzeworytu podpisywał odręcznie ołówkiem. Na dolnym marginesie umieścił też datę – rok 1936.

Ten znak czasu, niedbale naniesiony na papier, ukazał mi mroczny aspekt brawurowego portretu dziewczyny, przywiązany zresztą do każdego dzieła sztuki. Jeśli córka pustynnego szejka ben Brahima miała wówczas szesnaście lat, na ile wygląda, dzisiaj, kiedy piszę te słowa, musiałyby już przekroczyć setkę. Uświadomiłem sobie, że to piękno już dawno zapadło w nicość, tak jak ona sama rozwiła się w pustynny piasek, w pustynny pył.



Aleksander Laszenko, *Córka ben Brahima*, drzeworyt barwny z kolekcji Mirosława Kuleby

Zmysły

Renacie

Mój przepity i przepalony tembr głosu zdecydowanie odstaje od miękkości, ciepła wypływających z twych ust i nawet gdy nieraz puszcza ci nerwy, każdy po głosie nas rozróżni.

Nie wiem, jak smakujesz i sprawdzać tego nie zamierzam, jednak ambrozja, która spływa z ciebie, różni się smakiem od nektaru, którym czasem cię karmię.

Ślepiec czy Temida też nie będą mieli problemu z rozróżnieniem nas przez dotyk. Wystarczy, że przejadą dłońmi po przeoranej bliznami mej twarzy lub dotkną siedem razy złamanego nosa.

Swą powierzchownością zdecydowanie się różnimy, tak jak Bóg przykazał i tu na pewno nie może dojść do pomyłki.

Jednak wciąż dążymy do tego, by nad ranem, które nastaje po upalnej lipcowej nocy, nasze zapachy, niczym nasze dusze,

były do siebie bliźniaczo podobne.

Zanurzeni w lato

Renacie

Tego upalnego lata zanurzaliśmy się w siebie
za pomocą wszystkich zmysłów. Słuchaliśmy
swoich przyspieszony oddechów, które zagłuszały
bicie serc i cisze poprzedzającą przynoszącą ulgę

letnią burzą. Zachwycaliśmy się naturalnością
wolnych od ograniczników i pomalowanych
słońcem naszych ciał. To sprawiło, że nasz wzrok
mógł wreszcie raz na zawsze odstawić do kąta

niepotrzebną nikomu wyobraźnię. Na swych ciałach
rozcieraliśmy dłońmi krople rozkosznej i kojącej
choć cieplej wilgoci. Słony smak potu na naszych

językach uświadamiał nam, jak to być solą tej ziemi.
Mimo ciągłego wymieniania się zapachami ty nie
pachniałaś mną, ja nie pachniałem tobą. Pachnieliśmy

po prostu sobą (w liczbie podwójnej). Zanurzeni
w siebie, leżąc na starej, mało wygodnej i zbyt wąskiej

mieszalni zmysłów.

Cytryna

Na rogu ulicy Plonnej mieścił się ostatni warzywniak w mieście. Tę nazwę z pewnością wymyślił ktoś bagatelizujący rolę owoców w kraju i na świecie. Nomenklatura od zawsze lubiła się z dyskryminacją. Warto więc zauważyć, że w rzekomym warzywniaku o nazwie „Soczysty” można było nabyć również owoce. Dzień opływał w słońce, ja natomiast w pot. Z jakiegoś powodu dopadła mnie chęć na herbatę z cytryną. Słyszałam, że zalewanie trzewi wrzątkiem w upał służy zdrowiu. Bardzo chciałam przetestować tę recepturę na sobie samej. Wybrałam się więc do legendarnego sklepu, by nabyć złoty owoc o właściwościach magicznych. Postanowiłam potraktować cytrynę niczym złotą rybkę. Pomyślałam, że jak wypiję herbatę z kwaskowym sokiem, moje życzenie się spełni. Byłam o tym definitywnie przekonana. Stałam u bram sklepiku obklejonego wizerunkami krwiożerczych warzyw i owoców z czasów poprzedzających moje narodziny. Nieco wyblakły, ale nadal dziarsko trzymały się szyb. Kiedyś to produkowali mocny klej. Już miałam wchodzić, gdy nagle owładnęło mną wspomnienie z pierwszego balu przebierańców w przedszkolu. Mimo braku plastycznego uzdolnienia moja mama postanowiła samodzielnie stworzyć dla mnie kostium. Byłam ubrana cała na żółto oraz obklejona żółtymi kokardami od stóp do głów. Panie przedszkolanki myślały, że jestem księżniczką lub kaczką. Myliły się srogo. Niestety nie rozpoznawały we mnie cytrynki, którą podobno byłam. Od tego zajścia już zawsze korzystałam z wypożyczalni kostiumów.

Nadszedł czas, by przekroczyć bramę do cytrynowego raj. Weszłam do sklepu. Na wyblakłych skrzyniach piętrzyły się owoce i warzywa rodzajów wszelakich. Za ladą brakowało osoby sprzedającej, więc postanowiłam poczekać, kalkulując w głowie zasadność moich zakupów. Nagle usłyszałam bzyczenie, które po chwili weryfikacji okazało się nie pochodzić od prawdziwego owada. Była to jedynie nieudolna imitacja. Rodzaj ludzki nie jest w stanie dorównać światowi fauny i flory, czego sama jestem przykładem. Spod lady stopniowo zaczęły się wysuwać gigantyczne czułki z pluszu, następnie naznaczona upływem czasu oraz promieniami słońca twarz zwieńczona bujną czarną brwią. Sklepiarz był odziany w żółty, mieniący się ku-brak, do którego przykleiło się stado czarnych muszek.

– A czym niewiasta chce się naszprycować? – przemówił szczebiotliwym i jednocześnie ochryplym głosem.

– Ja tu tylko po cytrynę – odparłam niemrawo, acz pewnie, tłamsząc emocje.

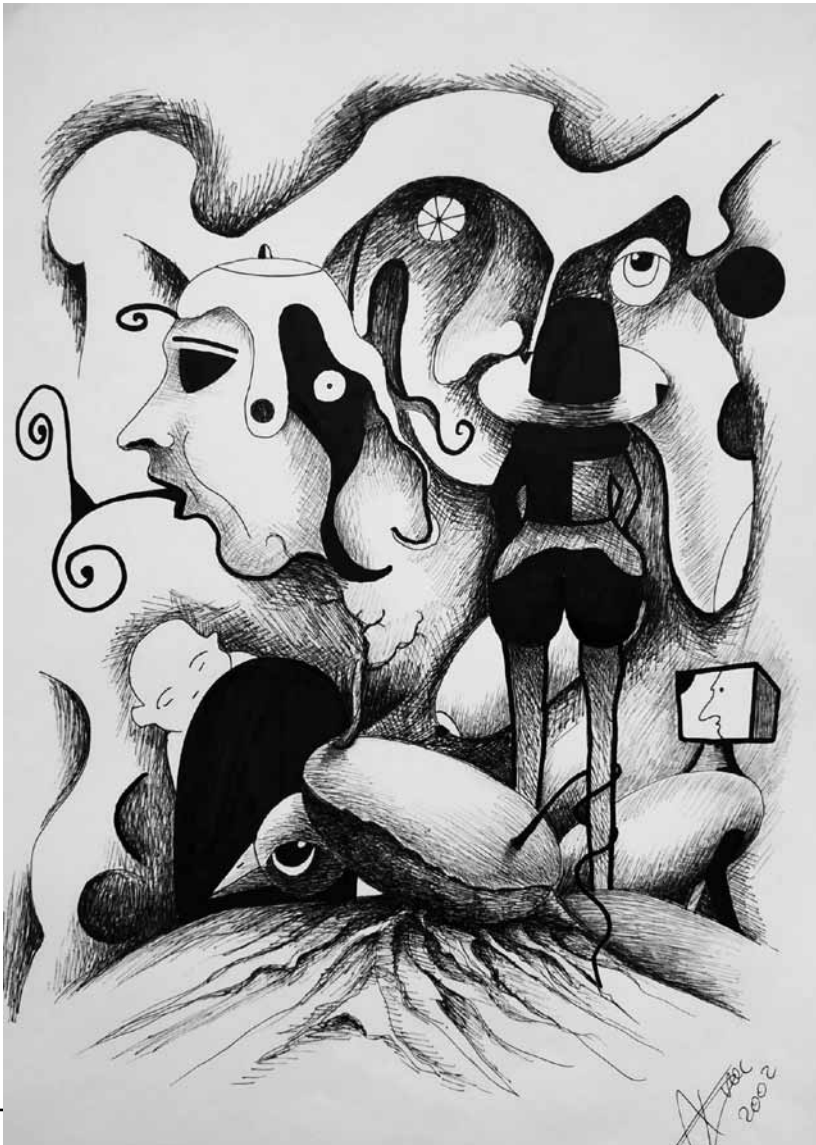
– Wolisz na zakwasie czy kwasku? Po kwasku fajnie się bzyczy, bzzzz – oświadczył śpiewnie sprzedawca, a następnie wyszedł zza lady, rozpostarł pszczele skrzydełka wykonane z rajstop i zaczął zataczać kręgi wokół skrzyń z dobrodziejstwami natury.

Postanowiłam odszukać towar samodzielnie. Leżały tu kilogramy kabaczków, papryk i jabłek, ale nigdzie nie mogłam dostrzec żółtych jak lep owoców. Nagle sprzedawca zamarł w bezruchu na kilka sekund, a potem oświadczył:

– Cytryny to wyjątkowo ożywczy wynalazek. W związku z tym trzymam je w kieszeniach płaszcz. Prawa, zakwas, lewa, kwasek. Kto jak kto, ale ty powinnaś mieć rozeznanie w cytrynach. W końcu kiedyś byłaś jedną z nich. Bzzzzz!

Słyszac te słowa, zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem ten obcy człowiek wie o moim cytrynowym upokorzeniu w wieku lat trzech. Postanowiłam nie marnować czasu i emocji na zbędne domysły, więc zapytałam wprost:

- Przepraszam, czy my się znamy? Pracował pan może w Przedszkolu imienia Tańczącego Trolla?
 - Pracuję to ja tutaj. Pamiętasz, dziecko, kolegę Cypriana Miodownego? Jestem jego dziadkiem. Anegdota o dziewczynce przebranej za cytrynkę nie da się zapomnieć – odparł bez zbędnego bzyczenia.
 - No dobrze, ale jak mnie pan rozpoznał? – drążyłam temat dalej niczym owoc pestkowy.
 - To tajemnica pszczelarza – odrzekł, pozostawiając mnie z niedosytem wiedzy i niezaspokojonym głodem cytrynowym. Nie brak mi było odwagi do wielu poczynañ, jednak do skosztowania tajemniczych cytryn prosto z kieszeni Pana Pszczoły brakowało mi siły.
- Od czasu tamtego zdarzenia nie pijam już herbaty z cytryną, ale czuję się nieco bardziej samoświadoma. Już wiem, dlaczego nie znoszę na sobie żółtych ubrań.



Wiersze do suszenia włosów

Nocą upominają się o mnie
alternatywne żywoty
Mieszkania do których nie ma powrotu
znów otwierają drzwi na oścież w snach
Za nimi głodny pies
na wpół zwiędły kwiat
w czajniku letnia woda
którą nie można już zalać herbaty

Wołają mnie po imieniu
postacie na pocztówkach
przyszpilonych do ścian pokoju z nastoletnich lat

Tak jakby całe dorosłe życie
to była tylko gra na czas

Co rano wypracowuję w sobie męską gruboskórność
zapachem żywicy i kadzidłowca
dźwiękiem ostrza sunącego po skórze w takt fałszowanych melodii
kawą tak mocną że chce się zgrzytać zębami
podcastem o wojnie na dobry początek dnia

Lecz moje oczy
staroświeckie szklane kule pełne zwiędłych kwiatów
nieodwołalnie czynią mnie kobietą

Syrena z lustra powiedziała mi
szkoda że ja to nie do końca ty
idealnie gładka twarz wydmuchana ze szkła
na każde złe spojrzenie
zimny rykoszet ma

Najgorętszy język na wschód od Łaby

Pod koniec studiów miałem krótki epizod z wynajmowaniem pokoju w mieszkaniu czterdziestoparoletniej kobiety. Zostałem wyrzucony z akademika za bójkę, której nie sprowokowałem, ale tamten gość i tak poskarżył się władzom uczelni po tym, jak spuściłem mu staromodne manto. Wywalono nas obu. Z dnia na dzień wylądowałem na bruku, z całym swoim mizernym dobytkiem zapakowanym w czarne worki na śmieci. Miałem farta, że znalazłem ten pokój jeszcze tego samego dnia. Zostawiłem swoje graty w aucie i poszedłem na spotkanie z właścicielką.

Ogłoszenie pojawiło się z rana, a ja zadzwoniłem kilka godzin później, nie bardzo licząc na sukces. Odebrała za pierwszym razem, jej głos wydawał się przyjemny i cichy. Nie była zbyt rozmowna, wolała się spotkać na żywo, chociaż oznajmiła, że właściwie jest już zdecydowana wynająć ten pokój jakiejś dziewczynie z Ukrainy. Tylko moja żałosna historyjka sklecona na szybko skłoniła ją do dania mi szansy – oczywiście pominąłem powód eksmisji z akademika, nie chciałem uchodzić za agresywnego typu, pospolitego banziora czy coś w tym stylu.

Mieszkanie znajdowało się na samym szczycie dziesięciopiętrowego wieżowca. Wszedłem do środka i od razu zorientowałem się, że nie jest to najpiękniejsze miejsce do życia – no, ale tak właśnie żyje przecież większość Polaków. Ściany wydawały się nieruszane od lat – pomalowane farbą olejną do połowy, odrapane, z czarnymi bohomazami. Do tego śmierdziało kurzem i gnijącymi śmieciami ze zsypu. Wpakowałem się do windy, która była w opłakanym stanie i pojechałem na samą górę. Brązowe drzwi znajdowały się na końcu korytarza po lewej. Zadzwoniłem. Otworzyła mi niemalże po sekundzie. Włosy w lekkim nieładzie i nieufne spojrzenie. Brak makijażu i podkrążone oczy. Ubrana w luźny, domowy dres. Nie była brzydka, pewnie w młodości uchodziła za ładną, ale wyobrażałem ją sobie trochę inaczej, chyba zmylił mnie jej delikatny głos. Stałem przez chwilę, czując dziwną blokadę, jakby ktoś wyrwał mi nie tyle język, co mózg.

– Myślałam, że będziesz wyglądał trochę inaczej – powiedziała na powitanie.

– Jak byłem dzieciakiem, to też wyobrażałem sobie, że będę wyglądał jak Brad Pitt.

– Nie, nie, źle mnie zrozumiałaś. Wyglądasz ciekawie, jesteś dosyć przystojny. Chodziło mi o to, że myślałam, że będziesz wyglądał na bardziej zmęczonego, bardziej jak...

– Bezdomy?

– Chyba tak.

Zaśmiałem się ciepło z tego żartu, a ona zaprosiła mnie do środka. Mieszkanie sprawiało wrażenie zadbanego, wszędzie panował porządek. Ściany były odświeżone, meble i dodatki też wyglądały na dosyć nowe. W powietrzu pachniało czymś przyjemnym, nie wiedziałem, jak to możliwe, ale chyba łąką w czasie wiosny. Pomyślałem, że byłoby mi tu naprawdę dobrze.

Zanim otworzyła drzwi po prawej, odwróciła się i powiedziała:

– Nie było dobrej okazji, przez telefon wyleciało mi twoje imię... Ja jestem Renata.

– Marcel.

Pokój prezentował się skromnie, ale całkiem przytulnie. Były w nim mała kanapa, biurko, stolicek nocny, duża szafa do sufit i dywan na środku, trochę już sprany. Widok za oknem wychodził na miasto. Wieczorem musiało być tutaj ciekawie.

– No i tak to wygląda, to jest ten pokój – oznajmiła. – Nie wiem, co mam więcej powiedzieć, wszystko widzisz.

– Jest w porządku.

Później oprowadziła mnie po reszcie mieszkania. Jednak swojego pokoju czy też sypialni mi nie pokazała, ale przecież to rozumiacie.

Oglądałem wszystko powierzchownie, bo wołałem przyglądać się Renacie, jej gestom, ruchom, mimice. Było w niej coś bardzo interesującego. W końcu usiedliśmy na kanapie, w tle grało TV.

– Kiedy chciałbyś się wprowadzić? – zapytała, podnosząc na mnie oczy znad kubka z kawą.

– Chociażby za pięć minut – odparłem szczerze.

– Czyli co? Naprawdę nie masz gdzie się podziać?

– Nie bardzo.

– A dom?

– Daleko i nieprawda.

Napiła się, a potem odstawiła powoli kubek i westchnęła ciężko.

– Właściwie jestem już umówiona z tamtą dziewczyną – oznajmiła powoli.

– Rozumiem.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle chciałabym mieszkać z obcym facetem pod jednym dachem. Wiesz, jak jest, tyle się słyszy, no i w ogóle sam fakt mieszkania z nieznanym mężczyzną, tylko ty i ja, nikogo więcej...

– To rozumiem tym bardziej.

Przez kilka chwil patrzyliśmy na siebie bez słów. Dobrze przyjrzałem się jej twarzy. Wyglądała dosyć ładnie, oczy miała ciemne, usta wydęte i nieduży nos. W jej spojrzeniu czaiło się jednak coś smutnego, miałem świadomość, że ta kobieta musiała wiele przejść. Zmarszczki i przebarwienia znaczyły jej twarz niczym znamiona. Musiała być z dwa razy starsza ode mnie. Będąc na miejscu Renaty, nie wynająłbym pokoju komuś takiemu jak ja.

– Wiesz, nie zdążyłam zapytać o podstawy. Co tak właściwie robisz? Studiujesz, pracujesz? – zapytała.

– Pracuję na magazynie, kończę właśnie studia.

– Jakie?

– Dziennikarstwo.

– A masz jakieś hobby?

– Trochę piszę.

– Co?

– Głównie opowiadania, ostatnio skończyłem powieść.

– Czyli jesteś pisarzem?

– Nie powiedziałbym.

Kiedy dopiliśmy kawę, Renata podniosła się z kanapy i podziękowała mi za przyjście, a ja podziękowałem jej za możliwość spotkania. Oznajmiła, że jeszcze dziś podejmie decyzję i ewentualnie się do mnie odezwie. Powiedziałem, że będę czekał na jej telefon, chociaż przyznałem ze szczerością, że na to nie liczę. Rozumiałem przecież jej położenie. Opuściłem mieszkanie i starą, pomalowaną na beżowo windą zjechałem na parter. Ktoś napisał tutaj czarnym markerem, że czas to najcenniejsze, co ma. Akurat, pomyślałem. Ja swój sprzedawałem bezpowrotnie za 19,70 brutto za godzinę. Poszedłem do auta i posiedziałem w nim jakiś czas, słuchając muzyki. Trochę mi zeszło. Kiedy miałem już odpalić i odjechać, zadzwonił mój telefon. Odebrałem.

– Marcelu, dzwonię ci powiedzieć, że możesz się wprowadzić – oznajmiła tym samym spokojnym głosem co wcześniej. Tym razem jednak była w nim jakby ulga. – Odmówiłam tamtej dziewczynie, właściwie to ona znalazła już coś innego.

- Cieszę się – odpowiedziałem.
- Możesz przyjechać nawet zaraz.
- Dobrze. Będę za trzy minuty.
- Za trzy?
- Zostałem pod blokiem. Może to dziwne, ale wiedziałem, że zadzwonisz.
- Wiedziałeś?
- Coś przeczuwałem.

Kilka sekund się nie odzywała, dobrze słyszałem jej oddech po drugiej stronie. W końcu rozłączyła się, a ja wysiadłem z auta i wzięłem już kilka gratów ze sobą. Niecałą godzinę później znów miałem miejsce, które mogłem nazywać domem. Chociaż przez jakiś czas.

Po dwóch tygodniach mieszkania razem wiedziałem już, co Renata lubi, a czego nie cierpi. Staralem się zachowywać porządek i sprzątać po sobie na bieżąco. Poza tym wynosiłem regularnie śmieci i dwa razy zrobiłem dla niej zakupy. Pracowała w jakiejś korporacji, więc wychodziła rano i wracała wieczorami, czasami późno w nocy. Szybko zdałem sobie sprawę, że to nie z kwestii finansowych wynajmowała ten pokój. Zwyczajnie musiała mieć kogoś obok siebie. Lubiła ludzi, potrzebowała ich. Mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy.

W dwie pierwsze soboty wystroiła się gdzieś, wymalowała i uderzała na miasto, podobno z koleżankami. Teraz przyszła trzecia. Znów gdzieś wychodziła.

- Pięknie dziś wyglądasz, Renato – powiedziałem, kiedy pojawiła się w salonie. - Właściwie to zawsze pięknie wyglądasz.

Posłała mi pogodny uśmiech i przeszła obok mnie. Ta kobieta nie miała figury dwudziestolatki, widać, że czas zrobił swoje, ale mimo to prezentowała się naprawdę nieźle w tej czarnej sukience, rajstopach i szpilkach. Któregoś wieczora wyznała mi, że jako młoda dziewczyna urodziła dziecko, które musiała oddać. Po tym coś w niej pękło, zmieniło się, nigdy już nie była taka radosna jak kiedyś. Jej ciało również się wtedy zmieniło. Nie wiedziałem, dlaczego jest sama, nie pytałem o to. Nie pytałem też, czy kogoś szuka. Niektórym z nas bycie samemu po prostu służy. Pozostali czasami nie mają wyboru.

- Wychodzę na całą noc – oznajmiła, przyskajając się delikatnie perfumami.

Ich zapach pozostał w powietrzu na długo po tym, jak wybyła z mieszkania.

Ja tego wieczoru też miałem plany, więc absencja Renaty bardzo mi pasowała. Wyszedłem na miasto wraz z przyjaciółką, która właściwie nią nie była, bo w naszej relacji chodziło głównie o seks. Odwiedziliśmy dwa lokale, jeden bar i w końcu – taki był cel – wylądowaliśmy w moim pokoju. Kaśka trochę za bardzo się spiła, ale zapewniała mnie, że sobie poradzimy. Będąc już w łóżku, zaczęła obcałowywać mnie od góry do dołu, zatrzymując się dłużej przy moim penisie. Leżałem jak długi, kiedy ona powoli wzięła go do ust i zaczęła się nim bawić. Trzonek objęła mocno dłońią, masowała z wycuciem i pracowała tak, dopóki całkowicie nie stwardniałem. Potem założyłem prezerwatywę, ona usiadła na mnie, włożyła go sobie do środka i zaczęła powoli ujeżdżać. Dłońmi wodziłem po jej plecach i pośladkach. Kiedy się pochyliła i zaczęła mnie całować, doszedłem. Za szybko jednak.

Rozkazałem Kaśce się położyć, mówiąc, że jestem jej winien jeden orgazm. Zaśmiała się, ale położyła na plecach i rozchyliła nogi. Jej wygolona cipka w pomarańczowym świetle lampy wyglądała jak ósmy cud świata. Uklęknąłem i zacząłem powoli ją obcałowywać, ale zachęcony jej pomrukami szybko przeszedłem do drażnienia językiem łechtaczki. Mój wskazujący palec powędrował do środka. Pracowałem jak mrówka, chcąc doprowadzić ją do szczytu. Znałem trochę jej ciało, wiedziałem, co lubi i jak lubi. Kaśka wiała się i jęczała głośno, w pokoju panował jej słowiczy głos. Nagle jednak coś usłyszałem, dźwięk z głębi mieszkania, jakby otwieranie drzwi, zamek w nich. Na chwilę zwolniłem, nasłuchując. To chyba wróciła Renata, takie odniosłem wrażenie. Nie mogłem jednak tego sprawdzić, bo Kaśka chwyciła mnie za włosy i rozka-

zała doprowadzić ją do obłądu. Przyspieszyłem, mój język pracował jak szalony i chwilę później trzymałem ją mocno za uda, kiedy całe jej ciało trzęsło się niczym rażone prądem.

Kaśka została do rana, ale nie zjedliśmy śniadania. Zaproponowałem jej to oczywiście, chciałem zrobić tosty i jajecznicę, ale odmówiła, tłumacząc, że musi uciekać. Obiecała odezwać się za jakiś czas. Kiedy wyszła, zdałem sobie sprawę, że przy drzwiach, na dywaniku, stoją buty Renaty. Wiedziałem już, że wróciła wczorajszej nocy, wróciła wcześniej, niż zapowiedziała. Zastanawiałem się, ile z tego, co wczoraj robiłem, usłyszała. Nie rozmawialiśmy jednak o tym. Niedziela minęła nam spokojnie, w dziwnej ciszy.

Jakoś w środku tygodnia, po południu, usłyszałem dzwonek do drzwi. Wyszedłem ze swojego pokoju i wyjrzałem przez wizjer. Na korytarzu stał jakiś obcy facet. Otworzyłem mu, bo mógł to być w końcu listonosz, gość od liczników czy ktokolwiek inny.

- Co ty tu, kurwa, robisz?! – spytał mnie autentycznie zdziwiony.
- Czasami sam się nad tym zastanawiam – odparłem.
- Mieszkasz tu?
- Tak.
- Renata nic mi nie mówiła.

Facet chciał przejść obok mnie i wleźć do środka, ale zablokowałem mu drogę. Spojrzał na mnie z prawdziwą nienawiścią w oczach. Był tego samego wzrostu co ja, ale znacznie starszy, krótko ogolony. Postury byliśmy podobnej, tyle że on był roztyty, a ja co jakiś czas chodziłem na siłownię i miałem krótki epizod z boksem.

- Przepuścisz mnie, do cholery? – To pytanie miało brzmieć groźnie i faktycznie brzmiało, z tym że nie trafiło na podatny grunt.

- Facet, nie mam pojęcia, kim ty jesteś – odpowiedziałem spokojnie.
- Renata zostawiła mi coś u siebie. Mam to zabrać. Więc mnie nie wkurwiał, tylko mnie wpuść.
- Nie ma mowy.

Mężczyzna sprawiał wrażenie nieźle rozeźlonego. Jasne oczy mu zapłonęły, twarz poczerwieniała. Wyczułem też w jego oddechu alkohol, który mieszał się z zapachem wody kolońskiej.

- Wpuść mnie, do kurwy, i nie przeszkadzaj!
- Nie.

Byłem pewien, że czegoś spróbuje, nastawiłem się już na to, gotów w razie czego zareagować. On jednak jeszcze raz wyzwał mnie od najgorszych i zapowiedział, że przyjdzie, jak będzie Renata. Życzyłem mu powodzenia. Tego samego wieczoru kobieta spytała mnie o tę sprawę. Spytała, dlaczego nie wpuściłem tego gościa do środka.

- Nie znam typu – odparłem znużony. – Skąd miałem wiedzieć, że mówi prawdę.
- Przecież podała ci moje imię – powiedziała i zabrzmiało to jak oczywistość.
- Każdy może znać twoje imię. To mógł być przecież jakiś złodziej.
- Ale nie był.
- To kim właściwie jest ten facet?

Renata westchnęła, a potem wyjaśniła, że to prawie życiowy partner, z którym średnio jej się układa. Mają lepsze i gorsze momenty. Teraz są te gorsze, dlatego nie utrzymują zbyt często kontaktu. Czekala, aż się między nimi ułoży i wierzyła, że to nastąpi. Prędzej czy później.

- Albert mocno się zdenerwował – oznajmiła mi po chwili. – Uważa, że jesteś jakimś moim nowym gachem czy kochankiem.

- A ja jestem tylko zwykłym psem stróżującym – stwierdziłem.
- Mówi, że o mało co by cię pobił.
- Mogę powiedzieć to samo w drugą stronę.

Uśmiechnęła się do mnie, potem przeprosiła i poszła się umyć. Kiedy zmierzała do łazienki, obejrzałem się za nią, jakby widząc ją na nowo. Pierwszy raz spojrzałem na nią w takim świetle – przez pryzmat jej fizyczności. Musiałem przyznać, że miała naprawdę świetne nogi i zgrabny, okrągły tyłek. Podobała mi się pomimo nadwagi i wiecznego zmęczenia widocznego na jej twarzy i w oczach.

Następną sobotę spędziłem w mieszkaniu, tak samo jak Renata. Oznajmiła mi, że nie ma chęci i siły wychodzić na miasto. I jakoś tak samo wyszło, że wieczorem usiedliśmy przy dwóch butelkach wina i telewizorze. Oglądaliśmy nudne, sztamkowe produkcje i wyśmiewaliśmy ich naiwność. Renata siedziała ze spiętymi w koński ogon blond włosami, bez makijażu. W zwykłych dresach i koszulce – czyli podobnie jak ja. Poczułem się nagle, jakbyśmy byli parą, która żyje ze sobą od lat. Wydawało mi się, że teraz, po czasie, Renata była jakby mniej zagubiona niż na początku naszej znajomości, mniej smutna. Zerknąłem na nią, na jej profil i dopiero teraz zauważyłem, że ma mały, ciemny pieprzyk tuż pod okiem. Po chwili ona spojrzała na mnie i zapytała, o co chodzi.

– Nic takiego – odparłem i dokończyłem kieliszek wina.

Poszedłem do kuchni, wyrzuciłem pustą butelkę do kosza, a szkło wstawiłem do zmywarki. Wróciłem do salonu. Renata siedziała na kanapie z podciągniętymi nogami i przyglądała mi się osobiście, coś krążyło po jej głowie.

– O co chodzi? – Teraz to ja zadałem to pytanie.

Kobieta poruszyła się i wskazała dłonią, abym usiadł obok niej. Zrobiłem to.

– Chciałabym o czymś z tobą pogadać – zaczęła niepewnie. – Wiesz, wróciłam tydzień temu wcześniej, a ty miałeś gościa. Myślałam o tym.

– Jeżeli ci to przeszkadza, to nikogo nie będę sprowadzał – powiedziałem szybko. – Nie chcę sprawiać kłopotów.

– Nie, nie o to chodzi. Widzisz, wiem, co tam robiliście, słyszałam, co tam robiliście...

– To tylko seks, nic takiego.

– Tak, ale...

Przez moment się zawahała, odwróciła wzrok. Pewny siebie, ująłem ją pod brodę i zwróciłem w swoją stronę. Jej oczy połyskiwały, blade światło telewizora odbijało się w ich czarnej toni.

– Ja uchylłam trochę drzwi i zajrzałam przez nie – wyznała cicho.

– Podglądałaś? – Głos miałem opanowany.

– Tak.

– I co takiego zobaczyłaś?

– Ciebie... Na kolanach, między jej nogami... Jak robisz jej...

– Robię co?

– Całowałaś ją tam.

Odchyliłem się na miękkim oparciu i westchnąłem. Nie miałem pojęcia, co właściwie chodziło jej po głowie. Nie musiałem się jednak domyślać. Powiedziała mi wszystko. Wyznała, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyła, nigdy, przez całe życie, żaden mężczyzna nie doprowadził jej do orgazmu ustami. Wydawało mi się to niepojęte – takie rzeczy w XXI wieku. Ale to była prawda.

– Chcesz, żebym zrobił ci to samo? – zapytałem, patrząc jej w oczy.

– Chciałabym. Ale się boję – wyznała.

– Czego?

– Że mi się nie spodoba. Że tobie się nie spodoba.

Nie potrzebowałem nic mówić. Zbliżyłem się do niej i musnąłem jej wargi swoimi. Chwilę później już się całowaliśmy, nasze języki splotyły się ciasno i namiętnie. Potem po prostu znaleźliśmy się w sypialni, wszedłem tutaj po raz pierwszy. Pomyślałem, że zawsze są jakieś nowe pierwsze razy. Tak Renaty, jak i dla mnie.

Nigdy wcześniej nie byłem z dojrzałą kobietą, nie miałem pojęcia, jak to jest, czułem się zielony. Mimo tego wykorzystałem swoje doświadczenie, zdobytą wiedzę, całą energię. Chciałem sprawić jej autentyczną przyjemność, prawdziwą radość. Zastąpiła na to jak nikt inny na świecie.

Rozebraliśmy się i podążając pocałunkami w dół, zbliżyłem się do miejsca przeznaczenia. Miała naprawdę duże piersi, z okrągłymi, różowymi brodawkami, które rozlewały się trochę na boki. Skórę bladą, pępek na jej brzuchu był głęboki. Tam też ją pocałowałem, wywołując małą falę rozbawienia. Niżej, w linii pasa, znajdowała się ciemniejsza, lekko wypukła pozioma blizna – błyskawicznie zdałem sobie sprawę, że to pamiątka po cesarskim cięciu. Powiedziała mi wtedy, że mam nie zwracać na to uwagi, a ja zapewniłem, że to nie ma znaczenia.

W końcu dotarłem właśnie tam, między jej uda. Bujne, ciemne włosy na wzgórku łonowym świadczyły o tym, że obcuje z prawdziwą kobietą i od razu przypomniałem sobie o tych wszystkich dziewczynach wygolonych na zero. Zacząłem działać powoli, z ogromnym wyczuciem, nie chciałem spalić tej przyjemności. Renata wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Przyłożyłem swoje usta do jej miękkich, gorących sromowych warg. Zacząłem muskać delikatnie, składać jej cipce należny hołd. Całowałem ją, nie pominąłem żadnego skrawka. Kiedy poczułem, że się przede mną otwiera, przeniosłem się wyżej. Łechtaczka wyglądała jak pąk bordowej róży. Pociągnięciem języka niczym pędzłem przejechałem po niej powoli. Towarzystwo mi przy tym cichutkie westchnienie Renaty. Potem kilkakrotnie powtórzyłem tę czynność. Od dołu do góry. I znowu. Od dołu do góry. W końcu odważyłem się zejść niżej. Smaku jej wilgoci nie mogłem przyrównać do niczego innego, niczego, co bym znał. Wcale nie był odpychający, a raczej słodki i pełny. Jak dojrzały owoc. Brzoskwinia Nabokova. Zanurkowałem językiem głębiej, wierciłem nim spokojnie. Renata poruszyła się lekko, uniosła biodra, najwidoczniej chcąc, bym wszedł w nią jeszcze głębiej. Zrobiłem to i robiłem to długo i powoli. Nie spieszyłem się nigdzie, napawałem tą ulotną chwilą, tym boskim aktem. Czerpałem przyjemność z dawania. Naprawdę mi się to podobało. I jej najwidoczniej też. Wysunąłem język i zacząłem wodzić nim po całym jej łonie. Czułem się tak, jakbym nie tyle ją tam całował, co całował się z nią. Oddałem się w to cały. Kiedy zdałem sobie sprawę, że pora zbliżyć się do końca, przyspieszyłem pracę ustami i językiem. Ssałem teraz i muskałem, skupiłem się głównie na tym jednym, czułym punkcie, czując i słysząc, że to jest właśnie to. Nagle Renata chwyciła moją dłoń i położyła ją sobie na prawej piersi. Chciała, abym za ją się nią również tam. Drażniłem więc palcami jej twarde niczym kamyczki sutki.

– Ja chyba zaraz... – wyszeptła Renata, ale nie zdążyła dokończyć, nie pozwoliłem na to.

Wiergnęła silnie, jakby chcąc uwolnić się, uciec spod mojej władzy. Ja jednak przytrzymałem ją i dokończyłem miłosne dzieło. Renata wydała po chwili głośny okrzyk spełnienia. Powieki miała zamknięte, usta ułożyły się w grymasie rozkoszy. Pomyślałem, że chyba dobrze się sprawiłem.

Po wszystkich powoli ją wyciszyłem, delikatnie całowałem łechtaczki i wargi. Kiedy zaczęła chichotać, przestałem. W końcu położyłem się obok niej. Leżeliśmy teraz, patrząc sobie w oczy.

– Było aż tak źle? – zapytała mnie niepewnie.

– Ty mi powiedz.

– Mnie się podobało.

Pocałowałem ją lekko w rozchylone usta.

– I pomyśleć, że tyle lat żyłam w błogiej nieświadomości. Ostatnio przez pracę i stres nawet przestałam się masturbować, nie myślałam o tym nawet, jakby coś takiego jak seksualne zadowolenie w ogóle nie istniało – wyznała, patrząc w sufit.

– To prawie grzech – stwierdziłem.

– Kiedyś myślałam, że człowiek dorasta ukształtowany, że powinien wszystko znać, wiedzieć. Ale teraz już wiem, że uczymy się czegoś przez cały czas. Przez całe życie mamy prawo doświadczać nowego. Nie ma w tym nic złego, prawda?

– Pewnie jest tak, jak mówisz.

– Gdyby wszyscy faceci zajmowali się swoimi kobietami w ten sposób, to świat byłby o wiele spokojniejszy. Pomyśl tylko. Szczęśliwa, radosna żona w domu to czysta głowa mężczyzny. Zero awantur, zero kłótni. Facet wychodzi z domu spokojny, a nie pełen złej energii.

– Raczej by to nie zaszkodziło.

W końcu przewróciła się na bok, wsparła głowę na dłoni i zaczęła mi się badawczo przyglądać. Kosmyki jasnych, farbowanych włosów zakręciły się na czole. Odgarnąłem go palcem. Czarne oczy Renaty wpatrywały się we mnie usilnie. Coś wciąż czaiło się w jej myślach.

– Tak? – spytałem w końcu.

– Mógłbyś zrobić to jeszcze raz? Jeszcze raz tak samo?

– Jeżeli chcesz.

Chwilę później znowu wylądowałem między jej nogami. Tym razem zajęło mi to trochę krócej, ale działałem też bardziej intensywnie. Jej orgazm słysząc było chyba na całym pięttrze. Kiedy skończyłem, przytuliłem ją do siebie i gładziłem po włosach, aż usnęła.

Poszedłem do siebie dosyć późno – miasto za oknem już dawno śniło swoje zwyczajne, nudne sny. Ostrożnie wstałem z łóżka, nie chcąc obudzić Renaty. Zanim wyszedłem i zamknąłem cicho drzwi, obejrzałem się. W czasie snu wyglądała dużo spokojniej niż za dnia.

Pomieszkowałem u niej jeszcze przez kilka następnych dni. Rozmawialiśmy trochę o tym, co zaszło między nami, ale nie powtórzyliśmy już nigdy tamtej nocy. Moja nowa przyjaciółka oznajmiła mi, że po tym jak powiedziała swojemu niby-partnerowi, co jej zrobiłem, wpadł w prawdziwy szal. Kłócili się, w ruch poszły bluzgi i drobne przedmioty. Omal go nie uderzyła. A potem złapał ją mocno, pocałował jak nigdy wcześniej i sam zaserwował jej długą, namiętą minetę. Nie chciała mi jednak zdradzić, który z nas zrobił to lepiej. Miała przecież do tego prawo.

Pakowałem się, a ona weszła do mojego pokoju. Usiadła na krawędzi wersalki i podziękowała mi za wszystko, co zrobiłem. Po chwili dodała, że wraz z Albertem postanowili dać sobie jeszcze jedną szansę. W tamtej chwili wyglądała najpiękniej, rozkwitła fizycznie i duchowo.

– I tak by nam nie wyszło – oznajmiła, a w jej oczach naprawdę dostrzegłem smutek. – Za dużo nas dzieli. Mamy ze sobą za mało wspólnego...

Być może miała rację.

Mężczyzna wprowadzał się do niej, więc musiałem się wynieść. Na szczęście Kaśka przygarneła mnie do siebie na kilka dni, podczas których intensywnie piliśmy, paliliśmy, chodziliśmy na dzikie imprezy i pieprzyliśmy się. Tak, ta dziewczyna pieprzyła się albo rznąła, nigdy inaczej. Nie miałem wyrzutów sumienia. Nie myślałem o Renacie. Nie potrafiłem i nie chciałem.

– Masz najlepszy język ze wszystkich facetów, jakich do tej pory spotkałam – sprzedała mi komplement Kasia którejś gorącej nocy. – Naprawdę masz najgorętszy język na wschód od Łaby.

– Dlaczego od Łaby?

– Bo tam najdalej byłem.

Zerknąłem na jej nagie, młode i chude ciało. Przejechałem palcami po jej małej piersi, a potem pocałowałem ją w czoło.

– Gdzie ty się tego nauczyłaś, co? – zapytała.

– Jestem samoukiem – stwierdziłem.

– Serio, Marcel, to prawdziwy, cholerny dar.

– To raczej przekleństwo, skarbie. Pierdolone przekleństwo.

Brama

zaprasza
stajesz przed nią
spoglądasz
cegły bieleją
zieleń staje się drapieżna
pokonuje mur
ty bezradnie stoisz
pocieszasz się
szukasz drogi

Promień

wejście
gruby mur
ogranicza widzenie
struga światła wyprowadza się
kładzie welonem
w twoją stronę
czujesz ciepło
delikatnie muska twoje włosy
promieniejesz radością
stajesz w świetle
na styku
w zamkniętej panoramie
tu i teraz

100%

Ra kolejny raz nie daje za wygraną, świdrującymi, wibrującymi promieniami obwieszcza kobiecie swoje istnienie.

Procesy zmian zachodzą coraz szybciej. Nasilają się szczególnie wczesnym rankiem, kiedy kobieta wykonuje wszystkie czynności bez zastanowienia, bez zająknięcia i bez zbędnych ruchów. Gorący pot zbiera się między małowłocznymi piersiami i na plecach. Wszystkie rzeczy są ułożone na odpowiednich miejscach: umyta butelka po sztucznym mleku schnie na suszarce, pielucha leży w koszu na śmieci, niemowlę w łóžeczku, a sterta prania w łazience. Mieszkanie wydaje się raczej uporządkowane, mimo że kobieta dopiero wstała.

Bóg leniwie przesuwa się po nieboskłonie. Jest ciepło jak na kwiecień, nic się nie przeplata. Deszcz nie padał już od dawna. Przestrzeń mieszkania osnuwa słoneczna żółć. W cieniach między blokami bezdźwięcznie chowają się ptaki i koty, instynkty łowieckie uległy przegrzaniu, ludzie z zakupami przemykają od cienia chmury do cienia chmury, jak żaby skaczące z nenufaru na nenufar, nad samochodami i chodnikami unosi się falująca jak przedwojenna ondulacja warstwa rozgrzanego powietrza.

Budząc się rano, kobieta nie potrafi przypomnieć sobie wielokrotnego zrywania się do płaczącego dziecka. Jej świadomość zepchnęła wydarzenia nocy w najdalsze otchłanie ciała, w końcówki włosów i paznokci. Byle nie odgrzebać, byle nie mieć refleksji, bo z rozmyślania nad wyczerpaniem można porzucić to chomicze koło, ten koński kierat, zdać sobie sprawę i otworzyć to, przed czym się chowa. Być może nigdy tam nie zajrzy. Albo zajrzy z kojącym opóźnieniem.

Noc nie przyniosła wytchnienia. Ciało kobiety odczuwa przenikające zmęczenie, boli ją każdy mięsień, więzadło, staw, czoło nieprzyjemnie ciąży, pod powiekami nagromadziły się zbyt grubo zmielone ziarenka zatechłej kawy. Uporczywie uwierają. Kobieta nie jest pewna, czy jej ciało należy do niej, czy to nadal ona. Choć lustro nie odzwierciedla żadnych odstępstw, ona odczuwa je jak za ciasny skafander, jak wylinkę, którą próbuje nieudolnie rzucić. Opóźnionym wzrokiem ogarnia pokój, szukając wczorajszej koszulki na ramiączkach. Wącha ją i decyduje się wrzucić ją do kosza na brudną bieliznę. Dowłókszy się do szafy, wybiera świeżą bluzkę. Zagląda do majtek po nocy, płamienie połogowe zauważalnie ustaje, więc dzisiaj kobieta decyduje, że nie założy już wkładki. Najwyżej zmieni majtki dwa czy trzy razy. Chce czuć świeżość. Przynajmniej między nogami.

Kobieta cicho klnie, że zmęczenia zapomniiała się wczoraj wieczorem doładować, a wie, że w dzień nie będzie miała na to wystarczającej ilości czasu.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Kobieta przysiada. Z rozmemłanych myśli wyrывa ją płacz. Świdruje jak szydełko wbijane w bębenki. Kobieta natychmiast prostuje się i szybkim krokiem udaje się do pokoju obok. W lewitującej kołysce wierci się różowe zawiniątko. Kobieta bierze je na ręce wprawnym automatycznym ruchem i przykładą do piersi. Dziecko szamocze się jeszcze chwilę i zaczyna ssać. Pokarmu wystarcza zaledwie na uspokojenie zawiniątko. Kobieta włącza unoszącą się w powietrzu zabawkę dynamo w kształcie meduzy i odchodzi przygotować mleko za pomocą z żelowych kapsułek. Meduza zabawia dziecko, faluje kojąco. Jest wykonana z nietoksycznej pleksy grafitowej, więc kiedy dziecko zacznie ząbkować, będzie mogło pogryzać szorstkie parzydełko, żeby uśmierzyć natarczywe swędzenie dziąseł. Po chwili kobieta wraca z butelką, bierze dziecko na ręce, siada na łóžku i zaczyna karmić. Krople białego mleka wypływają z kącików ust dziecka, a jego brzuch opróżnia się od gązów. Kobieta ma przymrużone oczy, oddycha wolno, delektuje się milczeniem.

Mechanizm wewnętrzny rozkładu doby kobiety przypomina koła zębate: jeden ząbek – płacz dziecka, drugi ząbek – kobieta przygotowuje sklepowy pokarm lub próbuje wyduścić resztki własnego, trzeci ząbek – karmi, czwarty – nosi dziecko, piąty – dziecku się odbija, kolejny ząbek – kobieta przewija niemowlę, lula, dziecko zasypia, dziecko płacze, mleko, odbicie, noszenie, ulanie, pieluszką, lulanie, spanie, płacz, mleko... Koła zębate trzymają kobietę przy życiu, jeszcze jedno tik, jeszcze jedno tak. Jedno tik, jedno tak, tik, tak, tik, tak. Prostota tak skomplikowanego mechanizmu. Byłe do wieczora tik tak. Byłe do rana tik tak. Jeszcze jedna godzina tik tak. Tik tak.

Ra to przegrywa, to odbija się od dna.

Moment doby nie robi kobiecie żadnej różnicy. Dziecko nie zwraca uwagi na wszechsprawczego boga, za nic ma jego wędrówkę po drugiej stronie lustra i powrót na nieboskłon. Dziecko nie respektuje boskich zasad, a kobieta, wcześniej będąca żarliwą wyznawczynią, teraz musi poddać się rządóm niemowlęcia. Bóg nie umarł. Ustąpił istotie kruchej i nieświadomej jak dorosły pies ulegający szczeniakowi.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Sen kobiety jest zależny od snu dziecka, więc południowy spacer Ra pozostaje przez nią niezauważony. Mimo że kobieta wyczuwała od siebie kwaśno-mdły odór cebulowego potu, to tym razem coś kielkującego i kłującego nie pozwalało jej w nocy zasnąć. Zwykła maszynka do golenia stała się nieosiągalnym luksusem. W zasięgu manualnym, ale nie temporalnym. Kawałek cienkiego ostrza osadzonego w różowym plastiku nigdy nie był tak pożądany. Leży zaledwie w łazience. Nawilżający listek rozmiękł się i przykleił do wanny. Jednak kobieta nie jest pewna, czy oddałaby za niego jakiegokolwiek królestwo. Odrastające włosy dziobią ją, gdy ociera nogą o nogę, kłują ją w pachy i pachwiny, szczypią jak jad czerwonej mrówki. Według poradnika dla matek jej skóra już niebawem powinna zacząć proces *mutare in metallum*. Naskórek kobiety zacznie przeźroczycieć z dnia na dzień, ale nigdy do momentu pokazania się żywego mięśnia. Mikrometry przed tkanką mięśniową proces cieniowania skóry zacznie odwrót, zastępując transparentny naskórek miękką i cienką warstwą prazeodymu. Dzięki niemu metaliczna powłoka kobiety nie ulegnie korozji. System opracowujący poradnik zasugerował, żeby w tym czasie unikać nadmiernych ilości wody i promieniowania UVB i UVA. Na szczęście, kobieta jest w takim stanie, że na spacer nie ostrzy sobie zębów. Nawet werandowanie dla zdrowia dziecka nie jest priorytetem. Skutki zmarnowanej szansy na równomierne rozłożenie się prazeodymu na ciele odczuwałaby przez długie lata; gnienie w kolanach, łokciach, zgrubienia w pachwinach, kto wie, czy nie zagnieżdżyłaby się w nich kropka rdzy, która powoli, latami doprowadziłaby całą powłokę do ruiny.

Opracowanie *mutare in metallum* stało się wybawieniem dla wielu ludzi, dla których bycie kobietą czy mężczyzną nie miało znaczenia, było wygodą albo łączyło się z zagrożeniem życia. Zmiana pozwala na wiele oszczędności ekonomicznych, w tym wody czy zimowej odzieży, daje możliwość wstępów do miejsc zarezerwowanych wyłącznie dla jednej płci, gwarantuje poczucie bezpieczeństwa fizyczno-psychicznego, nie mówiąc o uwolnieniu od tożsamościowania. Bezpieczne pozbycie się cech płciowych męskich lub żeńskich dla wielu stało się czymś więcej niż biologiczna interplciowość, to był początek epoki bezplciowości, bycia człowiekiem bez narządów rodnych, zachowując jednocześnie narządy układu wydalniczego. Osoby, które zdecydowały się na przejście procesu, długo przyzwyczajają się do myśli, że ich zdrowiu nie będą zagrażać nowotwory przyczepiające się do jajników, szyjki macicy, jąder czy prącia. Istnieje tylko jeden skutek uboczny procesu – bezpłodność. Wiele kobiet i par decydowało się na uruchomienie *mutare in metallum* dopiero po urodzeniu dziecka.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Kobieta zastanawia się, czy to nie jej zapach drażni nos dziecka. Boi się wzięć prysznic z obawy przed rdzewieniem. Zdaje jej się, że zauważa delikatne pomarańczowe zabarwienia między zgięciami palców. Uświadamia sobie, że będzie musiała dbać o higienę dziecka w rękawiczkach gumowych. Maszyna licząca w głowie kobiety wykonuje serię działań prowadzących do ustalenia opłacalności posiadania naturalnej skóry: najwykleszy krem do pielęgnacji rąk – 2 hominy, przeciwko korozji – 50 hominów. Jednak po

chwili ściągnięte czoło kobiety wygładza się, przecież wykupiła usługę *mutare* w wersji premium – w całości z przeodymu z dodatkiem dezynfekujących cząsteczek nanosrebra. Żadnych balsamów, kremów, maści, już niebawem nigdy nie będzie musiała niczego wcierać, wklepywać, wmasowywać, nigdy nie zarazi się żadną chorobą skórą, nie dostanie poparzeń słonecznych, nie będzie się pocić. Nie będzie także używać wody na prysznic, na mycie rąk.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Autonomicznie, bez wiedzy kobiety Google Eye zintegrowany ze skronią przegląda oferty pieluszek i sztucznego mleka w osiedlowych dyskontach. Podświadomie tworzy listę najpotrzebniejszych rzeczy. Mechanizacja postępuje codziennie. Kobieta zaczyna odczuwać nienaturalnie silne parcie na pęcherz. W toalecie jej ciało pozbywa się płynów ustrojowych, krwi oraz moczu. W miejscu pęcherza, kanalików i żył kobieta wyczuwa pojawiające się zgrubienia – światłowodowe bioprzewody – na dniach zaczną rozprzodzać energię słoneczną w ciele. Póki co musi doładowywać się co kilka godzin.

Płacz.

Kobieta kładzie dziecko na plecach, rozpina body, zdejmuje wilgotną pieluszkę, zakłada świeżą. Chodzi jak w zegarku. Czysta mechanika. Ruchy bez zbędnych ociągnięć, bez dłużyzn. Wkłada dziecko do wiszącego w powietrzu bujaka i nastawia tryb lulania. Zawiniątko powoli zamyka oczy i zasypia.

Kobieta wkłada zużyte butelki po mleku do wielkiej metalowej miski, wrzuca do niej jonizator i nakłada pokrywkę. Jony lepiej niż jakikolwiek płyn odkażają butelki. Dzięki nim kobieta nie musi używać wody i martwić się o niedomyte miejsca w butelkach.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Kobieta wodzi wzrokiem po domu w poszukiwaniu ładowarki. Zrezygnowana podcina się w kuchni, zalewając kawę zbożową. Twarz kobiety w świetle dnia przybiera ze zmęczenia zielonkawy odcień, a cienie pod oczami z poranka na poranek stają się coraz bardziej fioletowe. Brak snu nie powoduje u niej napadów lękowych czy zdenerwowania, kobieta realizuje go w postaci przeciągłych ociężałych ruchów. Zamienia się w ślimaka, zostawia po sobie zapach, jak ślimak śluz. Zerka na monitor smartwatcha osadzonego na przegubie – 7%. Jak dobieje do 20, wystawi kosz ze zużytymi pieluszkami za drzwi, nastawi pranie i zje kromkę chleba z serem i pomidorem. Poza ładowaniem kobieta musi spożywać pokarmy do momentu zaprzestania karmienia własnym mlekiem. Kobieta odciąga koszulkę i przygląda się swoim piersiom. Małe i niemleczne. Wyciśnięcie nawet kilku kropeł stanowi dla dziecka wyzwanie. Ten, kto wymyślił mleko w proszku, von Liebig czy Pratt, powinien mieć ołtarzyk w każdym domu, w którym pojawia się dziecko, a jego podobna i krótka biografia powinna zdobić każde opakowanie mleka.

Płacz, kolka, lulanie, lulanie.

Zamykając drzwiczki od pralki, kobieta pożałowała, że zaraz po pojawieniu się niemowlęcia na świecie nie zdecydowała się na zabieg wbudowania pralko-suszarki w pozostałej po dziecku przestrzeni brucha. Nie pamięta już, czy była zbyt zmęczona, zapatrzona w dziecko, a może miała obawy. Zresztą, słyszała wiele nieprzychylnych opinii na ich temat – a to wylewały nagle podczas robienia zakupów w sklepie, a to w nocy, zalewając łóżko, a to niektórym kobietom odbijało się wodą po płukaniu. Nie. Dobrze, że tego nie zrobiła. Sterta brudów jeść nie woła, jak będzie silniejsza, to wstawi pranie.

Kobieta jest w połowie przeżuwania kanapki.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Kreski podskoczyły do 25%! Pakietem nowych sił kobieta wystawiła dziecko na werandowanie na balkon w ciepłych ledwie popołudniowych promieniach Ra. Pranie już się nawet wyprało, a wieszając je, kobieta dojada kanapkę i wypija wystygłą kawę. Po chwili zalewa coś wrzątkiem. Tym razem to płatki błyskawiczne. Kobieta uśmiecha się pod nosem – tyle rzeczy udało jej się zrobić między pobudkami dziecka.

Płacz, płacz, płacz, lulanie.

Płatki zmieniły się w kluchę. Kobieta nie wybrzydza – nie ma możliwości, ale nie ma też siły. Nie ma mózgu, tylko muzg, baby brain. Już niebawem jej metaliczna porazeodyczna powłoka wygeneruje na czaszce mikropanel solarny, który będzie ją zaopatrywał w energię od Ra podczas spacerów na świeżym powietrzu, a ładowanie *per funem* będzie tylko nienachalnym obowiązkiem jesieni i zimy. Kobieta dziwi się, jak kobiety nosiły kiedyś wielkie i niewydajne panele pół metra na metr, nie wspominając o ich ciężarze. Ten w jej czaszce będzie niemal niewyczuwalny palpacyjnie. Nie będzie co prawda najnowszej generacji, ale 18 000 kWh miesięcznie to też nie byle co. W pełni naładowane światłowody w słonecznym wrześniu przechodzą bez ładowania w domu przez cały październik, a jeśli i ten będzie nie najgorszy, to może kawałek listopada.

Po zjedzeniu zimnej pulpy kobieta czuje, że musi usiąść. Słabnąca bateria zaczyna wyładowywać się coraz szybciej i kobieta znów musi podpiąć się do ładowarki. Opiera się o blat jak nieużywana marionetka. Świeża dawka energii zaczyna ją usypiać. Głowa łagodnie opada na ramię, na ustach pojawia się bąbel powolnego oddechu, między piersiami spływa kropla potu. Budzi ją dźwięk alarmu bombowego. Zdezorientowana uspokaja się, gdy uświadamia sobie, że natrętny dźwięk wydobywa się z płuc i gardła jej zdublowanego ja.

Płacz, karmienie, odbicie, przewijanie, lulanie.

Kobieta uświadamia sobie dopiero teraz, że od kilku godzin nie boli jej kręgosłup, wygina się i maca swoje plecy, sięga dłońmi do podłogi – nic, odchyła się – nic. Ludzki, kostny kręgosłup przetransformował się w tytanowe anatomiczne kręgi połączone biożywicą. Odkrycie wywołuje zadowolenie na twarzy kobiety i niemal obłąkańcze myśli: „Już nigdy więcej łupania w krzyżu!”. Tanecznym krokiem frunie do łazienki i nalewa do wanienki wodę. Rozbiera zawiniątko i czule wkłada różowe ciało do wody. Polewa je wodą i masuje. Pachnąca woda paruje i miesza się z jej kwaśnym potem. Kobieta nieświadomie posyła dziecku uśmiechy. Tętno obydwójga uspokaja się.

Kobieta kołysze w ramionach przebrane i najedzone zawiniątko. Kiedy ono zamknie oczy, ułoży je w łóżeczku.

Na podładowanej baterii kobieta włącza Google Eye i zaczyna szukać ubrańek organicznych. Kilka sztuk, które dostała od koleżanek, są już za małe, inne zaczynają się przecierać. Będzie mogła wykorzystać je jako nawóz pod biopomidory, które hobbystycznie hoduje na balkonie. Uzupełnia nimi potas, zanim dzięki antropotechnice całkowicie przeistoczy się w transhumanistyczną istotę. Kobieta dba, aby nie zardzewieć – zakłada rękawiczki, gdy pieli i nawadnia minigrządki pomidorów. Najwidoczniej światłowód zaczyna działać coraz prężniej. Budzi się. Co za kojący sen! W rzeczywistości większość krzaczków ma już zeschnięte liście, a ziemia w donicach zdążyła popękać. Potasu na ostatnie cielesne dni musi dostarczyć jej osiedlowy warzywniak. Pochłonięta obrywaniem uschniętych części, nie zauważa, że dziecko nie wydaje żadnych dźwięków od dłuższego czasu. Prostuje się i biegnie do łóżeczka. Zawiniątko zaczyna się przewracać – zdążyła w samą porę. Jednak na wszelki wypadek wkłada dziecko w tubę rezonansową: skurcze mięśnia sercowego – 135 uderzeń na minutę – w normie, 35 oddechów – w normie, ciśnienie tętnicze – 102/55 – w normie. Fala ulgi oraz wyczerpania sprawia, że kobieta zaczyna mechanicznie coraz szybciej. Idzie do kuchni podładować się, może dziś weźmie ostatni prysznic, może już jutro obudzi się w pełni rozwiniętej powłoce. Kobieta postanawia, że dzisiaj skupi resztki swoich sił i poczuje każdą ciepłą kroplę wody łaskoczącą jej ciało, będzie długo myć włosy, masować skórę głowy, wczuje się w zapach piany i, jeśli to ma być ostatni raz, to starannie, kolistymi ruchami od stóp do ramion, wetrze balsam nawilżający o zapachu mango w swoją skórę, cienką jak pergamin, jak błona na piersi kurczaka.

Ra kolejny raz odchodzi zaćmiony. Coraz szybciej chce schować się za płaskim krańcem ziemi unoszonym przez stado słoni. Złocisty bóg niespiesznie umiera u każdego schyłku dnia, dopóki osamotniały i zapomniany nie zdecyduje się odejść na zawsze, zabierając ze sobą swoją świtę. Z każdym niższym położeniem szkarłatnieje jeszcze bardziej. Kobieta wyrzuciła go poza obszar swojej uwagi, a myśli o nim błędzą samotnie po najciemniejszych i najmniej świadomych zakamarkach jej umysłu.

Karmienie, płacz, odbicie, przewijanie, lulanie.

W maju

Brzegiem strumienia
w górę
w poszukiwaniu pstrągów
pod prąd
do źródeł
gdzie wszystko
ma swój początek
i zapisane jest
światło drogi
i cień

Noc

Za oknem płyną
ciemne chmury
czasem rozbłyśnie
zimne światło
to Księżyc
przez chwilę
na Ziemię spogląda
jakby szukał
ciepłego kąta
wśród łagodnych
pagórków zimy

Lato

Kołysze się cień
zdziczałej jabłoni
głaszcze twarz
upalnego lata i twoją
kiedy nabierasz sił
zasłuchany w muzykę
świerszczy
przy krętej ścieżce
wśród gór

Witaj wędrowcze
bądź pozdrowiony

Zagubiony
na peryferiach świata
gdziekolwiek
w którą stronę idziesz
bądź pozdrowiony...

Zima

Gałęzie drzew
trwają na mrozie
w białych pokojach
zimy
nadzieja na wiosny
zielony wiatr
ukryła się w pąkach

Śniadanie

Ptasi rejwach przerwał poranną kawę. Nastąpił zbrojny napad z rabunkiem. Bandytami są dwie sójki i to one dokonały zbójnickiego najazdu na chatę, czyli gniazdo rudzików, w celu bezczelnej kradzieży jajek. Sądząc po krzykach wydawanych z ptasich dziobów, sytuacja jest bardzo poważna. Towarzystwo drze się na siebie, siedząc teraz na półnagim jesionie. Rudziki z racji wielkości mają małe szanse w walce z wielkimi sójkami, ale niespodziewanie im z pomocą nadlatują dwa szpaki. Siły się wyrównują, a hałas narasta. Wstają z krzesła i to płoszy sójki. Po chwili odlatują też szpaki. Tylko rudziki zostają. Kwilą do siebie smutnymi głosami.

Gniazdo umieszczone w szparze pod krokwią w gospodarczym budynku jest w stanie agonialnym. Rozdarte na pół straszy wystającymi strzępami ptasich piór i skruszonymi skorupkami, maciupkich białych jajek.

– Kurwa mać! – drę się w stronę nieobecnych już na miejscu zbrodni sówek.

– Żeby wam dzioby zgniły, zbój! – dodaję i wolno wracam na kawę. Ale napój już nie smakuje. Jest zimny i pełny goryczy. Marzenie o pisklakach umarło. Miejsce pod krokwią będzie w tym roku puste. Rudziki nie zaryzykują drugiego lęgu w tym samym miejscu.

Wylewam resztkę kawy z fusami pod biały winogron. Wracając na taras, napotykam Dziuba.

– Nie za wcześniej wraca się do domu? – mówię z jadowitym sarkazmem w głosie. Nie raczy nawet odmiauknąć. Po całonocnej włóczędze jest głodny niczym przysłowiowy wilk. Nie zwraca na nic uwagi, tylko kieruje się prosto w stronę misek.

Ale Dziub nie wrócił sam. Za ścianą wychodzącą na taras przycupnęła bezimienna kocia. Dwa zbójce. Wagabundy i włóczykije. On dzentelmen z wielkiego miasta, odziany w czarny surdut, co prawda niedopięty na brzuchu, ale zawsze to surdut. Skarpety na przednich i podkolanówki na tylnych jeszcze świecą prawie śnieżną bielą. On wioskowa dachówka, o pięknych, wielkich niczym pięciogroszówki, zielonych oczach. Futro ma w kolorze nieokreślonym. Stanowi zlepek wszystkich odcieni brązów rozciapczanych na czarnym. Kolorystyka na pierwszy rzut przypomina wielokrotnie rozjechane gówno na asfalcie. Nikt nie wie, skąd się wzięła i gdzie mieszka. Stołuje się wszędzie i jakoś sobie radzi.

Pałętają się nocami po wiosce, najprawdopodobniej polując na nornice. A może siedzą razem wąs w wąs, godzinami wpatrując się w księżyc? Albo wciskają okolicznym lisom talony na kury z okolicznych kurników, zamiatając się potem ze śmiechu, że te niby chytne, rude futra przynoszą naręcza myszy, za mgliste obietnice polowania na nieistniejące ptaki. W każdym razie pewne jest, że kiedy odbije na grządkach Warszawianki kocimiętka, tarzają się tam we dwoje w amoku odurzenia. Przesfodka z nich parka wioskowych narkomanów.

Dziub je, głośno ciamkając. Zjada cały pokarm z dwustugramowej puszki i zabiera się za chrupki. Koleżanka na tarasie też nie odstaje. Mlaska aż miło.

– Może pokażesz dziewczynie piętferko? – mówię do kota. Ale jego reakcja oparta na bezceremonialnej ignorancji rzuconych słów bynajmniej mnie nie dziwi. Przeciagając się, wolno zmierza w stronę kana-py. Po chwili dusi komara odwrócony dupą do całego świata. Kotka zostawiła po sobie pustą miskę i ulatnia się jak kamfora.

Zaczynam przygotowanie śniadania. Pierwsze i najważniejsze to rozpalenie ognia. Pierdolić wszystkie gazówki, elektryki czy indukcyjne. Tylko jedzenie przyrządzone na kuchni opalanej drzewem ma właściwy smak

i zapach. Łuczyna trzaskając, rozsiewa żar na brzożowe polana. Otwieram letni szyber. Komin zasysa powietrze z paleniska, dając płomieniom życie. Piec zaczyna gadać, a zajęte polana krzyczą w uściskach ognia.

Stawiam patelnię na żeliwnej, pokrytej srebrzanką płycie. Trochę potrwa, zanim naczynie złapie właściwą temperaturę. Kroję młodą cukinię w półtoracentymetrowe plastry i wychodzę na taras. Zapalam pierwszego dziś papierosa. Z powodu ptasiej awantury przy porannej kawie nie udało się przyjąć porannej dawki nikotyny.

Słońce miękkimi promykami cudnie liże moje nogi. Okryte bielą wiśnie i jabłonie pulsują od bzyczenia uwijających się pszczół. Jesień zaczyna otwierać nabrzmiąte czystą zielenią pąki. Wielkie krążki żółtych mleczy swoją jaskrawością zdominowały trawnik. Powietrze wręcz pulsuje wiosną, jej zapachami i odgłosami. Suchy tytoń trzaska przy każdym zaciągnięciu. Spłaszczona nad Świsłoczą czapła głośnym skrzeczeniem ogłasza całą okolicę swoje wkurwienie.

Wracam do kuchni. Wylewam odrobinę oleju na rozgrzaną patelnię i po chwili układam obok siebie krążki cukinii. Warzywo w zetknięciu z tłuszczem zaczyna rozkosznie skwierczeć. Posypuję plastry, każdy z osobna odrobiną soli, świeżo zmielonym pieprzem i kawałkami młodych listków oregano, dopiero co zerwanych w ogrodzie. Dokładam do paleniska jeszcze dwa brzożowe polana. Żarłoczny ogień momentalnie chwyta je w swoje objęcia.

Przekładam plastry na drugą stronę. Są podrumienione, pokryte jasnobrązową, cieniutką skorupką. Potwarzam zabieg z solą, pieprzem i oregano. Robię jeszcze coś. Każdy krążek okrywam kwadratem mozzarelli, takim dwa na dwa centymetry. Ser pod wpływem temperatury zaczyna się topić i niczym kołdra zamyka przyprawę w soczystym miąższu cukinii. Kuchnię wypełnia słodki zapach oregano, podkreślonego ostrą nutką świeżo zmielonego pieprzu.

Czekam jeszcze minutę, głośno odliczając uciekające sekundy. Gdy dobijam do sześćdziesiąciu, sprawnymi ruchami zdejmuję plastry cukinii, jeden po drugim i układam na talerzu ustawionym na skraju płyty. Grzane od spodu, gorące doczekają śniadania.

Na rozgrzanej, pustej patelni cicho skwierczy ziołowo-warzywny olej, pozostały z poprzedniego smażenia. Szybko do miski wbijam dwa jajka, dorzucam garść szczypiorku, wcześniej pociętego na drobne, półcentymetrowe kawałki. Dodaję odrobinę soli z pieprzem, wszystko energicznie mieszam i wlewam na ogień. Pracuję drewnianą szpatułką. Nie cierpię ani za rzadkiej, ani zbyt ściętej jajecznicy. Ma być puszysta o jednolitej konsystencji i równomiernie zapięta.

Zapachy buzują nad rozgrzaną płytą. Wciągam je głębokimi wdechami przez nos. Zachowuję się niczym ćpun, za wszelką cenę dążący do odurzenia. Kuchnia podśpiewuje dźwiękami, złożonymi z trzaskających w ogniu polan, żeliwna płyta recytuje wersy skwierczącego na oleju smażonego jedzenia, a w powietrzu wibrują wonie otwierające drzwi do pokoju smaku.

Zrzucam jajecznicę na drugi talerz i z dwoma naczyniami w ręku wychodzę na taras. Siadam za stołem z widelcem i nożem w rękach. Na jesieniu nie ma bandyckich sójek ani okradzionych rudzików. W tę i z powrotem kursują obładowane nektarem pszczoły. Skowronek drze dzioba ze szczytu ukwieconej czeremchy.

Wbijam widelec w krążek cukinii i zaczynam jeść..

Świsłoczany, maj 2023 r.

Czary wiary

Dogonił mnie mój czas.
Pierwszy raz zajrzał mi w oczy.
Zawsze chodził za mną.
Niewidzialny.
Niezczęsto go czułem.
Teraz biegniemy razem,
Nie wiadomo dokąd.
Zrobiłem rachunek sumienia.
W każdej chwili mogę go stracić.
Wstydzę się tej bliskości.
To nasza tajemnica,
Prawie cała.

11 lutego 2022, godz. 6.55

Erotyk na dotyk

Jutro.
Jej urodziny.
On pamięta, chociaż nie widzieli się kilkanaście lat.
Przy śniadaniu, przymyka oczy, słyszy dźwięki.

Dzisiaj.
Ona pojawia się w wigilię urodzin.
Naga.
Jakby to było bez znaczenia.
Druga, też od dawna niewidziana.
I jeszcze jedna, ta ciągle tańczy.
Wszystkie gołe.
Pachną owocami.
Mają urodziny.

Kiedyś.
Był z każdą z osobna.
Chce je dotykać, ale nie potrafi.
Obłapia powietrze.
Gracje.
Płaszą wokół niego.

Teraz.
Mszczą się, nie wiadomo za co.
Walczą ze sobą, nie wiadomo o co.
Erynie.
Niechętnie je ogląda i bez skruchy.
Tu, rozmywają się ich kształty.

Jutro.
W porze obiadu ocknie się.
Okryje. Dokończy śniadanie.
Poduma o anturiach.
Deseru nie będzie.
Takie urodziny.

24 stycznia 2023, g. 15.40

Ości z przeszłości

Idę korytarzem,
Wypatruję znajomych oczu,
By dopasować je do nierozpoznanych twarzy.
Nie odnajduję wspomnień,
Przeszłość zgubiła drogę.
Tylko na jednej ścianie porozrzucane postaci.
Na innych nicość.
Wyświetlają się cienie,
Wiele się od nich nauczyłem.
Powracają ci, których nie umiałem zauważyć.
Spóźnia się ktoś, komu przypomniałem, że jednak istnieję.
I wreszcie pierwsza miłość –
– chcę pamiętać czyja –
– w trzecim wieku, ale z drugim mężem.
Przeszłość nie przystaje do terażniejszości.
Trzeba układać od początku,
Tworzyć na nowo.
Przyszłość nie pasuje tu do niczego.

24 października 2022, g. 13.45

Wary od pary

Nad filiżanką parujący obłok.
Widzę postać, którą przed chwilą pożegnałem.
Potem inne, z których wyparowała przyjaźń.
Wszyscy ulatują pod strop niebieskiej cukierni.
Zostały szczątki znajomości.
Wybrałem czas i miejsce. Ona wybrała miasteczko.
Domyślam się jej piersi, bo nigdy ich nie dotykałem.
Zanim zniknęła, śpiewaliśmy w duecie wesołe piosenki o życiu.
Smutnych nie chcieliśmy znać.
Szukam wielogłosu, dopóki melodie pamiętam.
Choćby dwugłosu.
Poszli, został zapach zimnej kawy.
Zaśpiewam sam.
Nawet gdyby nie było mnie widać i słyhać.
Idę dalej.
Solo.
Muszę wyśpiewać.
Tylko żywi śpiewają.

16 września 2022, godz. 10.56

Poznanie zmysłowe z perspektywy językoznawcy

Z prof. Piotrem Kładocznym rozmawia Mirosława Szott

Ile mamy tak naprawdę zmysłów?

Ile mamy zmysłów, jest pytaniem przede wszystkim do nauk biologicznych i psychologii poznawczej. Od starożytności uważano, że człowiek ma pięć zmysłów: wzrok, słuch, dotyk, węch i smak. Jednak od jakiegoś czasu wspomina się także o kilku dodatkowych zmysłach, do których należą ból (nocycepcja), napięcie mięśniowe (in. propiocepcja dotycząca świadomości ciała i położenia jego części) oraz równowaga i orientacja w przestrzeni. Ponadto rozwijana jest wiedza o szeroko pojętym dotyku, który nie odnosi się wyłącznie do prostego kontaktu z ludzkim ciałem, lecz wskazuje na wiele złożonych czynników. Możemy zatem mówić o odczuciu wilgoci, temperatury czy ciężaru. Gdyby policzyć wszystko można byłoby mówić nawet o 11 zmysłach, ale sprawa jest złożona, bo wiele odczuć łączy się, nakłada się na siebie lub funkcjonuje zamiennie. Przykładem może być ból, który bardzo często jest wywoływany intensywnym dotykiem, lub percepcja kształtu poznawanego zazwyczaj wzrokiem, ale również dotykiem. Można także podać przykład ognia, który daje odczucie zarówno ciepła, jak i jasności, czyli łączy doznania temperatury i wzroku.

A intuicja?

Intuicja określana jako szósty (dodatkowy) zmysł i przypisywana pewnym osobom to interpretacja kulturowa dodatkowej, raczej niecodziennej wiedzy człowieka, przeczucia, które sprawdza się częściej niż u innych ludzi. Nie ma nic wspólnego ze zmysłami „cielesnymi”.

Które z wrażeń zmysłowych są według Pana najtrudniejsze do wyrażenia?

Nie zawsze to, co postrzegamy, jest łatwe do wyrażenia w języku. Mechanizm powstawania słów jest zwykle taki, że człowiek nazywa to, co dla niego ważne i dobrze rozpoznane (konceptualizowane). W związku z tym, obserwując ślady zmysłów w języku, można określić, które z nich człowiek uruchamia, a dokładniej, które i jak poddaje refleksji językowej. Biorąc pod uwagę, że wiele osób nie opisuje swoich doznań, a inni mogą je kreować, trzeba traktować opis językowy oraz poczynione na jego postawie refleksje jako przybli-

zoną wiedzę na temat ludzkiego poznania zmysłowego. Nazywamy ją językowym obrazem ludzkich zmysłów – tym zajmuje się językoznawstwo. Właściwie poza doznaniem wzrokowymi, słuchowymi i szeroko rozumianym dotykowymi wszystkie pozostałe wrażenia zmysłowe spotyka się o wiele rzadziej i na tej podstawie można sądzić, że dla człowieka są one trudniejsze do wyrażenia. Jednak w szczegółach bywa inaczej, bo każdy ma swoje indywidualne preferencje i dyspozycje, a ponadto niektórymi wrażeniami zmysłowymi zajmujemy się w określonych sytuacjach, np. o smakach mówimy przy degustacjach i spożywaniu posiłków, o węchu – gdy jakaś woń robi na nas wrażenie, ból staje się przedmiotem opisu chorób, wypadków lub walk. Można byłoby wyciągnąć wniosek, że rzadziej opisywane wrażenia zmysłowe są dla człowieka trudniejsze w rozpoznaniu, co może się wiązać z budową ciała ludzkiego lub preferencjami mózgu, bądź też są one dla człowieka mniej ważne. Być może tak jest, bo większość naszych doznań opiera się na wzroku i słuchu, ale łatwo wskazać przykłady, w których poszczególni autorzy swobodnie wyrażają się o zapachach czy smakach. Weźmy pod uwagę np. powieść Patricka Süskinda *Pachnidło* czy opisy smaków win sommelierów – one w ogromnej większości zostały poświęcone jednemu niedominującemu powszechnie zmysłowi. Zazwyczaj łatwo rozpoznajemy, że coś nas boli, wyczuwamy przyjemną woń lub dokuczliwy fetor i potrafimy to wyartykułować, ale nie zawsze o tym mówimy. Na przykład o równowadze zwykle się nie wspomina do czasu, gdy jest ona zaburzona (np. przejście przez bardzo wąską kładkę, upojenie alkoholowe, problemy z błędnikiem). Moje dotychczasowe badania wskazują, że dla opisu wrażeń wzrokowych i słuchowych mamy największą liczbę słów, co potwierdza łatwość wypowiedzenia się na ten temat (daje to szerokość i głębokość opisu). Z kolei wysoka frekwencja słownictwa tych zmysłów pozwala twierdzić, że są one dla człowieka najbardziej istotne z punktu widzenia rozpatrywanego przekazu, są po prostu aktywne cały czas, szczególnie wzrok, i to one sterują naszymi postrzeżeniami.

Czy zauważył Pan jakieś różnice w opisie wrażeń zmysłowych ze względu na płeć? Istnieją takie stereotypy, że mężczyźni są wzrokowcami, a kobiety – słuchowcami. Czy podobnie to wygląda w tworzonej przez nich literaturze?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie, bo nie prowadziłem aż tylu badań w tym kierunku. Jakikolwiek pełne obserwacje dotyczące nawet jednej osoby są bardzo pracochłonne i nie sądzę, by w zakresie językoznawstwa udało się je szybko uzyskać. Z dotychczasowych wyników można wnioskować, że każda osoba ma swoje preferencje co do hierarchii zmysłów. Dodatkowo koncentracja określonego zmysłu w konkretnym przekazie zależy od jego tematu. W twórczości Jerzego Pilcha można zaobserwować, że w późniejszych utworach znacznie więcej uwagi poświęcał wrażeniom dotykowym, pisał także o równowadze, co wiązało się z podejmowaniem wątków choroby Parkinsona.

Dlaczego zainteresował się Pan jako językoznawca konceptualizacją zmysłów w twórczości różnych pisarzy i pisarek?

Zmysły zainteresowały mnie, gdy po napisaniu książki o polskim słownictwie dźwiękowym (*Semantyka nazw dźwięków w języku polskim*) szukałem kolejnej inspiracji do badań. Znalazłem metodę językoznawczego opisu jednego zmysłu i zacząłem ją przenosić na kolejne.

Na czym polega ta metoda?

Metoda służy przedstawieniu konceptualizacji zmysłów. Jest oparta na ramie semantycznej (zwanej też interpretacyjną) Charlesa Fillmore'a. Opisuje się w niej wybrane doświadczenia w określonych kategoriach ogólnych, charakterystycznych dla tego doświadczenia. Aby dokonać pełnego opisu, należy prześledzić wypowiedzi na dany temat, wskazać wszystkie kategorie, które bywają użyte, a następnie wypełnić je słownictwem. Między innymi z tego powodu mówi się raczej o rekonstrukcji poszczególnych ram niż o ich ustalaniu. Dla przykładu,

o percepcji słuchowej mówimy w kategoriach źródła dźwięku (szerzej zdarzenia powodującego powstanie dźwięku), osoby percypującej (słyszącego), percepcji (słyszenia), obiektu percepcji (dźwięku) oraz cech obiektu percepcji (głośność, wysokość, barwa, długość, struktura). Wiele kategorii ma swoje podkategorie, a wypełnia je skromne lub całkiem liczne słownictwo. Weźmy pod uwagę choćby liczbę nazw dźwięków – jest ich kilkaset w postaci rzeczownikowej, a jeśli dodamy czasowniki i wykrzykniki onomatopieczne, to uzyskamy kilka tysięcy słów w jednej kategorii. Tak można postąpić z każdą odmianą percepcji. Aby uzyskać w miarę pełny obraz konceptualizacji danego zmysłu, trzeba przebadać sporo materiału. Łatwiej o cząstkowe opracowania na podstawie wybranych tekstów czy twórczości wybranych autorów.

Czym się Pan kieruje, wybierając materiał do swoich badań?

Zainteresowanie twórczością poszczególnych twórców wynika z łatwości dostępu do materiału, ale dobór był raczej przypadkowy. W tej chwili poszukuję autorów, którzy ukierunkowują swój opis na zmysły o mniejszej randze. Szukam też przekazów osób niewidomych lub niesłyszących. Ich preferencje zmysłowe są dla mnie zagadką, którą chciałbym poznać lepiej.

Czy brał Pan pod uwagę twórczość Michała Kaziowa?

O Michale Kaziowie powiedziała mi koleżanka z pracy, przy okazji pożyczyła jego książkę autobiograficzną *Gdy moim oczom*. Przeczytałem ją i jeszcze drugą książkę biograficzną tego autora o innym wybitnym polskim ociemniałym Kazimierzu Dolańskim i obie opracowałem pod kątem konceptualizacji zmysłowej u tego autora. W warstwie treściowej są to niezwykle historie osób, które w wyniku tragicznych okoliczności utraciły wzrok i przeżyły osobisty dramat. Jednak pomimo wielu przeciwności dzięki własnemu talentowi, ogromnej determinacji i pomocy innych ludzi udało im się ukończyć szkołę,

zrobić studia, a nawet napisać doktorat. Wydawało się pierwotnie, że skoro utracili oni wzrok, to zmysł ten nie będzie dominował w opowiadaniu o życiu obu bohaterów, a większy udział będą miały inne, choćby słuch czy dotyk. Przecież w nocy, kiedy niewiele widać, wyostrzamy słuch i staramy się pomagać sobie dotykiem. Rzeczywiście pewne kwestie dotyczące osób ociemniałych zostały w tych tekstach wyeksponowane, np. wrażliwość słuchowa na głos ludzi i rozpoznawanie ich nastroju, dotyk pisma brajlowskiego i innych dotykowych pomocy dydaktycznych, ponadto potknięcia i obicia o sprzęty domowe, a także odczucia powiewu wiatru i umiejętność utrzymania równowagi na wąskich kładkach. Jednak biograficzne historie ludzi nawet tych niewidomych, to historie ich edukacji, problemów życiowych, urzędów, pracy itd. W tym wypadku ciągle napotykamy na korespondencje, dokumenty, starania o rozwiązanie kolejnych życiowych spraw. To wszystko opiera się na opisie obiektów wzrokowych. Niebagatelną rolę w życiu ociemniałych odgrywa Związek Niewidomych, który pomaga, wspiera, organizuje spotkania i decyduje o życiu swoich członków. Niewidomi, ociemniali ciągle poruszają wątek utraty wzroku i eksponują swój stan, więc tematyka wzrokowa jest tu obecna wciąż, nawet uzyskuje większą tematyczną wagę. Ponadto utrata wzroku u osób, którzy mieli ten zmysł rozwinięty w pełni, sprawia, że potrzebują oni kogoś (lektorów, opiekunów, przyjaciół), kto im ten wzrokowy niedostatek zrekompensuje. To się wiąże z częstym opowiadaniem tego, co widać, by niewidomy mógł sobie to wyobrazić. Ponadto niewidomi dużo wspominają i bardzo lubią sny, bo tam ich wzrok wykreowany działa bez zakłóceń, jest kolorowo, choć czasem mają koszmary senne. Należy także wspomnieć, że życie wśród ludzi widzących, dla których wzrok jest dominujący, wymaga dopasowania do komunikacji i języka tych przedstawicieli społeczności, co pociąga za sobą stosowanie leksyki związanej z widzeniem.

A jak to wygląda w przypadku osób, które urodziły się niewidome lub utraciły wzrok bardzo wcześniej?

Może się okazać, że w ich przypadku zmysł wzroku przedstawia się inaczej. Jest to jednak praca badawcza, którą dopiero zamierzam podjąć.

Czy opisy doznań zmysłowych są współcześnie bogatsze czy raczej uboższe w porównaniu do opisów poprzednich pokoleń twórców?

To zależy, jak się podejdziesz do zagadnienia. Współcześnie mamy dostęp do mnóstwa tekstów w wielu mediach, więc znajdziemy potwierdzenie wszystkich wrażeń zmysłowych ludzi interesujących się każdym tematem. Dawniej publikowano znacznie mniej, więc mamy dostęp głównie do literatury, a tam w zależności od preferencji autora i kreacji literackiej bywa różnie. Gdyby wziąć pod uwagę np. Stefana Żeromskiego, to należałoby powiedzieć, że był on bardzo wrażliwy na wszelkie zmysły. *Słownik języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego bardzo często dokumentuje dane słowo zmysłowe cytatem właśnie z Żeromskiego i wiele z tych słów to nienotowane wcześniej przykłady. Twórczość Adama Mickiewicza również jest bogata w słownictwo zmysłowe, choć ten autor nie tworzył neologizmów. Trzeba pamiętać, że słownictwo zmysłowe należy do bardzo podstawowego w języku, więc trudno, by dawniej ludzie go nie znali i nie używali. Małe dzieci uczą się mówić przy wykorzy-

staniu onomatopei. Czym innym jest zastosowanie tego w literaturze. Tu dawniej przeważnie dominowały wrażenia wzrokowe i słuchowe.

Jak często spotyka się Pan w swoich badaniach ze zjawiskiem synestezji?

Każdy, kto interesuje się zmysłami, napotyka na synestezję. Zmysły się mieszają, łączą, inspirują wzajemnie. Duża część doznań zmysłowych jest dla człowieka bardzo podstawowa i bezpośrednio dostępna, stąd staje się podstawą różnych porównań i odniesień obserwowanych w metaforach synestezyjnych. Łatwo to dostrzec choćby w odniesieniu do wzrokowego postrzegania jasności, która bardzo często służy do wyrażania wiedzy (*jasny wywód, wyjaśnić co komu, wszystko jasne, światły człowiek, oświecony umysł, oświecenie*), czasem synestezja łączy różne zmysły, jak w wyrażeniach: *nuta smaku, barwa dźwięku, słodki zapach czy ostry/tępy ból*. Według moich jeszcze nieukończonych obserwacji metaforyzacja obejmuje 5-10 procent wszystkich użyć leksyki zmysłowej. Nie jest to tylko efekt artystycznego wyrazu pisarzy, a znacznie częściej sposób na wyrażenie myśli przez zwykłych użytkowników języka.

Dziękuję za rozmowę.



Pomiędzy edycjami

9 (12). edycja Kozzi Film Festiwal. Kozzi – Pieczka – Chęciński 2023

Dziewiątej, a właściwie już dwunastej edycji Festiwalu Filmu, Teatru i Książki w 2023 roku patronowali Maciej Kozłowski, Sylwester Chęciński i Franciszek Pieczka. Na Festiwalu nie zabrakło też książek – o kinie, o aktorach i reżyserach, a także tych z wątkami kryminalnymi – które są obecne w programie artystycznym przygotowywanym przez dyrektora Festiwalu Andrzeja Bucka od momentu, kiedy Festiwal przeniesiono do Zielonej Góry.

Podczas najnowszej (9/12) edycji promowało między innymi: *Zamiast czekać zacznij żyć* Jana Kaczkowskiego, *Niejedno przeszłam* Stanisławy Celińskiej, *Ty pieronie. Biografia Franciszka Pieczki* Magdaleny Jaros, *Naku*wiam zen* Marii Peszek, *mama ma szorstkie ręce* Jolanty Fainstein. Trzeba też podkreślić, że film *Wyrwa* w reżyserii Bartosza Konopki, który rozpoczął pierwszy festiwalowy poranek, to adaptacja książki Wojciecha Chmielara o tym samym tytule.

Dlaczego taki zestaw książek na Festiwalu? Wybór nie był tu przypadkowy.

Jan Kaczkowski jest bohaterem prezentowanego w tym roku filmu fabularnego *Johnny* w reżyserii Daniela Jaroszka. W rozmowie o filmie i o książce Kaczkowskim wzięli udział zaproszeni przez Andrzeja Bucka goście: Maria Pakulnis – odtwórczyni roli drugoplanowej (laureatka KLAPSA 2023), Łukasz Maciejewski – krytyk i autor książek teatralno-filmowych oraz ksiądz profesor Andrzej Draguła z Uniwersytetu Szczecińskiego.

Świetna aktorka Stanisława Celińska była gościem specjalnym Festiwalu i zaprezentowała się w fenomenalnym recitalu, na którym widzowie na przemian śmiali się i uronili łzę, klaskali i tańczyli z artystką. Pomiędzy piosenki wplatała ona anegdoty filmowe i teatralne, recytowała także wiersze Rainera Marii Rilkego oraz Aleksandra Puszkina, oba o miłości. Towarzyszył jej pełen wirtuozów zespół muzyczny pod kierunkiem Macieja Muraszko. Podczas koncertu dyrektor artystyczny wręczył Stanisławie Celińskiej statuetkę KLAPS 2023, przyznaną przez Kapitułę Festiwalu za wybitne osiągnięcia.



Innym akcentem muzycznym był recital wieloletniego przyjaciela Festiwalu Lecha Dyblika. Muzycznie Festiwal zainaugurowali studenci Uniwersytetu Zielonogórskiego pod opieką dr Marzanny Rudnickiej w koncercie dla mam, z piosenkami filmowymi i nie tylko. Były kostiumy, ruch sceniczny i piękne wykonania wokalne i z akompaniamentem.

Maćka „Kozziego” Kozłowskiego wspominaliśmy zarówno krótkim filmem z wypowiedzią Bogusława Lindy o swoim przedwcześnie zmarłym koledze, jak i w rozmowach z festiwalowymi gośćmi, którzy aktora znali, często z nim pracowali. Na Festiwalu cenione są role drugoplanowe w filmie polskim, co związane jest właśnie z Kozzim, mistrzem drugiego planu. Kapitału przyznaje nagrodę dla aktora drugoplanowego imienia Macieja Kozłowskiego (kreatcja jest wybierana na podstawie zestawu filmów według selekcji dokonanej przez znawcę kina i teatru, krytyka Łukasa Maciejewskiego). Ponadto – na cześć Kozziego – na Festiwalu prezentowana jest sekcja kina akcji, thrillerów, dreszczowca „Kozzi Gangsta Film”.

Kolejnemu patronowi najnowszej edycji – reżyserowi Sylwesterowi Chęcińskiemu poświęcony był znakomity wieczór przygotowany przez Bartosza Kuświka: Forpoczta Festiwalu „Nie było na niego mocnych. Sylwester Chęciński we wspomnieniach i anegdotach”. Chęcińskiego wspominał też Andrzej Buczak. Mówił o teatralnej pracy reżysera.

Trzeci patron – Franciszek Pieczka, znakomity aktor filmowy, telewizyjny i teatralny również jest pamiętany z wielu ról. Przypomniał je Bartosz Kuświk w rozmowie z autorką książki o Pieczce, jednym z bardziej znanych Ślązaków.

Innym znanym Ślązakiem jest drugi festiwalowy gość specjalny – aktor Marian Dziędziel. W rozmowie z Łukaszem Maciejewskim wspominał on swoją drogę do szkoły aktorskiej i anegdotę o ojcu, który pragnął, by syn został „farorzem”, czyli księdzem. Aktor angażowany często przez Wojtkę Smarzowskiego otrzymał z rąk dyrektora Festiwalu Andrzeja Buczaka nagrodę KLAPS 2023 za całokształt osiągnięć artystycznych w dziedzinie filmu.

Widzom szczególnie przypadł do gustu film *Fucking Bornholm* w reżyserii Anny Kazejak, ze świetną rolą Grzegorza Damięckiego (grającego również



w *Wyrwie*), nominowanego do nagrody za najlepsze role drugoplanowe.

W festiwalowej ofercie były liczne spotkania połączone z projekcjami filmów, między innymi – z Gabrielą Muskałą, która zagrała w filmie *Skotowani*, komedii romantycznej z przesłaniem w reżyserii Jana Macierewicza, oraz ze wspomnianym już Marianem Dziędzielem, który wystąpił w komedii kryminalnej *Masz ci los* w reżyserii Mateusza Głowackiego.

Ponadto na Festiwalu był film prezentowany przez Bernda Budera, z partnerskiego FilmFe-



stival Cottbus, Festiwalu Filmów Europy Środkowej i Wschodniej. Tradycją jest, że partnerskie festiwale prezentują u sąsiada, po drugiej stronie Odry, filmy wartościowe i zwycięzców swoich ostatnich edycji. Tak też było z filmem *Chleb i sól* Damiana Kocura, który dostał nagrodę młodzieżowego jury w listopadzie 2022 w Cottbus i święci triumfy, odwiedzając festiwale na całym świecie. Zielonogórskiej publiczności także się bardzo podobał. Równie ciepło został przyjęty kolejny film z udziałem Lecha Dyblika, izraelska *Delegation* w reżyserii Asafa Sabana. Po projekcji organizatorzy dali publiczności szansę uczestniczenia w spotkaniu z Lechem Dyblikiem. Rozmowa z aktorem dotyczyła ról drugoplanowych, kariery, przemyśleń doświadczonych przez życie człowieka. Uczestnicząca młodzież przysłuchiwała się z zainteresowaniem. Na wielu projekcjach filmów polskich i niemieckich była obecna również Lucia Wiedergrün, doktorantka z Europejskiego Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą.

Z kolei po podejmującym problematykę choroby demencyjnej w rodzinie filmie *Strzępy* odbyło się spotkanie z reżyserką Beatą Dżianowicz i odtwórczynią jednej z ról – Agnieszką Radzikowską. Obie artystki opowiedziały o powstawaniu filmu, tajemnicy więzi rodzinnych, którą widać na ekranie, śląskości, dylematów ludzi w obliczu demencji osób bliskich. Beata Dżianowicz otrzymała nominację za najlepszą rolę drugoplanową, a Beata Radzikowska została laureatką Grand Prix dla najlepszego filmu polskiego. *Strzępy* zostały również nagrodzone KLAPSEM jury młodzieżowego, przyznany przez uczniów V Li-

ceum im. Krzysztofa Kieślowskiego w Zielonej Górze. Wypada przypomnieć, że reżyserka na Kozzi była już nagradzana kilka edycji wcześniej za swój debiut, sensacyjny film *Odnajdę cię*.

Bernd Buder prezentował także laureata, ale innej kategorii FilmFestival Cottbus 2022, film *Kobieta na dachu* Anny Jadowskiej. Po projekcji widzo-



wie dzielili się swoimi spostrzeżeniami, pozytywnymi recenzjami. Miłośnicy gangsterskiej komedii mieli możliwość obejrzeć obraz *Nie cudzołóz i nie kradnij* w reżyserii świetnego skądinąd scenarzysty Macieja Kuczewskiego. Film dostał KLAPSA w kategorii kino akcji, ale spodobał się na tyle, że po zakończeniu projekcji ostatniego festiwalowego filmu i podliczeniu głosów widzów został też laureatem nagrody publiczności.

Dla festiwalowych gości organizatorzy zapewnili również szereg atrakcji. Mogli odpocząć i cieszyć się słońcem i powietrzem w niewielkiej, podzielonogórskiej winnicy państwa Gradów. Oczywiście nie obyło się też bez degustacji i opowieści właścicieli o historii i teraźniejszości lubuskiego winiarstwa. Goście mogli też obejrzeć poświęcony winiarstwu Park Miniatur i posiedzieć w specjalnej ośmiokątnej altanie.



Również w 2023 roku jednym z festiwalowych miejsc stały się park i ruiny pałacu w Zatoniu. Tu odbyło się spotkanie z Jolantą Fainstein – autorką dramatu *mama ma szorstkie ręce* opublikowanego przez wydawnictwo Pro Libris. W rozmowie z prowadzącą spotkanie dr Mirosławą Szott i teatrolożką Joanną Marcinkowską autorka mówiła o genezie dramatu i jego pierwotnej formie. Utwór ten pojawił się wcześniej w Czytelnicy Dramatu Biblioteki Norwida, w której to był czytany przez zielonogórskich aktorów pod reżyserską opieką Zdzisława Wardejna.

Jedynym w swoim rodzaju i niepowtarzalnym wydarzeniem był poranek filmowy, w cyklu „Literatura i film”. Pokazano *Pana Tadeusza* – niemy film z 1928 roku, odnowiony cyfrowo w reżyserii Ryszard



da Ordyńskiego. Projekcji towarzyszyły komentarze zaproszonych przez dyrektora Festiwalu gości – profesora Jerzego Bralczyka i redaktora Michała Ogórka.

Wielbiciele talentu Sebastiana „Stanki” Stankiewicza mieli możliwość spotkać się z aktorem po filmie *Niebezpieczni dżentelmeni* w reżyserii Macieja Kawalskiego. Za rolę w tym filmie aktor został nominowany do Nagrody im. Macieja Kozłowskiego.



Stanki długo i barwnie opowiadał o przypadku, który sprawił, że znalazł się w tym filmie, o swoich improwizacjach, komentarzach Andrzeja Seweryna, który także tu gra, oraz o reżyserze, Macieju Kawalskim, który podobnie jak jeden z bohaterów – Tadeusz Boy Țeleński – porzucił zawód lekarza, by zajmując się zawodem artystycznym. Kawalski to także z wykształcenia lekarz. Najnowszy, prezentowany na różnych festiwalach film z udziałem Sebastiana Stankiego to krótki metraż *Być kimś* w reżyserii Michała Toczka. Stankiewicz wciela się w głów-



nią rolę – elektryka, który mieszka z żoną w lokum zajmowanym kiedyś przez Lecha Wałęsę i zamierza to wykorzystać, tworząc inscenizację.

Coroczna gala festiwalowa odbyła się w bibliotecznej Sali im. Janusza Koniusza, poprowadził ją dyrektor Festiwalu i jego inicjator dr Andrzej Buck. Jednej z nagród – za najlepszą kreację aktorską w polskim filmie fabularnym – nie odebrał nieobecny aktor Krzysztof Globisz, a w zastępstwie wręczono ją podczas gali Arturowi Baronowi Więckowi, reżyserowi filmu *Sekretne życie aniołów*, w którym zagrał Globisz.



Po seansie krakowski reżyser opowiadał o współpracy z aktorem, idei filmu, a Łukasz Maciejewski wskazywał na mistrzostwo kreacji bohatera wielu filmów Więcka, m.in. *Anioł w Krakowie*.

Współpraca z chociebuskim festiwałem nie dotyczy tylko prezentacji laureatów bratniej imprezy. W Zielonej Górze pokazywane są również filmy niemieckie i niemieckojęzyczne. W 2023 roku, dzięki dotacji z Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej widzowie mogli obejrzeć cztery ciekawe tytuły, poznając historię kultury niemieckiej (*Bettina* Lutza Peinerta i *Monte Verità* S. Jägera), alternatywny życiorys niemieckiego komika (*Olaf Jäger*, reż. Heike Fink) oraz dramat współczesny *Aksjomat* Jönsa Jönssona. Pokazano również dokument *Przed czas/ Vor Zeit* (reż. Juliane Henrich). Odbyła się po nim dyskusja z udziałem reżyserki i Berndta Budera, którą poprowadziła Natalia Dyjas-Szatkowska. Rozmawiano również o współpracy nadgranicznych festiwali z Chociebuza (Cottbus) i Zielonej Góry.

W ramach cyklu „Lubuskie konotacje” Małgorzata Bogajewska, debiutująca (za dyrekcji Andrzeja Bucka) jako reżyser w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze, przywiozła z Teatru Ludowego w Krakowie, którego obecnie jest dyrektorką, spektakl *Wstyd* autorstwa Marka Modzelewskiego. Zaprezentowano go na deskach Centrum Kultury Kreatywnej RCAK w Zielonej Górze. Po spektaklu odbyła się też rozmowa o dramatach Marka Modzelewskiego z udziałem Małgorzaty Bogajewskiej, aktorów grających w spek-

taklu, Janusza Łastowieckiego oraz Andrzeja Bucka.

Jeszcze jeden dokument pokazany na Kozzi Film Festiwal spotkał się z zainteresowaniem publiczności – ukraiński film zaprezentowany przez Oksanę Palii *Życie po 16.30* w reżyserii Artemiego Kirsanowa.

Nieopisanym dotychczas miejscem festiwalowym był namiot ustawiony na zielonogórskim deptaku. Zachęcał on młodzież i dzieci do wspólnych zabaw, gier, pokazywane w nim były spektakle w wykonaniu bibliotecznych aktorek, można było wziąć udział w warsztatach. Oferta festiwalowa dla młodych poszerza się z roku na rok.

Ponadto – jako Post Scriptum I – pokazano jednoaktówkę *Lekcja* Eugène’a Ionesco, w adaptacji i reżyserii Jana Andrzeja Fręsia, a w wykonaniu Teatru Zza Boru. Spotkanie organizatorów i wolontariuszy Festiwalu było znakomitą okazją do podzielenia się wrażeniami z tej z roku na rok coraz bardziej rozpoznawalnej w regionie i kraju imprezy kulturalnej.

Pod nazwą Post Scriptum II odbyło się spotkanie z reżyserem i scenarzystą Mariuszem Kuczewskim oraz aktorem Sławomirem Mandesem – twórcami filmu *Nie cudzołóż i nie kradnij*, uhonorowanego Nagrodą Publiczności.

Warto dodać, że zdobywca Grand Prix (KLAPS 2023) dla reżysera najlepszego polskiego filmu (*Strzępy*) obdarzony też wyróżnieniem Nagroda Młodzieżowego Jury będzie prezentowany podczas kolejnej edycji Film Festiwal Cottbus przez dyrektora KFF.



Agnieszka Ginko-Humphries

Inspiracja i integracja, czyli cykliczne spotkania dla poetów i pisarzy w Bibliotece Norwida

Już od dłuższego czasu zastanawialiśmy się nad uruchomieniem regularnych spotkań osób piszących: grupy literackiej, gdzie można będzie przedstawić swoje świeże jeszcze teksty i poddać je konstruktywnej ocenie, a potem obróbcie w życzliwej atmosferze. Zamiast warsztatów zaproponowałam rodzaj grupy wsparcia w procesie twórczym, do której można zaprosić zarówno doświadczonych literatów, jak i mniej doświadczonych i debiutujących. Wiosną 2022 razem z Marcinem Radwańskim, moim kolegą

pisarzem, bibliotekarzem w Filii nr 2, zorganizowaliśmy i poprowadziliśmy pierwsze spotkanie w Filii na os. Pomorskim. Wzięło w nim udział 10 osób w różnym wieku i z różnym dorobkiem pisarskim, od starych wilków po młodych „nieujarzmionych”. Była też mocna reprezentacja głosów poetyckich.

– Zналиśmy się (tylko) z widzenia, z konkursów, z lokalnych wydarzeń artystycznych; czasem minęliśmy się w bibliotece lub na uniwersytecie – zauważa Roksana Bach. – Czytaliśmy swoje teksty w „Pro Libris” i „Pasjach Literackich”. Wiedzieliśmy, ogólnikowo rzecz biorąc, kto tworzy lubuskie środowisko literackie, kojarzyliśmy zarówno autorów zrzeszonych, jak i niezależnych, ale nasze dróżki częściej nieregularnie się przecinały, niż zbiegały. Chodziliśmy wokół tego samego, inaczej stawiając kroki, czasem niezgrabnie na siebie wpadając i oddalając się, wymrukując niewyraźne przeprosiny. Do czasu, aż w 2022 roku w internecie pojawiło się intrygujące zaproszenie, na które, jak się okazało na spotkaniu, odpowiedzieliśmy pozytywnie.

Oprócz czytania i redagowania swoich tekstów, czyli pytań i komentarzy, znaczna część pierwszego spotkania poświęcona była wymianie doświadczeń, wiedzy i inspiracji, w tym rozmowom o wydawnictwach, czasopismach, konkursach i promocji książek. Okazało się to również potrzebne jak konstruktywna ocena przedstawianych tekstów, uwagi merytoryczne i redakcyjne. Po kolejnych kilku spotkaniach (niektóre odbyły się w Filii nr 3 na Zaczysku) podjęliśmy decyzję o utworzeniu dwóch grup: grupy dla literatów „Norwid Literacko”, poświęco-



nej w dużej mierze tekstom prozatorskim, prowadzonej w Filii nr 2 na osiedlu Pomorskim przez Marcina Radwańskiego, oraz grupy „Wiersze na Koko-sowej” dla poetów i tłumaczy prowadzonej w Filii nr 3 na os. Zacisze przez autorkę niniejszego tekstu, Agnieszkę Ginko-Humphries, poetkę i bibliotekarkę. Wynikało to częściowo z entuzjazmu literatów, którzy uzyskali możliwość spotkań twórczych w kameralnym gronie, gdzie można spokojnie i bezpiecznie podzielić się nowymi tekstami i pomysłami, przetestować je na kimś, ale też szczerze wyrazić swoje wątpliwości, frustracje i lęki, a wiemy, że tych nie brakuje osobom „wysoko wrażliwym”, jakimi są artyści. Innym powodem podziału grupy była wyraźnie odczuwalna dominacja pisarzy nad poetami (tzn. odczuwana przez dusze poetyckie, rzecz jasna). Przykładowo: poetka wyciągała trzy wiersze, które prezentowała przez kilka minut, i które, jak wiadomo, pisała przez kilka miesięcy, a pisarz wydobywał fragment swojej powieści albo opowiadania i czytał, czytał i czytał... Towarzystwo poetów i tłumaczy znalazło więc dogodnie miejsce spotkań pod dachem Filii nr 3. Trzeba tu zaznaczyć, że w spotkaniach na osiedlu Zacisze mogli też wziąć udział pisarze, pod warunkiem że odłożą swoją prozę na spotkania na osiedlu Pomorskim i albo będą grzecznie słuchać poezji i komentować, albo przyniosą tłumaczenia wierszy, które popętnili, a nawet utwory własne. Muszę przyznać, że do tej pory bardzo się poetycko udzielali.

– W mieście brakowało takiej przestrzeni, miejsca bez zobowiązań, gdzie można szlifować warsztat pisarski i dyskutować na sprawy związane zarówno z prozą, jak i poezją w atmosferze szacunku – podsumowuje Roksana Bach. – Dzielenie się swoim doświadczeniem, wymienianie wskazówek czy planami wydawniczymi, wszystkie te tematy, na które nigdy nie było tak naprawdę okazji porozmawiać, stały się osiągalne i autentyczne. Moderatorzy spotkań, Agnieszka Ginko-Humphries i Marcin Radwański, szybko odczytali potrzebę zorganizowania osobnych warsztatów dla prozaików i poetów (a później i tłumaczy). Ten podział uporządkował kwestie gantkowe i dał nam dwa razy więcej wartościowego czasu na niekończące się dyskusje i analizy.

Warto tu podkreślić, że spotkania w obu filiach nigdy nie zamieniły się w „towarzystwo wzajemnej adoracji”, co czasem się zdarza w grupach twórczych. Udział w nich zawsze był otwarty i publicznie ogłaszany na stronie Biblioteki Norwida oraz w mediach społecznościowych. Niektórzy literaci uczestniczyli w obu grupach, niektórzy w jednej, w każdej z nich pojawiły się nowe osoby. Dyskusje były nie-raz gorące, ale moderatorzy dbali, aby uwagi były życzliwe i zachęcające, a nie zniechęcające do pisania. Spotkania od samego początku otrzymały pozytywne oceny od uczestników, przyczyniając się do integracji tutejszych środowisk literackich.

– Dla mnie bezcenna jest życzliwa krytyka – podkreśla Zofia Nowicka. – Doceniam, że słuchający naprawdę skupiają uwagę na treści prezentowanego utworu. Ważne jest spojrzenie na opisany problem innym okiem, zasugerowanie innego słowa, zmiany szyku wyrazów, kolejności wersów. Wtedy mogę nabrać dystansu – bo przecież pisze się w emocjach – i spojrzeć jeszcze raz z innej perspektywy. To jest bardzo budujące i twórcze.

Dzięki obu grupom uczestnicy nawiązali współpracę i narodził się szereg inicjatyw, jak wzajemna redakcja powieści i opowiadań przed wysłaniem do wydawnictwa, co jest bezcenne dla autora, a także wspólne występy, spotkania autorskie w Filii nr 2, w tym debiutanckie, wzajemne recenzowanie utworów i publikacja recenzji w „Pro Libris”, wspólne tłumaczenie wierszy amerykańskiej noblistki Louise Glück, konsultacja kilku tomików przed ich wydaniem, wymiana twórcza, polecanie sobie ciekawej współczesnej poezji i prozy. Magdalena Chruścińska wspomina:

– Spotkania „Norwid Literacko” były dla mnie ważne, stanowiły przestrzeń do rozwijania pasji literackiej. Czytając swoje opowiadania i słuchając opowiadań innych, mogłam doskonalić swoje pisanie, miałam wenę. Poznałam ciekawych ludzi, z którymi mogłam porozmawiać na temat literatury.

Można by tu wymienić wiele korzyści i twórców, ale często najcenniejsze jest to, co niewyrażalne i niepoliczalne. Nie liczba uczestników i spotkań, ale rozwój artystyczny i osobisty, i przede wszystkim przyjaźnie i znajomości literackie, które pozostaną na

dłużej. Niektóre osoby wzięły udział w spotkaniach literatów tylko raz albo kilka razy, ale wystarczyło to do nawiązania ważnych kontaktów i zapoznania się z autorami, których wcześniej znało się z nazwiska i okładki książki. Nawet pewien samotny wilk, jak to bywa z literatami, który odzegnuje się, że „wszystko sam”, zaangażował się w znajomość i wymianę twórczą dzięki jednemu spotkaniu, na którym był. Do tej pory w obu grupach wzięło udział wielu literatów z Zielonej Góry i okolic, warto ich wymienić: Roksana Bach, Krzysztof Bąkowski, Halinka Bohuta-Stapel, Agnieszka Cybulska, Zofia Chrin-Nowicka, Magdalena Chruścińska, Elżbieta Dybalska, Władysław Edelman, Maria Fraszewska, Andriej Kotin, Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek, Marek Krukowski, Adrian Lokś, Joanna Marcinkowska, Marcin Mielcarek, Krystyna Polańska, Aldona Reich, Witold Stankiewicz, Mirosława Szott. Moderatorzy również czytali swoje teksty i korzystali z uwag pozostałych, co nie jest takie częste przy prowadzeniu grup. Wynikało to z nieformalnego charakteru spotkań, traktowania wszystkich równorzędnie.

– Oba te miejsca: Filia na Pomorskim i Filia na Zaciszu – zauważa Halinka Bohuta-Stapel – to swoiste salony literackie, gdzie dochodzi do spotkania się i wymiany myśli pomiędzy ludźmi tworzącymi w naszym regionie. Przybywają na nie twórcy z różnych środowisk, których łączy szacunek do słowa pisanego, a nie jakakolwiek przynależność do czegośkolwiek. Miejsca potrzebne, inspirujące, twórcze.

Po ponad roku spotkań w grupie „Norwid Literacko” obniżyła się frekwencja, co wynikało z przerwy z pisaniem, którą zrobiło sobie kilku literatów, a także ograniczonych możliwości uczestniczenia w obu grupach u osób, które chciały również brać udział w spotkaniach „Wiersze na Kokosowej”. W czerwcu 2023 podjęto decyzję o zakończeniu tego rodzaju działalności w Filii nr 2 Biblioteki Norwida. I tak Marcin Radwański poprowadził ostatnie spotkanie grupy „Norwid Literacko”.

– Żałuję, że nie będzie spotkań prozaików w Filii na Pomorskim – mówi Władysław Edelman. – Możliwość przeczytania swoich tekstów koleżankom i kolegom i wysłuchanie oceny czy refleksji to bardzo cenna rzecz. Uwagi, nawet jeśli krytyczne, zawsze

były życzliwe. Spotykaliśmy się w niewielkim gronie piszących bardzo różne teksty, odmienne stylistycznie, i to właśnie było bardzo inspirujące.

Roksana Bach dodaje:

– Spotkania „Norwid Literacko” w Filii nr 2 oraz „Spotkania dla poetów i tłumaczy” w Filii nr 3 dały mi wiele: poznałam wspaniałych ludzi, dostałam motywację do pisania, ale też pomogły mi wyrażać konstruktywną krytykę. Chociaż zawsze wydawało mi się, że jest mi bliżej do poezji, to w tym czasie rozwinęłam skrzydła w prozie pod okiem bardziej doświadczonych autorów. Regularna praca w kameralnych grupach, gdzie każdy jest zaangażowany, znacznie wpłynęła na mój warsztat. Żałuję, że zajęcia w Filii nr 2 zostały zakończone. Nie ma takiego drugiego miejsca na literackiej mapie Zielonej Góry.

W marcu 2023, w rocznicę pierwszego spotkania literatów, grupę „Wiersze na Kokosowej” dla poetów i tłumaczy zaczęłam prowadzić w ramach Dyskusyjnego Klubu Książki, co umożliwiło zakup najnowszych, pachnących jeszcze farbą drukarską tomików poetyckich i omawiania ich podczas spotkań. Spodobał się pomysł rozmawiania o poezji nominowanej do prestiżowych nagród, m.in. Nike, Silesiusa, Miasta Warszawy, tj. często wspólnego głowienia się nad tym, co, do licha, tak urzekło krytyków, i próby zrozumienia nowoczesnych eksperymentów poetyckich. Przytoczę zaraz kilka przykładów, ale trzeba zaznaczyć, że każde spotkanie jest nieprzewidywalne, jednorazowe i jego kształt zależy w dużej mierze od zainteresowań i potrzeb uczestników. Wspomnę jeszcze, że w dalszym ciągu przy kawie i herbacie czytamy i redagujemy swoje teksty, wymieniamy się uwagami i komentarzami, rozmawiamy o pisaniu, wspieramy się w procesie tworczym. To trzon każdego spotkania. Wszystkie chętne osoby przedstawiają swoje wiersze lub tłumaczenia (zwykle 2-3 teksty). Jak to ujęła Elżbieta Dybalska:

– Między regałami pełnymi książek stół, przy którym można spotkać CZŁOWIEKA, który częściej SŁOWEM, GESTEM I SERCEM – i tak pisze się nasza książka!

O czym rozmawialiśmy wiosną i latem 2023 oprócz prezentacji utworów własnych? Na początku zaproponowałam poczytanie wierszy Beaty Pa-

trycji Klary z tomiku *Lęgnia*, wyróżnionego podczas Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2022. Dyskutowaliśmy o formach literackich w tomiku oraz ukazaniu natury i kobiecości w wierszach Klary. Rozmawialiśmy również o powieści *Kości, które nosisz w kieszeni* (Paszporty Polityki 2022) Łukasza Barysa. Autor prowadzi nas przez cmentarze, szkoły i dzielnice prowincjonalnego miasta, ukazując dorastanie w sposób baśniowy, ale dojmująco prawdziwy. Niektórym uczestnikom spotkania podobał się magiczny realizm powieści, a innym przeszkadzał „pato-realizm” – osadzanie wydarzeń w kontekście patologicznej rodziny i społeczności. Na kolejnym spotkaniu czytaliśmy wiersze Kamili Janiak z tomiku *Miłość*, który otrzymał Nagrodę Literacką m.st. Warszawy. Obrazy w wierszach Janiak to niemal XIX-wieczny naturalizm połączony jednak z empatią dla podmiotu lirycznego wkraczającego w progi macierzyństwa, strachu, bólu. To swoiste reportaże liryczne na temat trudnych doświadczeń kobiety. Udało się również zapoznać z tłumaczeniami wierszy amerykańskiej noblistki Louise Glück, przekładami wspomaganymi przez Chat GPT!

Co wywołało oczywiście dyskusję na temat sztucznej inteligencji. Prezentowałam też, testując wytrzymałość uczestników, wiersze Natalii Malek z tomiku *Obręcze*, nominowanego do Nagrody Nike 2023, ilustrowanego abstrakcyjnymi obrazami Barbary Bańdy, zielonogórskiej artystki. Zastanawialiśmy się, czy ta barwna tematyczna pustka i zabawy w wylczenie specjalistycznych słów, np. z zakresu kolejnictwa, są dla czytelnika „potrzebnym torem”, zachęcającym do przejażdżki, czy też „niepotrzebnym taborem”? Pochyliłiśmy się również na chwilę nad książką Wita Szostaka, jedną z najdziwniejszych powieści XXI wieku – wierszowanymi zapiskami z życia poetki, rodzajem poetyckiego pamiętnika, z którego wyłania się jej życie. Warto mu się przyjrzeć chociaż po to, żeby bardzo się skrzywić lub zaskoczyć.

Poeto, poetko i tłumaczu! Jeżeli jeszcze nie zorientowaliście się, że artykuł ten jest również reklamą spotkań dla literatów organizowanych przez Bibliotekę Norwida, to przyznam się szczerze: tak. Spotkania ogłaszane są na FB Biblioteki (wydarzenia).



Weronika Nawrocka

Operowanie obrzydzeniem, czyli o oddziaływaniu synestezji i dwóch przykładach z polskiej literatury współczesnej

Słowo pisane wielu zachwyca, wprawia w ekstazę, oczarowuje – ale czy może z podobną siłą też obrzydzać, odrzucać, a nawet śmierdzić? Synestezyjne metafory językowe opisują przecież także pejoratywne doznania, ale są tylko środkiem używanym przez twórcę do stworzenia opisu; są tym, co ma wzmocnić zamierzony efekt. To nie one, same w sobie, obrzydząją. Jednak zastanawia mnie coś innego – co dzieje się w sytuacji, gdy w tekście język jest na tyle wulgarny i odrzucający, że niemal fizycznie zniechęca czytelnika do zagłębienia się w treść utworu? Nieuniknione wydaje się postrzeżenie tego zjawiska literackiego poprzez pryzmat synestezji.

Samo „odczuwanie” literatury musi być fizyczne, stanowić pomieszanie zmysłów, czyli dokładnie to, za co odpowiada synestezja, bo słowa oddziałują na odbiorcę, mają zapach, fakturę czy też, w szczególnych przypadkach, powodują pewną szorstkość na języku. Niosą więc ze sobą kompilacje uczuć, pozornie niemożliwych do odczuwania tylko dzięki samym literom. Albert Einstein mówił, że gdy tylko może, „myśli muzyką”. Synestetycy często opisują dźwięki przypisane do konkretnych kolorów, jeszcze inni łączą litery z dotykiem lub liczby ze smakiem. Same metafory powszechnie używane w polszczyźnie często są przecież metaforami synestezyjnymi (np. „ostry zapach”, „słodkie życie”). Bywają spotykane w tylu sytuacjach, że ich oryginalność i niecodziennosc nie powoduje zastanowienia u twórcy lub odbiorcy.

Mnogość bodźców, ich powszechność może powodować zanik możliwości oddzielenia, a nawet dostrzeżenia różnych nośników pobudzających zmysły. Książek możemy słuchać, zamiast je czytać – a same audiobooki powoli stają się najbardziej miarodajną formą oceny nowości literackich. Przykładem na to może być popularna praktyka wydawnicza, polegająca na sprawdzaniu sukcesów wyłącznie wersji audio. Wydawcę coraz mniej interesuje liczba sprzedanych kopii papierowych (bo kto kupuje debiut nieznanego autora za równowartość dwóch godzin przepracowanych według minimalnej stawki godzinowej?), zamiast tego miarodajne stają się wyniki wyświetleń na platformach audiobookowych (oferujących subskrypcję, która często zamyka się w wartości równej np. jednej stawki godzinowej, za którą

odbiorca ma możliwość przesłuchania dowolnej liczby tytułów w miesiącu, porzucania tych, które mu się nie spodobały i dalszych poszukiwań), liczy się ilość zebranych tam „gwiazdek” (będących systemem oceny w skali 1-5) oraz pozytywnych komentarzy. Jednak sam odbiór książki słuchanej, nie czytanej, może diametralnie różnić się od odbioru książki doświadczanej w papierze, tylko i wyłącznie za pomocą wyobraźni czytelnika; wpływ na to ma wiele czynników, takich jak poziom skupienia, głos lektora, to, co sam lektor będzie akcentował, a do czego czytelnik samodzielny mógłby nie przywiązać aż tak wielkiej wagi.

Film a tekst

Czy ekranizacja powieści, lub w ogóle film sam w sobie, nie jest swoistą wisienką na torcie dyskusji o synestezji? Film gwarantuje odbiorcy całkowite i totalne połączenie wrażeń zmysłowych, bombarduje go obrazami, dźwiękami, a w najnowszych technologiach – nawet ruchem i zapachem. Stanowi również novum formalne, bowiem narracja filmowa w niczym nie przypomina narracji książkowej, co często prowadzi do konfliktów odbiorców przy każdorazowym pojawieniu się adaptacji danego dzieła i przy próbach interpretacji tegoż obrazu (inaczej będzie odebrany film przez osobę, która wcześniej czytała książkę, a inaczej przez taką, która ma do czynienia tylko z interpretacją reżysera). Co więcej, ścieżki dźwiękowe najpopularniejszych obrazów kinowych (jak na przykład *Harry’ego Pottera* lub *Władcy Pierścieni*) już po paru dźwiękach przywodzą na myśl konkretne sceny lub bohaterów. A przecież jeszcze wcześniej zarówno *Harry Potter*, jak i *Władca Pierścieni* były po prostu tekstem, literami wydrukowanymi, a wcześniej napisanymi, na papierze. W podobny sposób wydaje się funkcjonować operowanie obrzydzeniem, gdyż film jest bardziej dosłowny, pokazuje obrazy, zamiast tylko je opisywać. Jednocześnie może zmniejszać obrzydzenie przez swoją dosłowność (straszniejsze jest to, co niewidoczne) lub zwiększać je w innym kierunku, niż planował autor dzieła adaptowanego. Czy w takim razie współczesny odbiorca, który ma do wyboru tyle alternatyw wspomagających odczuwanie kultury i sztuki,

w ogóle zastanowiłby się nad wyborem zwykłej, starej, nudnej książki? Jeśli nawet tak, jak wyglądałoby jej zmysłowe odczuwanie?

Książki nadal przecież są pisane, nie tylko w celu ich późniejszej ekranizacji. Pomijając już zupełnie problem, na który zwracają uwagę złośliwi, jakoby więcej osób chciało pisać swoje książki niż czytać teksty innych, autorami bardzo często stają się reprezentanci najmłodszego pokolenia. Oczywiście, ich proza i poezja jest zupełnie inna i tworzona w innym celu; autorzy podejmują inne tematy i kierują swoje słowa do innych odbiorców. To, co jednak bardzo często wybija się na pierwszy plan w narracji prowadzonej przez młodych literatów, to epatowanie obrzydzeniem różniącym się od obrzydzenia używanego w literaturze wcześniejszej. Chciałabym tutaj zastanowić się nad szczególnymi przypadkami książek, których odczuwanie synestezyjne wywiera ogromne wrażenie – niekoniecznie w sensie pozytywnym, ponieważ fizyczne obrzydzenie funkcjonuje tam na zupełnie innej płaszczyźnie. Ograniczając przykłady, skupię się na dwóch polskich pozycjach zdobywających obecnie nagrody.

Dwa przykłady – Radek Rak i Dorota Kotas

Pierwszy przykład – *Baśń o węzowym sercu*, czyli nagrodzona Nagrodą Nike powieść Radka Raka z 2019 roku. Tutaj historia sama w sobie nie jest ani oburzająca, ani obrzydająca (przynajmniej patrząc tylko na jej powierzchnię; bo sugerowanie przez Raka braku możliwości wszczęcia buntu chłopskiego przez chłopa jest już jak najbardziej oburzające), nie została sfilmowana, nie ma swojej własnej muzyki ani swojej własnej ścieżki dźwiękowej (za to audiobook, owszem, został nagrany). Tym, co wpływa na oryginalne odczuwanie synestezyjne w tej powieści, jest jej język – wulgarny i sprośny, odrzucający wszelkie sacrum i operujący tylko najgorszym i najprostszym profanum. Taki język sprawia, że trudno jest się skupić na samej fabule. Pokraczna poetyckość tekstu jest fizycznie bolesna i przekreśla możliwość docenienia (marnej) historii i daje poczucie, jakoby autor, starając się celowo oburzyć odbiorcę, poszedł w tym o krok za daleko, sprawiając, że czy-

telnik ma już dość tego oburzenia. Dodatkowo, nie-eleganckie żarty występujące w *Baśni*, mające prawdopodobnie przywołać na myśl prostotę chłopskiego języka tamtych czasów, ujmują książkę tego, co jako jedyne mogłoby być w niej dobre – czyli opieranie faktami i naginanie ich tak, aby dopasowały się do historii.

Podobnie wulgarnością posługuje się Dorota Kotas. W jej powieściach próżno szukać kunsztu literackiego. Autorka, pozornie opisując codzienność swoich bohaterów, wybiera język obdarty z jakiegokolwiek poetyckości, wulgarny i prostacki. Zaburza tym odbiór historii, odrzucając czytelnika właśnie na fizycznej płaszczyźnie odczuwania tekstu. Kotas, w założeniu próbując opisać codzienność osób z zespołem Aspergera, starających się funkcjonować w społeczeństwie, przedstawia je jako osoby wulgarne, wiecznie rozkrzyczane i niezadowolone. Tworzy z tego książkę, o której mówi, że jest prozą autobiograficzną (często nazywaną „autofikcją”), oburza i zasmuca odbiorców, dając dowód na to, że polskie pokolenie młodych pisarzy głównie tylko wrzeszczy – a sama autorka potrafi wrzeszczeć i obrażać czytelników nawet w komentarzach pod postami opisującymi wrażenia zdobyte podczas czytania jej książek. Kotas walczy obrzydzeniem, nie do końca jednak wiadomo, kto jest jej przeciwnikiem: inni ludzie, system, społeczeństwo, cały świat czy może ona sama. Koniec końców, to jej czytelnicy są tymi, którzy odbierają atak i na których wylewa się cała gorycz zgromadzona w tekście.

Wydaje się, co mogą potwierdzić przytoczone przeze mnie przykłady, że autorzy polscy celowo wybierali wulgarność w opisach pozornie codziennych i/lub historycznych wydarzeń, mając na celu szokowanie czytelnika. Czytelnik jednak w pokrętny sposób musi doceniać te zabiegi, gdyż zarówno Kotas, jak i Rak, tak jak już wcześniej wspomniałam, są laureatami wielu polskich nagród literackich. Może jest to ich sposób na stworzenie książek na tyle in-

teresujących, by wygrały toczącą się walkę pomiędzy słowem pisanym a innymi nośnikami (pop)kultury i rozrywki? W swojej prozie operują wyostreniem obrzydliwości, dającej pozorne doznania, po których jednak na dłużej nie pozostanie w czytelniku żaden ślad. Możliwe też, że używanie przez nich tak dosadnie wyśmianej poetyckości jest tym, czego czytelnicy oczekują od współczesnych tekstów, bo teksty spokojne ich nudzą – ja jednak podchodziłabym do tego bardzo ostrożnie, nadal, mimo wszystko, szukając w książkach artyzmu językowego, świadomego i wyważonego łamania form i schematów. Może posługiwanie się tak dosłownym obrzydzeniem jest formą zwrócenia uwagi na tekst, dlaczego jednak dany tekst chwalony jest za język? Czy tylko dlatego, że jest pozornie poprawny? Czy wulgarność i prostackość w ogóle może być poprawna? Czy może jednak powoduje powstanie literackiego nurtu fizycznego obrzydzenia rzeczywistości (jak u Kotas) lub przeklinania w narracji (czy Ziemiański stał się nagle inspiracją młodego pokolenia?). A może wynika ze swoistego upadku narracji literackiej, którą zastępuje w tekstach, ale nie tylko, narracja filmowa – szybka, łatwo przyswajalna, urywkowa?

Serializacja fabuły dotyka coraz to większej liczby nowych dzieł. Współczesne teksty zdają się powierzchowne, pozbawiają odbiorcę odczuwania głębszego, synestezyjnego, w zamian za to dając tylko wybuch emocji i ekscytacji, które znikną w momencie zamknięcia książki – były więc zupełnie niepotrzebne, efemeryczne, uleciały i nie pozostawiły po sobie żadnego śladu. Przewidział to już Bradbury w *451 stopniach Fahrenheita*, które również sfilmowano, z rozmachem niszcząc literackie ostrzeżenie. Takie zabiegi mogłyby być odwrotnością naturalistycznych teorii dotyczących obrzydzenia powodowanego fizjologią, bo nawet wtedy, mimo że książka zdawała się prawie śmieszna, napisana była wspaniale.

I. Sztuka

L'art?... c'est l'art — et puis, voilà tout.

Béranger

You misinterpret everything, even the silence.

Franz Kafka, *The Castle*

Powierzchnia sztuki – zwana inaczej formą – nie jest niczym innym jak tylko dopełnieniem całości, tj. treści będącej trzonem wizji artystycznej. Przejroczystość sztuki jest natomiast zaprzeczeniem formy, swoistą negacją ornamentyki twórców artystycznych. Im bardziej ogołcony z formy byt, tym bardziej jest on dosadny i przejrzysty, ale nie bezdenne – raczej schematycznie usytuowany w jakiejś przestrzeni: głębszej lub płytszej. William Blake słusznie zauważył: „Gdyby oczyścić drzwi percepcji, każda rzecz jawiłaby się taka, jaka jest: nieskończona”. Zmysły stanowią zarówno pomoc, jak i przeszkodę w dostrzeżeniu arcyzmu świata – chodzi zatem o samą zasłonę, dzięki której można kontemplować sedno dzieła sztuki: rzeźby, poezji, architektury, malarstwa, muzyki czy teatru. Każda z tych dziedzin – niby rozwarstwione światło pryzmatu – skupia się na jakichś konkretnych odczuciach, zmysłach, pragnieniach, emocjach; na ruchu bądź intelekcie – albo i jednym, i drugim. Wszystkie dziedziny, będące jednocześnie rodzajem formy samego dzieła, są środkami sztuki, lecz nie jej całkowitym celem.

Jak zespolić odłamy arcyzmu w jedno, by tworzyły już nie zasłonę percepcji, ale właściwą substancję? To pytanie zadawali już sobie pierwsi kreatorzy sztuki, którzy próbowali uformować jej teorię, nadać wartość i określić sens (por. *Poetyka* Arystotelesa). Z kolei artyści romantyzmu starali się urzeczywistnić definicję arcyzmu, dokonując syntezy sztuk w celu powiązania metafizycznego charakteru poezji z kreacją tejsze rzeczywistości przy pomocy słów (ta paralelność objawia się również w innych sztukach, np. w muzyce, kiedy to kompozytor próbuje uwyraźnić ową metafizyczność poprzez elementy dzieła muzycznego, jak agogikę, dynamikę czy artykulację). W epoce dojrzałego sentymentalizmu narodziło się przekonanie, że wyrażenie jedności świata (także tego ponadzmysłowego) możliwe jest dzięki syntezie dziedzin, która miałaby być odwzorowaniem misterium rzeczywistości. Przecież sztuka – usytuowana na antycznym fundamencie *mimesis* – stanowi obraz wyrażanego przedmiotu. Jeśli więc celem sztuki jest imitowanie świata, to obecnej nam rzeczywistości człowiek nie jest w stanie dogłębnie poznać. Zniekształcona struktura arcyzmu bardziej lub mniej abstrakcyjnego sprowadza realizm do jego pośrednich, nieprzezroczystych form. Sztuka zatem imituje rzeczywistość, jednocześnie ją przemieniając; pełni bytu nigdy nie objawia się w umyśle w formie, w jakiej naprawdę istnieje.

Warto by określić jednoznaczną wartość sztuki. Ktoś zapyta: skoro tworzywo artystyczne nieustannie się rozczłonkuje i ulega degradacji, a więc rozkłada się na wielorakich płaszczyznach percepcji, w jaki sposób można wyodrębnić jej jednolitość? Misterium artystyczne samo układa się w pryzmat, przez który prześwieca jedyna, rzeczywista prawda rozwarstwiająca się na granicy *sacrum* i *profanum* w postaci barw o niezliczonych odcieniach. Stąd bierze się cała niejednorodność przedmiotu sztuki. Jednak, mimo tych nieuchwytności, każda z dziedzin wyznacza sobie kolejne dążenia (objawiające się przede wszystkim w nurtach i motywach), które miałyby zespolać wszystkie nieokreśloności arcyzmu w jedną namacalną ideę. Zjawisko to może zaistnieć, jeśli:

*miara i ton równe są przedmiotowi,
Gdzie przedmiot się harmonią dostraja,
Tam jest i pieśń, i rym -- jak kto je powie --
Tam z siedmią się brzmienie i tam się z-traja,
I spadkuje się same ku końcowi...*

Wyrazy zapisane pogrubioną czcionką to elementy ludzkiego podejścia do tworzenia artystycznego, które składa się właśnie z **rymu** bądź **harmonii**, czyli z pewnej rzetelności, jakichś zasad kształtowania fundamentu dzieła sztuki. Natomiast podkreślone w przedostatnim wersie słowo-twory, wyrażające potęgowanie (które w najgorszym przypadku może przeobrazić się w beznamiętne powielanie), charakteryzują wielość i różnorodność sztuk, czyli coś ponad dwoistość kunsztu artystycznego. Jak w takim razie w pełni wyrzec istotę kompozycji za pomocą samych tylko narzędzi sztuki? Cyprian Kamil Norwid formułuje aforystyczne zagadnienie poprzedzone swoistym milczeniem, iż potrzeba odpowiedniego słowa dla opisywanego przedmiotu. Oto cały cel sztuki, na którym należałoby zakończyć wszelkie rozważania.

A jeśli – znów ktoś zapyta – sztuka nie ma określonego na świecie zadania, ponieważ sama wyraża się przez nieokreśloność, a to znaczy, że do końca sama nie istnieje? Gdyby jednak sztuka nie istniała, nie istniałyby również składające się na nią elementy, a przede wszystkim jej twórca – człowiek. Jednak to ludzie mają zarówno moc rodzenia i stwarzania, jak i wolę destrukcji i deformacji: gdyby sztuka miała umrzeć, najpierw musiałby zginąć człowiek – kreator wszelkiej abstrakcji i alchemik boskich przestrzeni. Ludzkość wcale nie ulega przeistoczeniu, gdyż od wieków zmienia jedynie swoje struktury i tok myślenia, jak słusznie zauważył to Stanisław Jerzy Lec: „Obserwuję tego pisarza bacznie, od Homera począwszy”. Co jednak istotne, w całej historycznej cykliczności epok i er, stuleci i kwartałów nie było momentu, kiedy sztuka nie stałaby się obiektem drwin, oszczerstw lub krytyki. Kajetan Koźmian – przywódca klasyków – nazwał *Sonetę krymskie* Mickiewicza paskudztwem, natomiast Goethe wszystko to, co romantyczne, określał jako chorobliwe (jeśli oczywiście przyjmijemy, że romantyzm jest urzeczywistnieniem więzionej przez lata *symfonii sztuk*, która dopiero na początku XIX wieku zaczęła żyć świadomością własnej prawdy).



Piotr Prusinowski

Między sztuką, miłością i manipulacją

O sztuce *Kształt rzeczy* Neila LaBute'a i jej zielonogórskiej inscenizacji w reżyserii Szymona Kuśmidra

Wśród mitów, do których Owidiusz odwoływał się w swoich *Metamorfozach*, znajduje się również ten o Pigmalionie – cypryjskim królu i znakomitym rzeźbiarzu w jednej osobie:

Cały dzień go zajmował przedmiot ulubiony;
Pod jego dłutem piękność cudowna wstawiała,
Której żadna kobieta jeszcze nie sprostала.
Zapala go miłością własne jego dzieło;
Mniema, że jakieś bóstwo czuciem je natchnęło
[...]
Rzeźba zwodzi rzeźbiarza. Patrzy na jej wdzięki,
Unosi się, zachwyca dziełem swojej ręki¹

Zrodzone z twórczej woli, rozpalonej samotnością, wyobraźnią i erotycznym pragnieniem, to pod każdym względem idealne dzieło sztuki staje się dla własnego twórcy obiektem namiętnego uczucia, które może osiągnąć spełnienie tylko w baśni lub micie. Dzięki litości samej Afrodyty posąg ożywa podczas pieszczoł, jakimi obdarza go zakochany do szaleństwa Pigmalion.

Dwa tysiąclecia później, w 2001 roku, na deskach londyńskiego Temporary Almeida Theatre miała miejsce prapremiera sztuki *Kształt rzeczy* (*The Shape of Things*) amerykańskiego autora Neila LaBute'a, który na podstawie swojego tekstu wyreżyserował zarówno spektakl, jak i film z 2003 roku. Utwór doczekał się kilku inscenizacji również w Polsce. Przedstawienie w Lubuskim Teatrze (prem. 27 kwietnia 2008) zrealizował krakowski aktor i reżyser, laureat Złotej Maski, Szymon Kuśmider².

W dramacie LaBute'a treść mitu o Pigmalionie i Galatei ulega całkowitemu odwróceniu. To nie rzeźba zostaje ożywiona, lecz żywy człowiek (w tym wypadku mężczyzna o imieniu Adam) staje się nią pod wpływem kobiety-artystki Evelyn. To ona rozkochoje go w sobie, sama jedynie udając miłość. Pigmalion dążył do nadania kształtu swojemu największemu marzeniu – marzeniu o ukochanej osobie. Dla Evelyn natomiast celem samym w sobie pozostaje właśnie sztuka, w tym przypadku służąca egoistycznie pojmowanej samorealizacji.

Motyw rzeźby spina utwór LaBute'a swoistą kłamrą. Dwoje studentów, Adam i Evelyn, poznają się w muzeum, gdzie on pracuje jako strażnik. Oczarowany mężczyzna przymyka oko na jej artystyczną „akcję”, polegającą na domalowaniu „wielkiego kutasa” na listku figowym, którym – podobno pod naciskiem zbulwersowanych mieszkańców niewielkiej miejscowości – przesłonięto genitalia marmurowego posągu,

¹ Owidiusz, *Metamorfozy*, tłum. B. Kiciński, Warszawa 1933; cyt. za: Z. Bauman, *Jak Galatea Narcyzem się stała*, <https://www.miesiecznik.znak.com.pl/jak-galatea-narcyzem-sie-stala/> [dostęp: 14.09.2023].

² W spektaklu i filmie LaBute'a zagraли: Paul Rudd (Adam), Rachel Weisz (Evelyn), Gretchen Mol (Jenny) i Frederick Weller (Phillip), natomiast w przedstawieniu Kuśmidra w tych samych rolach wystąpili kolejno: Robert Gulaczyk, Karolina Honchera, Marta Frąckowiak i Wojciech Brawer, a także Sandra Staniszevska jako kelnerka.



odbierając mu „właściwą sztuce subiektywność”³. Bełkotliwe w gruncie rzeczy frazesy, którymi operuje bohaterka, odzwierciedlają idee sztuki konceptualnej, która nie wymaga już od artysty żadnego talentu.

W momencie pierwszego, tylko pozornie przypadkowego, spotkania z Adamem Evelyn ma już w głowie scenariusz „projektu dyplomowego”: „To będzie taka duża jakby instalacja... takie »coś«”. Adam nie zdaje sobie sprawy, że już teraz staje się tym „rzeźbiarskim czymś” w jej rękach. Oczyszczony i wrażliwy, ale nieśmiały i zakompleksiony okularnik z lekką nadwagą, nieefektywnie ubrany, natógowo obgryzający paznokcie, jest dla Evelyn idealnym „materiałem wyjściowym” do „metodycznego kształtowania nowej formy” czy też „rzeźbienia” w dwóch „niezwykle łatwych do obróbki tworzywach: ludzkim ciele i ludzkiej woli”. W ciągu kolejnych miesięcy, na oczach zdziwionych przyjaciół, Adam przechodzi metamorfozę (którą w oryginalnej wersji LaBute’a znakomicie odgrywa Paul Rudd, a na zielonogórskiej scenie – Robert Gulaczyk). Swój wygląd zewnętrzny zmienia do tego stopnia, że daje się przekonać nawet do chirurgicznej korekty kształtu nosa. Transformacji wizualnej towarzyszą zmiany w zachowaniu i stylu bycia, prowadzące w końcu do zerwania relacji z dotychczasowymi przyjaciółmi. „Nowy” Adam, przystojny i bardziej pewny siebie, staje się ilustracją stawianej przez Evelyn tezy, że „wystarczy otworzyć jakikolwiek журнал, włączyć którąkolwiek stację telewizyjną, a świat wam powie... że mój przedmiot stał się ciekawszy, bardziej godny pożądania, normalniejszy. Słowem lepszy. Jest żywym przykładem naszego zainteresowania tym, co zewnętrzne, kształtem rzeczy”.

W dzisiejszym świecie prawdę i głębię uczuć coraz częściej przesłania fascynacja tym, co zewnętrzne, naskórkowe, oparte na ugruntowanym stereotypami naocznym wrażeniu. Ten stan rzeczy próbuje obnażyć Evelyn, choć sama się w niego wpisuje. W istocie nawet Adam, mimo swojej romantycznej natury, kieruje swoją uwagę przede wszystkim na „kształt rzeczy”. Pociąga go fizyczne piękno dziewczyny oraz jej pewność siebie, w interpretacji Rachel Weisz manifestowana w sposób pełen nonszalancji, a w wydaniu Karoliny Honchery – nawet podszytej agresją bezczelności. Trudno też nie zauważyć, że do niemal każdej zmiany Evelyn najskuteczniej zachęca Adama za pośrednictwem seksu. Również wrażliwa, prostoduszna Jenny – przyjaciółka bohatera, która kiedyś zakochała się w nim z wzajemnością, ale nieśmiałość chłopaka nie pozwoliła temu uczuciu rozkwitnąć – ulega zewnętrzznemu czarowi „nowego” Adama („Cholera, kiedyś ty zrobił się taki fajny?”). On sam, zaślepiony namiętnością, chcąc za wszelką cenę zadowolić ukochaną, kawałek po kawałku wyrzeka się samego siebie. I choć niekiedy odczuwa z tego powodu psycholo-

³ Wszystkie cytaty pochodzą ze scenariusza sztuki, opublikowanego m.in. na łamach „Dialogu” (N. LaBute, *Kształt rzeczy*, tłum. M. Semil, „Dialog” 2002, nr 3, s. 56-96).

giczny dyskomfort, nie zawsze uświadomiony, to konsekwentnie ulega destrukcyjnej mocy tego uczucia, niczym narkoman we władzy nałogu.

W dzisiejszych czasach „obowiązujące” kanony urody i wzorce zachowań są w dużej mierze kształtowane przez media. Na ten aspekt Kuśmider zwraca większą uwagę niż sam LaBute, w każdej niemal scenie akcentując obecność telewizyjnego monitora, który wyświetla multimedialne wizualizacje Marzeny Więcek, te zaś w sposób podprogowy oddziałują na zmysły widza, odzwierciedlając, a zarazem uzupełniając to, co dzieje się na scenie. Nieustanna obecność migotliwego ekranu tworzy wrażenie, iż cała sceniczna przestrzeń, w jakiej poruszają się bohaterowie, stanowi artystyczną instalację. Granice między sztuką a życiem zacierają się tutaj w sposób bardziej widoczny niż w oryginalnej wizji LaBute’a, ale wymowa spektaklu się nie zmienia. Kierując ostrze gorzkiej satyry przeciwko sztuczności i duchowej pustce współczesnej kultury, twórcy pozostawiają widzów z nie mniej gorzką refleksją na temat hierarchii wartości w relacjach międzyludzkich.

Początkowy motyw „ulepszania” posągu w muzeum to ironiczna zapowiedź losu Adama, który kończy jako „żywa rzeźba”, wystawiona na widok publiczny wraz z bogatą „dokumentacją” w postaci listów, fotografii, rekwizytów oraz kaset wideo z zarejestrowanymi szczegółami intymnego pożycia.

W *Kształcie rzeczy* LaBute w przewrotny sposób nawiązuje nie tylko do motywu Pigmaliona i Galatei, ale też do wątków z biblijnej Księgi Rodzaju. W jego ujęciu Ewa (czyli Evelyn) nie jest bynajmniej „żebrem Adama”, lecz stwórczynią swojego partnera (nieprzypadkowo zresztą w początkowej scenie obiektem jej artystycznych działań są genitalia posągu będącego wizerunkiem Boga). W inscenizacji zielonogórskiej Szymon Kuśmider nadał istotne znaczenie elementowi, który nie pojawiał się w oryginale – malarskiemu tryptykowi Hieronymusa Boscha *Wóz siana*, a zwłaszcza jego lewemu skrzydłu, ukazującemu stworzenie pary pierwszych ludzi, kuszenie Ewy przez Szatana oraz wygnanie z Raju. W pobliżu tego właśnie obrazu staje Evelyn po nocy spędzonej z niedoświadczonym seksualnie Adamem. Niebieskie światło, w jakim pozostają skapani nadzy bohaterowie, wskazuje na aspekt zimnej kalkulacji, z jaką Evelyn posługuje się własnym seksapilem. Warto przy tym zwrócić uwagę, że środkowa odłona dzieła Boscha w alegoryczny sposób ukazuje pogrążoną w grzechu ludzkość, skupioną wokół tytułowego wozu, zmierzającego – jak wynika z prawego skrzydła tryptyku – w kierunku piekła. W finale Adam przekonuje się, jak krótka jest droga wiodąca od rajskich rozkoszy miłości do piekielnych otchłani cierpienia, spowodowanego nagłym i brutalnym rozwianiem romantycznych złudzeń. Wydaje się jednak, że Evelyn również przegrywa. Autor być może nie traci do końca wiary w ludzi, sugerując, że bezdusznej i pasożytniczej pseudosztuki, jaką proponuje bohaterka, nikt nie chce oglądać.

Nie wiemy, jak potoczą się dalsze losy zdruzgotanego Adama, choć możemy mieć nadzieję, że posłucha rady zawartej w wierszu Anny Achmatowej, przytoczonym w programie zielonogórskiej inscenizacji *Kształtu rzeczy*:

Ja ich uczę jak się lękać
Jak się nie lękać i robić swoje!
I gdy kobieta o cudnej twarzy
Jedynie drogiej we wszechświecie
Powie: ja pana nie kocham.
Ja ich uczę jak się uśmiechnąć
I odejść! I nie wrócić więcej⁴.



⁴ A. Achmatowa, ***, tłum. T. Budzisz-Krzyżanowska, [w:] *Kształt rzeczy*, „Zeszyty Teatralne” 2008, nr 279, s. 9.

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Anna Polak, Paweł Karp

Fenomen żarskiej fary. O tym, jak nauka otworzyła drzwi turystom Żarski zakątek tajemnic, cz. III

Niewątpliwie żarska fara i jej otoczenie są niezwykle ciekawe. O ich historii, inskrypcjach, tunelach i kryptach traktują poprzednie artykuły z cyklu *Żarski zakątek tajemnic*. Mimo że wiele ważnych kwestii zostało już podjętych, na światło dzienne wychodzą nowe informacje. W toku prowadzonych przez autorów artykułu badań, ale także prac podejmowanych przez innych naukowców (np. antropologa), można przedstawić istotne, mało znane lub w ogóle nieopisywane dotąd zagadnienia. Największy w powiecie kościół parafialny jest obiektem nieustających studiów. Od prawie dwóch lat podejmowane są tam liczne inicjatywy. Obiekt został opisany w publikacji dotyczącej strat wojennych *Kościół i ich wyposażenie na terenie miasta i gminy Żary. Przeszłość – Teraźniejszość*, częściowo zeskanowany w technologii 3D (przez Piotra Domagalskiego), przeprowadzono działania porządkowe, ale także prace antropologiczne. Niniejszy tekst ukazuje proces, który poprzez szereg już wspomnianych oraz zupełnie nowych działań wpłynął na udostępnienie obiektów parafialnych turystom.

Kilka słów o historii

Obecna żarska fara nie jest pierwszą budowlą, jaka znajdowała się w tym miejscu. Pierwotną był mniejszy od obecnego kościół romański. Kiedy przestał on wystarczać rozrastającemu się miastu, postanowiono wznieść nowy, większy, a przede wszystkim wpisujący się w kanon architektoniczny ówczesnych czasów. I tak oto, po prawie całkowitym wyburzeniu starszego założenia, w 1309 roku poświęcono nowe prezbiterium, a od 1401 roku można mówić o nowej nawie głównej, którą ukończono po zamknięciu sklepień do 1430 roku. Informacja o tym fakcie, w postaci daty z dwoma kartuszami herbowymi fundatorów – rodów Packów i Bibersteinów, umieszczona została na portalu w kruchcie zachodniej. Pozostałe części wzniesiono później, np. w 1445 roku powstała kaplica świętej Barbary (obecnie zakryta), w 1511 kaplica Chrztu, rozebrana po II wojnie światowej, a w początku XVI wieku – wspomniana kruchta zachodnia. Przepiękna kaplica rodziny

von Promnitz pochodzi z XVII wieku. Pomimo wielu zmian, które wprowadzono na przestrzeni stuleci, pozostałości romańskiego kościoła są nadal widoczne w dolnej partii wieży oraz w przybudówce tuż przy prezbiterium.



Relikty najpewniej dawnej zakrystii od strony północnej prezbiterium

Ciężkie początki i zwiedzanie ekstremalne

Żarski kościół farny stał się obiektem licznych badań autorów, a ich wyniki wzbudzały wiele zainteresowania. Pokazywanie miejsc dotąd niedostępnych przyciągało pasjonatów historii, ale także mieszkańców i turystów. Mimo że wcześniej świątynia była sporadycznie udostępniana, to coraz bardziej realna wydawała się potrzeba przystosowania jej do potrzeb turystycznych. Na początku 2023 roku zapadły w Parafii NSPJ istotne postanowienia. Z inicjatywy dr Anny Polak, a za zgodą księdza kanonika Leszka Okpisza, został uruchomiony w pełni zorganizowany ruch turystyczny. Wiązało się to z zatrudnieniem osoby odpowiedzialnej za udostępnienie i badania. Jest nią autorka artykułu, która wspólnie z drugim autorem odkrywa przed turystami oblicza fary i innych obiektów należących do parafii.

Kościół można zwiedzać indywidualnie według regularnie podawanych w harmonogramie terminów. Została także przygotowana specjalna oferta dla grup (w różnych językach), szkół oraz przedszkoli i bardziej wymagających turystów. Mowa o trasach ekstremalnych, podczas których (w kombinezonach chroniących odzież) można wspiąć się po 178 stopniach na wieżę, by stanąć przy dzwonie czy też po-

dziwiać konstrukcję sklepienia i wieży dachowej nad nawą główną i prezbiterium. Zejście odbywa się spiralnymi schodkami wąską klatką schodową. Organizowane są ponadto wydarzenia specjalne, czyli spacery nocne, umożliwiające zobaczenie podziemnej serpentyny z kanałów grzewczych z lat 70. XX wieku oraz wzbogacone wystawami i koncertami organowymi. Z uwagi na ogrom prac, jakim powinny być poddane liczne miejsca w farze, np. kaplica Promnitzów, wprowadzono cegielki-wejściówki, z których dochód będzie przeznaczony na remont budowli.



Nocne zwiedzanie kościoła

Fot. Marcin Maciejewski

Długi proces i najnowsze odkrycia

W 2022 roku, po dokonaniu wszystkich formalności do kościoła przewiezione zostały płyty nagrobne, które znajdowały się pod opieką pobliskiego muzeum. W ten sposób rozpoczął się proces tworzenia lapidarium. Obiekty z XVII i XVIII wieku, które umiejscowiono w świątyni, stanowią cenne dziedzictwo kulturowe. Pochodzą one z nieistniejącego już cmentarza miejskiego, który został założony najpewniej w XVI wieku. Na jego obszarze usytuowany był kościół cmen-

tarny oraz krążanki o długości 100, 25 oraz 20 metrów, w których umieszczono kilkadziesiąt najcenniejszych, dokumentujących historię Żar płyt nagrobnych. Sam kościół zbudowano na planie ośmiokąta w latach 1700-1728. Posiadał dach ośmospadowy z wieżyczką, z hełmem i latarnią. Niestety, budowla bardzo poważnie ucierpiała w czasie bombardowania 11 kwietnia 1944 roku, co spowodowało jej rozebranie w okresie powojennym. Pomimo starań i sprzeciwu władz konserwatorskich smutny los spotkał również samą nekropolię. Została ona zlikwidowana w latach 60. XX wieku, a znajdujące się tam płyty trafiły w różne miejsca jako zwykły materiał budowlany. Bardzo niewielką ich część odzyskano (dotychczas tylko dwie całe) i te właśnie obiekty znajdują się w powstającym kościelnym lapidarium.



Płyta nagrobna Ursuli Schwarz (zm. 1686)

W sierpniu 2023 roku podczas remontu ulicy Bohaterów Getta w Żarach została odnaleziona górna część płyty nagrobnej Siegismunda Heintze, który

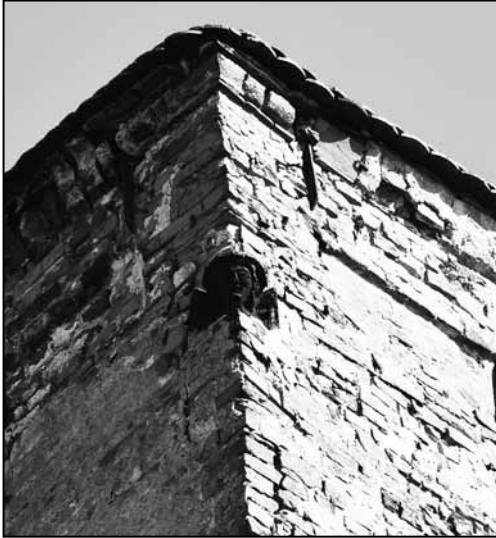
urodził się 28 lutego 1642 roku. Był zarządcą majątku kościelnego (prowizorem) i mistrzem tutejszego cechu sukienników. Na płycie podano również informacje o jego rodzicach: ojcu Johannie Heintze – burmistrzu Żar oraz matce – Annie Elisabeth z domu Büßer. Trzy ostatnie wersy inskrypcji na zachowanym fragmencie nagrobka są częściowo czytelne i dotyczą ślubu Siegismunda z panną z rodziny Kuhlaek (Kuhläck). Wiemy, że odbył się on w kwietniu. Tyle mówi nam sam kamień, natomiast pozostałych wiadomości o zmarłym, zawartych na niestety zaginionej części płyty, należy już poszukiwać w innych źródłach.



Fragment płyty nagrobnej Siegismundta Heintze (ur. 1642)

Jak już wspomniano, badania w kościele i w obiektach należących do Parafii nieprzerwanie trwają. Jednym z ich ostatnich efektów jest naukowe opracowanie wyrytych w dzwonnicy przykościelnej inskrypcji, w tym zawierających daty sprzed kilku stuleci. Samą dzwonicę należy zaliczyć do wyjątkowo interesujących obiektów. Jej dzieje sięgają końca XIV lub początku XV wieku. Pierwotnie była to budowla obronna, wchodziła bowiem w skład zarskiego systemu fortyfikacji. Już w XVI wieku zmieniła swoją funkcję i po podwyższeniu jej do 29 metrów stała się dzwonicą. Na jej szczycie znajduje się taras widokowy otoczony balustradą, z którego rozpościera się niesamowity widok na miasto, jedna z głównych atrakcji programu zwiedzania. W obiekcie, w wyniku wielu przekształceń, zastosowano m.in. wsporniki w formie masek, a na nich umieszczono sterczy-

ny. Jedna z tych masek zachowała się i nadal zdołała przetrwać. Pozostawione na przestrzeni wieków przez dawnych budowniczych, a zainventaryzowane we wrześniu 2023 roku inskrypcje mogą stanowić materiał odrębnej publikacji, poniżej ukazane zostały jedynie niektóre z nich.



Maska na jednym z narożników dzwonnicy



Znak mistrza murarskiego B. E.



Inskrypcje mistrzów budowlanych z 1646 roku



Kolejna pamiątka po uczestnikach prac w 1646 roku – S.P. i H.G.



Znak i podpis mistrza murarskiego G. Kaspera z 1899 roku

Kościół farny w Żarach, ale także jego otoczenie nadal kryją wiele tajemnic. W sierpniu 2023 roku, dzięki środkom prywatnego darczyńcy, zostały przeprowadzone przez antropolog Joannę Wysocką badania obejmujące dwie krypty. Złożone tam bowiem szczątki w okresie powojennym wyrzucono z sarkofagów, które najpewniej skradziono lub zniszczono. Trudno precyzyjnie określić, kiedy ten proceder miał miejsce. Możliwe, że trwał on od zakończenia wojny aż do lat 70. XX wieku. W wyniku prac okazało się, iż w dwóch miejscach pochówku znajdują się w większości niekompletne szczątki 32 osób (kobiet, mężczyzn i dzieci). Należą one z pewnością do dawnych właścicieli Żar – przedstawicieli rodu Promnitzów, zmarłych w XVI-XVIII wieku. Z uwagi na złożoność tego problemu i jego niezwykłą rangę, temat ten zostanie podjęty w osobnym artykule.

Bibliografia

Corpus inscriptionum Poloniae, t. 10: *Inskrypcje województwa lubuskiego*, pod red. J. Zdenki, Z. 12: *Powiat żarski (do 1815 roku)*, zebrali i opracowali A. Górski, P. Karp, Toruń 2019.

Kościół Parafialny P.W. N.M.P (obecnie p.w. Dobrego Pasterza) w Żarach woj. zielonogórskie, Szczecin 1966, Dokumentacja przygotowana przez Różę Kąsinowską w zbiorach Lubuskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Polak A., Karp P., *Kościół i ich wyposażenie na terenie miasta oraz gminy Żary. Przeszość – Teraźniejszość*, Żary 2022.

Polak A., *Żarys dziejów wybranych zabytków Żar*, [w:] *Dzieje Żar do 1815 roku. Przeszość zapisana w kamieniu i na papierze*, red. L.C. Belzyt, Żary 2022.

Wysocka J., *Analiza antropologiczna szczątków z krypty spod kościoła farnego (Kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa) w Żarach*, sierpień 2023 – dokumentacja nieopublikowana.

Prezentacje

Andrzej Mikołaj Troc

Artysta surrealista – samouk

Urodził się 15 października 1953 roku w Zielonej Górze. Posiada wykształcenie ogólnokształcące. Zawodowo pracował jako chemigraf. Obecnie jest na emeryturze.

Po pędzel sięgnął w 1994 roku, szukając rozwiązania swoich problemów wynikających ze stanu zdrowia. Długo walczył z depresją. Początkowo rysowanie traktował jako doskonałą formę autoterapii. Pierwsze jego rysunki były czarno-białe, wykonane tuszem, na papierze A4.

Z czasem, kiedy kształcił swój styl i umiejętności, dokonała się w nim artystyczna metamorfoza. Pojawiły się nowe formy i kolory. Szybko zrozumiał, że styl, w którym czuje się doskonale i który daje możliwości eksploatacji własnej wyobraźni, to surrealizm. Wpływ najważniejszych twórców tego stylu daje się zauważyć do dziś.

Sięgając po pędzel, nie zdawał sobie sprawy, że malowanie stanie się ważną częścią jego codziennego życia. Naturalnie wyznaczył sobie artystyczną drogę, a jednocześnie bardzo odpowiedzialną rolę – malarza surrealisty, który nie tworzy tylko dla siebie. I faktycznie z czasem okazało się, że znajduje odbiorców, a nawet fanów.



Podczas swojej artystycznej drogi bardzo dużo energii poświęcał na samodoskonalenie, co zresztą czyni do chwili obecnej. Jego prace są nasycone indywidualizmem artystycznym. Dają się rozpoznać po charakterystycznej dla niego kresce czy wykorzystywanych na płótnie kompilacjach barw.

Zgodnie z ideą surrealizmu w pracach artysty rzeczywistość miesza się z sennymi wizjami. W obrazach często wykorzystuje on motywy ludzkich twarzy, aniołów, krasnali i gnomów oraz erotyki. Dzieła wskazują na ogromny potencjał wyobraźni artystycznej i duchowej wolności autora. Przy tym podczas pracy nad nimi artysta sam sobie narzuca pewien twórczy rygor, jest bardzo dokładny i systematyczny.

Inspiracją dla Troca jest świat, który go otacza, a który artysta bacznie obserwuje. Czasem jest to wyraz twarzy osoby, którą mija, dłoń, gest, czasem głębsza refleksja nad przemijającym życiem i jego końcem, śmiercią.

Artysta swoje prace osadza na dwóch konkretnych płaszczyznach. Malarskie wizje materializuje na papierze Pittura Fabriano oraz na płótnie. Wykorzystuje do tego tusz i farby akrylowe. Rozmiar prac, jaki szczególnie sobie upodobał, to 100 × 70.

Andrzej Troc po 20 latach pracy twórczej jest już z pewnością artystą zauważalnym i rozpoznawalnym. Autor do tej pory prezentował swoje prace w licznych galeriach w Polsce i za granicą, na wernisażach zbiorowych i indywidualnych. Obecnie ma dwie stałe galerie: w Łągowie Lubuskim w Cafe Stolarnia i w zielonogórskim Cafe Noir.

Artysta bardzo chętnie udostępnia swoje dzieła na aukcje charytatywne, głównie te wspierające chore dzieci.

W 2019 roku został przyjęty w szeregi Związku Polskich Twórców Sztuki w Grodzisku Wlkp. W 2023 roku pracował nad jubileuszową wystawą z okazji 70-lecia urodzin i 20-lecia lat pracy artystycznej. Wernisaż wystawy odbył się w październiku w galerii Stowarzyszenia WARTO JEST POMAGAĆ w Zielonej Górze.

Dariusz Bareya

Andrzej Troc – Klejnot, drzewo, ptak

Andrzej Troc zadaje sobie pytanie: „Czym jest człowiek?” Fundamentalne pytanie: „Kim jestem?” odradza się w tym malarstwie jak w żadnym innym.

Trzema przewijającymi się tematami w jego twórczości są: klejnoty (ludzie), drzewa, ptaki/anioły. Czasami ta trójca splata się w jedno, jakby w nieskończonej wędrówce początku i końca, bez wyraźnego ujawnienia, co jest końcem, a co początkiem lub załączkiem.

Klejnot, jakim jest człowiek, czasami przypomina zakopane w błocie złoto, które należy oczyścić, aby zobaczyć jego blask. Andrzej swoim pędzlem zdziera te warstwy, próbuje na wszelkie sposoby dostrzec światło, budulec wszystkiego. Drzewa rosną na glebie, od niej zależy, jakie wyrosną, ich korzenie umiejscowione zawsze pod powierzchnią są istotniejsze niż to, co wyrasta ponad nią. Z reguły jesteśmy skłonni sądzić, że jest na odwrót. Z trudem przyznajemy przewagę piękna duchowego nad fizycznym.

Ptak to nasza przyszłość, nasza twórcza moc uczynienia nas aniołami, którymi w rzeczywistości jesteśmy, jeśli by się temu bliżej przyjrzeć. Małe skrzydełka i wielkie ciała istot, które maluje Andrzej Troc, to doskonała metafora naszej obecnej ludzkiej kondycji.

Jeśli celem sztuki jest wyrażanie czegoś, czym jeszcze nie jesteś, ale możesz się stać, to być może słowa Ayn Rand: sztuka jest „odtworzeniem rzeczywistości na podstawie metafizycznego wartościowania artysty” odzwierciedlają wrażliwość i jądro, czym w ogóle sztuka mogłaby być, i tego również, z jakiego źródła sączy się duchowe zabarwienie tego fenomenalnego malarstwa Andrzeja Troca.

Kto zna autora, wie, że nie maluje on farbami, ale własną biografią, trzewiami. Odstania przed nami z rozbrajającą szczerością to, kim był, jest i chciałby się stać. Klejnotem, pięknym drzewem, na którym z chęcią przysiadają anioły.

Jaką by ta naiwna wizja nie była, podświadomie czujemy, że taką właśnie musi się stać. To zadanie twórcy i twórczości lub jeśli przyszłoby nam ochota powiedzieć: Stwórcy, którym każdy z nas w swej istocie jest.

Etykieta surrealisty nie bardzo już mi pasuje do tej twórczości, lecz z niej się wywodzi. Surrealiści chcieli zmieniać świat za pomocą twórczości, nie tylko epatować pięknymi i pustymi obrazkami.

Na pewno stamtąd płynie woda na młyn twórczości Andrzeja Troca. Nie jest jednak jej korytem, a samą rzeką, i na tym podobieństwie się kończą.

Każdy z nas tworzy rzeczywistość z obrazów, które nosi w sobie. Nie ma innej rzeczywistości oprócz tej w nas, która materializuje się z tego, co wewnątrz, na zewnątrz, co doprawdy jest jednym i tak prostym, że niemal niewidocznym, zasłoniętym.

Przewijający się przez jego obrazy temat więźniów, Żydów to metaforyczna aluzja do człowieka uwięzionego w stalagu swojego mózgu ze wszystkimi towarzyszącymi mu iluzjami i roszczeniami, do kształtowania człowieka na obraz i swoje podobieństwo.

Nosząc w sobie potwory, czynimy innych potworami, a błąkające się w nas anioły zawsze będą chciały transponować w rzeczywistość.

Co wewnątrz, to na zewnątrz; jako na górze, tako na dole. Ta stara prawda, tak opacznie rozumiana, udowodniła historię wieku XX i jej dwoma największymi wojnami, że kto walczy z sobą, wewnątrz, zawsze będzie walczył z innymi, na zewnątrz. Kto siebie samego ma za wroga, za wroga będzie uznawał innych.

Paranoja naszych czasów bierze się z prostego faktu niezrozumienia, kim w istocie jesteśmy i utożsamiania się z tym, czym nie jesteśmy. Nie rozumiejąc, że my sami tworzymy rzeczywistość, jej mizerny owoc, skutek naszych myśli, jesteśmy skłonni przypisywać komuś innemu.

Nie sposób nie zgodzić się ze słowami Wilhelma von Humboldta, że o istocie człowieczeństwa świadczy ludzka umiejętność do przekształcania świata, „siłą napędową jest zdolność twórcza”, lub Ayn Rand: „Każdy człowiek może się wznieść tak wysoko, jak chce i jak jest zdolny, ale tylko zakres jego myślenia określa wysokość, na jaką się wzniesie”.

To prawda, że więcej w twórczości Andrzeja Troca myśli niż koloru, stwarzania niż odtwarzania, na nowo definiowanej radości ukrytej pod opacznie rozumianym grymasem.

Dziękuję za to głębokie spotkanie z Człowiekiem, którym każdy może się stać.









Iwona Peryt-Gierasimczuk

O Andrzeju Trocu...

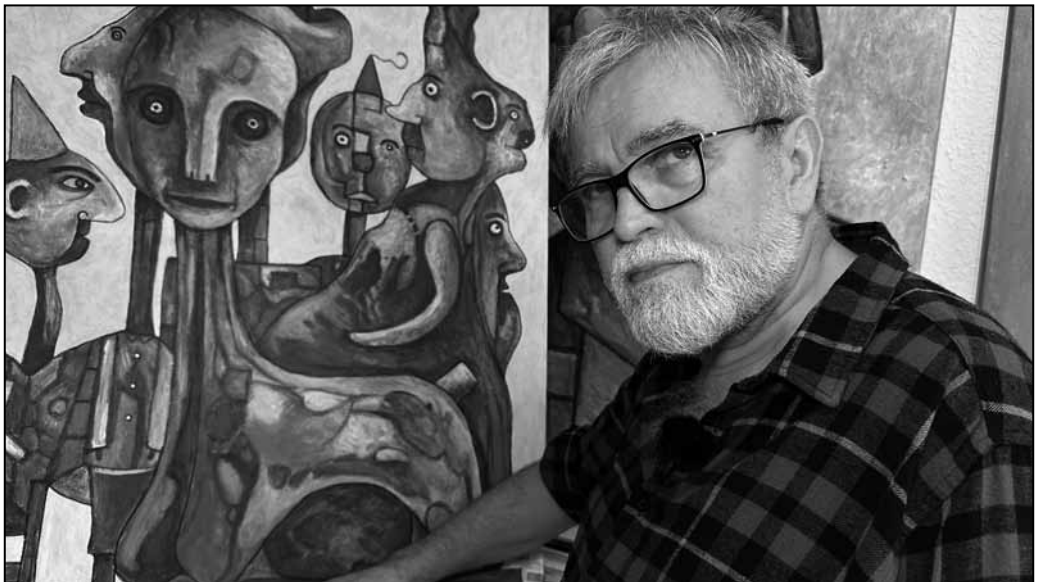
Poznałam Andrzeja kilka lat temu. Był stałym bywalcem Galerii Pro Arte w Zielonej Górze. Cichy obserwator o uśmiechu fakira. Trochę rozmów, wspólny wyjazd z wystawą do Francji. Wiem teraz o nim więcej... i nie jest to jednorodna wiedza. Na co dzień spokojny, uśmiechnięty, tolerancyjny i życzliwy, nie pasuje do tytułu, który stworzył na potrzeby nazwania swojej twórczości – wyalienowanej, niedostosowanej do powszechnie obowiązujących norm. Dziwna, bardzo intrygująca dysocjacja, bo bez negatywnych odniesień.

Rysuje farbami, bo tak pełniej określa/zamyka przestrzeń, która pozostaje w polu jego zainteresowań.

Przestrzeń to w obrazach Andrzeja świat doświadczany przez nas wszystkich każdego dnia. A w nim jak w tyglu: dobro i zło, miłość i nienawiść, prawda i kłamstwo, wiara z niedowiarstwem się zmagają. Andrzej niczym rybak łowi szczególne smaki tej skomplikowanej różnorodności.

Maria Mamczur kiedyś uszczegółowiła ten niezwykły konglomerat, jakim jest twórczość Andrzeja, wyróżniając brak oczywistej osi czasu. A ona jest – jak sądzę – w ciągłości historii człowieka. Ludzie w masce i bez osłony, piękno duszy wyłaniające się z brzydoty kształtów, ból utajony i wykrzyczany, doświadczenie-lekcja, która znów niczego nas nie nauczyła. I drobi dukt pędzla po płótnach, aby powiedzieć jak najwięcej.

I barwy dobiera stosownie do stanu emocji. Brzydota formy walczy z bogactwem koloru. Wzmacnia ich symboliką i energią ten szczególny rachunek sumienia. A celem jest oczyszczenie.



RECENZJE I OMÓWIENIA

Detektywka i tajemnice Kołobrzegu

Marta Ruszczyńska, *Diabeł i panna*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2023, 543 s.

Któż nie zna Kołobrzegu, słynnej nadmorskiej miejscowości? A któż go zna? – należałoby zapytać po lekturze debiutanckiego kryminału Marty Ruszczyńskiej. Kto zgłębił przeszłość, która osadziła się w przykrytych turystycznym werniksem warstwach przedwojennego Kolberga? Kto dotarł do jego mrocznych historii, biorących początek jeszcze w średniowieczu? Niewątpliwie dla czytelnika powieści *Diabeł i panna* nadbałtyckie miasto nigdy nie będzie już tylko wakacyjnym kurortem. Można również przypuszczać, że każdy, kto po przeczytaniu książki odwiedzi to miejsce, skieruje swe kroki do kołobrzesckiej katedry, by obejrzeć – a jeśli już widział, to aby zobaczyć raz jeszcze – znajdujący się tam obraz *Cnotliwa niewiasta*, ten wizerunek stanowi bowiem klucz do kryminalnej opowieści.

Malowidło tempną na desce, wykonane w 1494 roku przez nieznanego artystę, przedstawia młodą zgrabną kobietę w różowej sukni, której towarzyszą zagadkowe alegoryczne atrybuty: klucze umieszczone przy uszach, kłódka na ustach, broszka mająca kształt gołębia, wąż oplatający talię. W prawej ręce trzyma ona krzyż i wieniec, w lewej wrzeczono i dzbanek, a przy jej nodze znajduje się sokół. Najbardziej kontrowersyjnym elementem tego konterfektu

są jednak stopy dziewczyny, mające kształt końskich kopyt. Bohaterka powieści, która jest równocześnie narratorką i porte-parole autorki, porównuje je do koturnów, jakie noszą dziś młode dziewczyny, zauważa jednak, że w średniowieczu takich butów nie noszono.

Fundatorem obrazu był Ivan von Coztenbach, rycerz zakonu krzyżackiego i można założyć, że widniejący na nim wizerunek niewiasty, na współczesnym odbiorcy „robiący nieco dziwne, a nawet przerażające wrażenie” (s. 365), odpowiadał jego mizoginicznym poglądom. Miał przestrzegać przed grzechem ciekawości i plotkarstwem. Dlatego końskie kopyta mogły oznaczać zachętę do deptania zła i grzechu, mogły też – z drugiej strony – symbolizować szatana, którym, jak w tamtych czasach uważano, była poszyta niewiasta. Nasuwały bowiem skojarzenia z diabłem, którego przedstawiano w ludzkiej postaci, ale z ukrytymi zwierzęcymi atrybutami, takimi jak rogi, kurza stopa czy właśnie kopyto. „W procesach o czary kobiety, którym stawiano podobne zarzuty, często oskarżano i piętnowano za rzekome kontakty z diabłem, a dowodem na to miały być jakieś cechy zwierzęce obwiny, jak zdeformowane stopy, piętna oraz inne defekty urody” (s. 118) – czytamy w powieści.

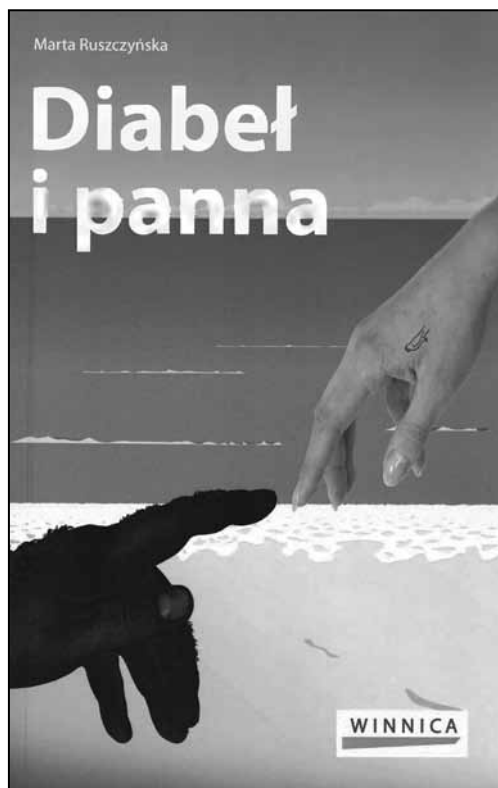
Obraz, znajdujący się w kołobrzesckiej katedrze, próbowała odtworzyć w swoim szkicowniku Sabine Dickmann – dziewczynka, która w tajemniczych okolicznościach zaginęła w Kołobrzegu w maju 1937 roku. O tym wydarzeniu i o historii trwającego osiem lat śledztwa, prowadzonego przez matkę dziewczynki, dowiadujemy się z materiałów archiwalnych, które zamówiła u kołobrzesckiego antykwariusza zaginiona przyjaciółka narratorki, Elżbieta. Dlaczego Sabine zainteresował średniowieczny obraz? Czy zawierał ukrytą symbolikę, którą wykorzystywali w swojej działalności członkowie nazistowskiej grupy Neotemplum, do której prawdopodobnie należał ojciec dziewczynki? A przede wszystkim: co łączy tamto wydarzenie z przeszłości ze zniknięciem przyjaciółki? Ostatni raz widziano Elżbietę w dniu jej przyjazdu do Kołobrzegu, a główna bohaterka, która cieszyła się na wspólny pobyt w nadmorskim kurorcie, nawet nie zdążyła się z nią spotkać. Dlatego zgłasza sprawę na policję i równocześnie zaczyna prowadzić własne śledztwo, któremu towarzyszy seria nieoczekiwanych przygód.

Tytuł *Diabeł i panna* można interpretować na wiele sposobów. Pierwsze skojarzenie odsyła do wspomnianego obrazu z kołobrzesckiej katedry. Zawarty tam wizerunek, parokrotnie przywoływany, jest *leitmotivem* powieści i zarazem zapowiada jej zaskakujące zakończenie. Z obrazem łączy się też rozwijany tu wątek feministyczny. Patriarchalna wymowa malowidła stanowi punkt wyjścia do refleksji na temat losu kobiet, które w czasach wyżej wspomnianego Ivana von Cozzenbacha oskarżano o czary i palono na stosie. Historia męskiej obawy przed kobietą powtarza się dzisiaj, przekonuje autorka, dlatego obraz z XV wieku „nagle i dość przewrotnie odświeża swoją kulturową aktualność w naszych czasach” (s. 541). O tej aktualności zaświadcza między innymi relacja między bohaterką a prowadzącym śledztwo policjantem, Adrianem Bukackim, który jako stróż porządku reprezentuje porządek patriarchalny i z lekceważeniem odnosi się do pomysłów Joanny.

Imię, które Marta Ruszczyńska nadaje głównej postaci, pojawia się, wolno przypuszczać, nieprzypadkowo. Jest aluzją do bohaterki powieści Joanny

Chmielewskiej – powieściopisarki, która stworzyła w polskiej literaturze kryminalnej wyrazistą postać samodzielnej, niezależnej kobiety detektywy. W *Pośłowniu* autorka powie o Chmielewskiej, że w okresie królowania powieści milicyjnej na nowo zdefiniowała powieść kryminalną i „dzięki ironii tchnęła w nią nowego ducha”. Odświeżyła też język polskiego kryminału, zabarwiając go solidną dawką humoru, o czym przypomina bohaterka *Diabła i panny*, klnąca ulubionym cytatem z Chmielewskiej: „O kurcze pieczone w odwłok uparcie kopane”.

A innym prototypem „detektywa w spódnicy”, parokrotnie przywoływanym w powieści, jest postać Jane Marple, będąca wzorem także dla Chmielewskiej. Bohaterka kryminałów Agathy Christie, inteligentna i wścibska, pomimo wieku sprawna i odważna, rozwiązała mnóstwo zagadek kryminalnych, z którymi nie potrafili sobie poradzić zawodowi detektywi. I również w jej ślady idzie główna bo-



haterka, która na podstawie podsłuchanej rozmowy, przypadkowego spotkania, a przede wszystkim intuicji i logicznego kojarzenia faktów wyciąga bardzo interesujące wnioski – przez aspiranta Bukackiego traktowane jako „wymysły wariatki sfrustrowanej po stracie przyjaciółki, która ubzdurzyła sobie, że jest jakąś panną Marple”. Bez wątplenia detektywkę, która zgłębia „diabelską” zagadkę, sporo łączy z „panną detektyw” stworzoną przez Christie – i również w tym kontekście można odczytywać tytuł.

Kreacja Joanny Barskiej nawiązuje do różnych, nie tylko kobiecych, wzorców, a jednym z ważniejszych odniesień jest tu postać inspektora Maigret, którym kierowały niezawodna intuicja i przekonanie, podzielane również przez bohaterkę, żeby nie rezygnować desperacko ze śledztwa, jeśli coś nie idzie tak, jak powinno i żeby cierpliwie, i spokojnie czekać. Powieściowa Joanna, bohaterka i narratorka w jednej osobie, to jednak w pierwszym rzędzie *alter ego* autorki: literaturoznawczynie specjalizującej się w literaturze XIX wieku i prowadzącej badania nad powieścią kryminalną. Marta Ruszczyńska nie zaciera tropów autobiograficznych, przeciwnie: z powieści dowiadujemy się na przykład, że bohaterka musi na jakiś czas zawiesić detektywistyczną działalność i „uregulować dydaktyczne zaległości, przepisać studentów oraz zamknąć egzaminami rok akademicki” (s. 254) i że przerwy w śledztwie wypełnia czytaniem „kilku kryminałów, w tym powieści wciąż trzymającego czytelnika w napięciu, i wcale niestarzejącego się Georges’a Simenona” (s. 233). Wiedza literaturoznawcza i towarzysząca jej świadomość metagatunkowa tworzą ramę sytuacyjną, która niejako bierze w nawias to, co się wydarza w planie fabularnym. Joanna patrzy zatem na siebie jak na bohaterkę thrillera, która – przybywając do hotelu o wdzięcznej nazwie Arkadia – znalazła się w miejscu, przypominającym „Czerwoną oberżę” z powieści Balzaka; wydarzenia, w których uczestniczy, nasuwają jej skojarzenia z bohaterami i sytuacjami znanymi z literatury i filmu. Znajdziemy tu np. odniesienia do *Psychozy* Hitchcocka, filmu *Frantic* Romana Polańskiego, powieści dla młodzięży, jaką jest *Pan Samochodzik i templariusze*, powieści milicyjnej *Plan wilka* Tadeusza Starosteckiego czy au-

torów, bez których trudno byłoby dziś myśleć o powieści kryminalnej: Stiega Larssona, Umberto Eco, Dana Browna, innych.

Dlatego główna bohaterka zjawia się w podwójnej roli: detektywki, prowadzącej śledztwo i znawczynie kryminału, prowadzącej opowieść na temat jego odmian i struktury, kierunków rozwojowych gatunku, wypierania powieści kryminalnej przez reportaży, roli kulinariów w literaturze tego typu itp. I trzeba przyznać, że w obu tych wcieleniach jest równie atrakcyjna, a splatające się wątki – kryminalny i nadbudowany nad nim metakryminalny – na równo wciągają czytelnika. Lekturę powieści można z powodzeniem polecić nie tylko miłośnikom detektywistycznych zagadek, ale też tym, których frapuje literacka kuchnia. Zainteresowani pisarskim warsztatem znajdą tu wiele cennych wskazówek, a także... przepis na nowoczesną powieść kryminalną.

Znajomość reguł, jakimi rządzi się literatura kryminalna, przejawia się też w refleksji autotematycznej – w *Postowiu* Ruszczyńska określa swą powieść mianem w quasi-kryminału, w którym dochodzi do mieszania się gatunków i łączenia narracji eseistycznej, obyczajowej i sensacyjno-kryminalnej „Czytelnik nie powinien też zapominać – pisze – że jest to kryminał ironiczny, a ironia i nostalgia to dwa wektory rządzące światem tej powieści” (s. 541). Oprócz ironii, dodajmy, klimat powieści tworzy łagodny humor, najczęściej przywoływany, by zaznaczyć dystans do kryminalnego wątku, jak np. w zdaniu: „Następnego dnia obudziłam się dość późno i, jak skonstatowałam, nikt mnie nie zamordował” (s. 102). A innym jeszcze sposobem dystansowania się wobec detektywistycznej akcji jest budowanie narracji za pomocą zdań typu: „Dzień od rana sączył się dość leniwie jak kawa w moim starym i pamiętającym lepsze czasy ekspresie marki Bosch” (s. 227).

W ten sposób do rozwiązania zagadki zbliżamy się niespiesznie, powoli, a po drodze, zanim wszystko się wyjaśni, zostajemy wciągnięci w inne opowieści – nie tylko o literaturze, ale też o typach labiryntu, stylu romańskim, budowie katedr, krajobrazie nadmorskiego miasta, templariuszach, procesach o czary itd. Najciekawsza jest tu jednak opowieść o Kołobrzegu – mieście, które za fasadą turystycznego

kurortu skrywa nieznaną podziemną świat pełen tajemnic. Tworząc jego wizerunek, Ruszczyńska nawiązuje do modnego w XIX wieku gatunku powieściowego, jakim był romans tajemnic i książki *Tajemnice Paryża* Eugeniusza Sue. Każde miasto – pisze – posiada swoje tajemnice, a szczególnie takie jak Kołobrzeg. „Dawny Kołobrzeg legł w gruzach podczas marcowej ofensywy, a miasto, jakie znamy, powstało na nowo, jak zresztą wiele takich miast w powojennej Polsce, zwłaszcza tu, na zachodzie, na ziemiach, które po wielu wiekach wróciły do Polski. Tylko że to było już zupełnie inne miasto, a szczątki tamtego przedwojennego pruskiego Kolbergu z nazistowską historią można już jedynie znaleźć na fasadach niektórych zabytków, w murach katedry oraz starych budynków z czerwonej cegły. No i jeszcze w antykwariacie, gdzie trochę pamiątek się zachowało, a były to książki, zdjęcia, obrazy oraz litografie z tamtych lat” (s. 52-53). Ale nie tylko o tego typu tajemniczość chodzi. Kołobrzeg jest również miastem na poły realnym, na poły widmowym, na co wpływa nadmorska aura. Bałtyk, zauważa pisarka, oddziałuje magnetycznie i inaczej niż ciepłe morza południowej Europy, ma w sobie „coś urzekająco tajemniczego i jednocześnie mrocznego” (s. 42). To odczucie wzmacniają sny, towarzyszące bohaterce – senne imaginacje, które odrealniają rzeczywistość, zaburzają orientację.

W swojej opowieści o Kołobrzegu pisarka sięga do początków miejscowości, która zaistniała już w VII wieku jako osada słowiańska, jednak interesują ją głównie losy nazistowskiego Kolbergu. Przedwojenna i wojenna historia jest kanwą fabuły, osnutej wokół dziejów mistyczno-okultystycznej nazistowskiej organizacji o charakterze masońskim, która działała w mieście. Zakon Nowych Templariuszy, inaczej Neotemplum miał dziedziczyć tradycję różokrzyżowców i przechowywać tajemnice zakonu templariuszy. Znaczącą rolę odgrywa w tej historii, ale też w całej powieści, Bornholm, traktowany przez członków Neotemplum jako mityczna wyspa Thule. To tutaj tajne stowarzyszenie starało się ukryć dokumenty dotyczące swojej działalności i prowadzić poszukiwania skarbu templariuszy. Czy tak było? Czy istniała nazistowska grupa tworząca Nowy Za-

kon Templariuszy i czy jej istnienie miało związek ze zniknięciem małej Sabine, a po latach – przyjaciółki Elżbiety? „Może to moja wyobraźnia powołała do życia wszystkie te postacie należące już do porządku przeszłości. W końcu każde miasto to przestrzeń zamieszkiwana i kształtowana przez żywych i umarłych, a ja tylko ten świat ożywiałam” (s. 530) – zastanawia się Marta Ruszczyńska i oczywiście ma rację. Nawet jednak jeśli wszystko, o czym czytamy w powieści, jest tylko tworem wyobraźni, to niewątpliwie takiej, która fascynuje i każe zaglądać za fasadę nadmorskiego miasta. Na nowo odkryć miejsce – do tego właśnie zachęca autorka.

Diabeł i panna to niezwykła opowieść o mieście i zarazem nostalgiczny, ironiczny i erudycyjny kryminał, w którym znajdziemy wszystko to, co gwarantuje ciekawą lekturę, czyli – jak z humorem podsumowuje swe dzieło pisarka – „Bornholm, freski, templariusze, archiwa, naziści z Neotemplum w Kolbergu, zbrodnia z przeszłości, obraz *Cnotliwa niewiasta*, a na dokładkę czarownice palone hurtowo na stosach” (s. 283). Książkę warto jednak polecić nie tylko ze względu na sensacyjne wątki, które zgrabnie splatają się w kryminalną fabułę. Oprócz nich pojawia się tu coś, czego dotąd nie było w kryminale lubuskim: metanarracja zawierająca solidną porcję wiedzy kulturoznawczej i historycznoliterackiej. Co istotne, w tej metanarracji, snutej przez profesorkę Uniwersytetu Zielonogórskiego, nie ma nic z akademickiego wykładu, a około kryminalne rozważania, mające dygresyjny charakter, okazują się niekiedy ciekawsze niż zagadka zniknięcia Elżbiety. Tym wreszcie, co wyróżnia *Diabła i pannę*, jest kreacja bohaterki, a w jej osobie – pierwszej lubuskiej detektywki, nazwanej przez autorkę „przewrażliwioną starą wariatką, która naczytała się kryminałów i postanowiła zabawić się w detektywa w spódnicy” (s. 25). Mijmy nadzieję, że ta zabawa to dopiero początek przygód Joanny Barskiej, bo debiutancka powieść Marty Ruszczyńskiej to książka, która nie tylko dostarcza dobrej rozrywki, ale też budzi apetyt na ciąg dalszy.

Małgorzata Mikołajczak

Jak bije sens?

Ewa Lipska, *Wariacje Goldbergowskie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, 51 s.

Wariacje Goldbergowskie składają się z dwudziestu czterech utworów. To właściwie prozy poetyckie. Pisarka przedstawia nam swojego bohatera zarówno poprzez to, co myśli, jak i poprzez to, co robi. Więcej jest tej pierwszej aktywności, a więc Goldberg: „wie”, „zastanawia się”, „uważa”, „podejrzewa”. Niektóre określenia stanu umysłu są powtórzone. Lecz i prozy, które rozpoczynają się inaczej, dotyczą pracy intelektualnej. Goldberg np. lubi czytać książki nie-napisane. Byłby zatem zwolennikiem historii i fabuł wyobrazonych oraz twórczości potencjalnej i możliwej. Czy możemy być zdziwieni, że zapoznajemy się nie z poezją, domeną afektów, lecz z prozą, w której można lepiej zapisać wysiłek intelektualny. W rzeczy samej wielość tych stanów wskazuje na to, że Goldberg jest myślicielem. Nie wszystko jednak, co robi, budzi zaufanie. Może więc lepiej nazwać Goldberga domorosłym filozofem. Niekiedy bowiem przyłapujemy go na roztrząsaniu problemów pozornych. Ale przecież podejmuje także kwestie kluczowe. Zastanawia się np. nad użytecznością kategorii gry w naszym pojmowaniu świata. I robi to, kiedy próbuje swoich sił w darta (s. 13). Spośród różnych treści tej filozofii warto zatrzymać się przy ostatniej odsłonie tego teatru myśli: „Jeżeli słowa mają serce, Goldberg postucha, / jak bije ich sens” (s. 51).

To najkrótszy utwór tomu, bo mieści się w jednym zdaniu. Jakie to gatunki możemy zamknąć w tak krótkiej wypowiedzi? Przypomnijmy, że tak zwykle definiuje się aforyzm. Oto początek słownikowej definicji tego gatunku: „[...] wyraziste sformułowanie, zamknięte w jednym zdaniu” (*Podręczny słownik terminów literackich*, red. J. Sławiński, Warszawa 1993, s. 8). Sentencja jest zwykle twierdzeniem, sądem, rozpoznaniem dotyczącym natury świata czy człowieka. To właśnie dlatego niektórzy dystansują się wobec tej formy. Uznają bowiem, że jakoś ogranicza ich wolność. Pamiętamy jednak, że byli filozofowie, którzy właśnie w tym gatunku się wypowiadali.

Ciekawa jest struktura wypowiedzi o Geldbergu. Rzeczywiście, to zdanie warunkowe. Znamy je z komunikacji codziennej, ale też z języka filozofii, a wła-



ściwie z logiki. Kojarzy się ze znaną formułą implikacji: jeśli p to q. Być może w zdaniu o Geldbergu mamy przykład metodycznego rozumowania, z którego poetka drwi. Ludwig Wittgenstein, jeden z najważniejszych filozofów XX wieku, w późnym okresie swego życia uprawiał filozofię pewności. W swoim dzienniku przedstawił przykłady zdań, które nie powinny budzić wątpliwości. W jednym z zapisów podaje taki przykład: „Nazywam się 'LW.'. I gdyby ktoś to kwestionował, to natychmiast ustanowiłbym niezliczone powiązania, które czynią to pewnym” (*O pewności*, przeł. M. Sady i W. Sady, wstęp W. Sady, Warszawa 1993, s. 112). Wiedeńczyk Wittgenstein zapewne bliiski jest Lipskiej. Nie tylko dlatego, że przez kilka lat mieszkała w mieście nad Dunajem. Ale przecież nie ta filozofia. Nie o taką pewność pisarce chodzi.

A zatem, co to znaczy: Geldberg będzie chciał w słuchać się w brzmienie słów? Jeśli więc Wittgenstein może nam przybliżyć poezję Lipskiej, to raczej wczesny, zapisany w formie aforyzmów (*Tractatus logico-philosophicus*, przeł., wstęp B. Wolniewicz, Warszawa 2012). Geldberg bowiem chce wiedzieć, jak bije sens słów. Jakkolwiek to formuła metaforyczna (bo przecież wyraz znaczy), to istotnie jest tu materia dla filozofii analitycznej. Ponadto Geldberg zajmuje się istotnym zagadnieniem z punktu widzenia teorii poezji. Warto pamiętać, że filozofia Wittgensteina wpłynęła na poezję i poetykę XX wieku. Bicie sensu wyrazów można rozumieć jako kwestię kluczową dla twórcy. Chodzi przecież o to, jak znaczenie ma się do rytmu. Jak wiadomo, to właśnie w zależności od tego, co uznawano za ważniejsze, różnicowano formy wypowiedzi (wiersz albo proza poetycka) oraz szkoły pisarskie (klasycy i awangardziści). Czy możemy uznać, że Geldberg przedkłada sens ponad rytm? Nie jestem pewien.

Jeśli jednak mamy wątpliwości, czy poeta nie jako kompromituje Geldberga, obdarzając go tak wielką zdolnością spekulacji, sięgnijmy do innych

wierszy. Warto przypomnieć, że metodyczną krytykę ufnosci we władze intelektualne znajdziemy już we wczesnych wierszach Ewy Lipskiej, na przykład w świetnym liryku pt. *Rozum*:

Bezbłędny
w myleniu poglądów.

w niezbitych dowodach
które sobie przeczą.

W zbitych z tropu
faktach.

Coraz mniej w tobie
leukocytów światła.

Już cię nic nie oświeci.
Może jeszcze ciemność.

(*Piąty zbiór wierszy*, Czytelnik, Warszawa 1978, s. 21)

Jerzy Madejski

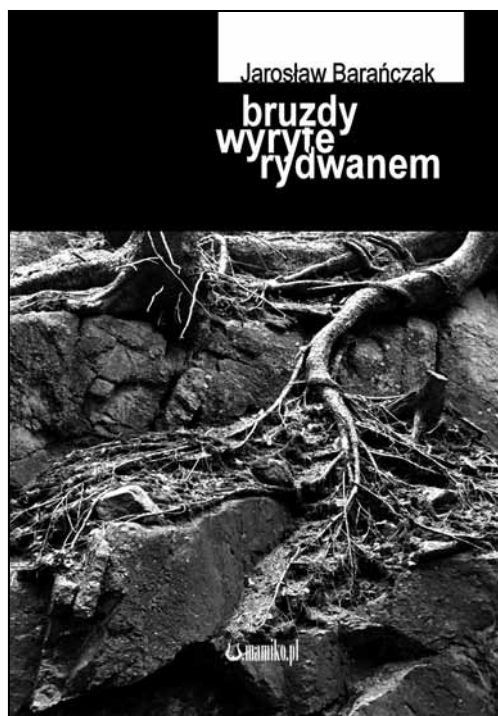
Cień współczesności

Jarosław Barańczak, *Bruzdy wyryte rydwanem*, Mamiko, Nowa Ruda 2023, 40 s.

Lektura drugiego zbiorku poezji Jarosława Barańczaka, pt. *Bruzdy wyryte rydwanem* potwierdza, że jest on wnikliwym obserwatorem świata bliższego i dalszego. Tej epoki, w której przychodzi mu i nam żyć. W obrębie podmiotowej biografii rejestruje niepokój, poczucie niepewności, niemożność ustalenia racjonalnej logiki zdarzeń, docieczenia szerokiego sensu. Zjawiska nacechowane są dziwnością, jakąś obcością i skutkują zwątpieniem. Odnajdujemy przypomnienia sytuacji i zdarzeń biograficznych, które zajmują poetycką wyobraźnię i kształtują świadomość, rzekłbym, dotyczącą cywilizacyjnej sytuacji. W zdecydowanej większości mamy do czynienia z relacją wprost uczestniczącego w nich podmiotu, ale nie zawsze. Mam na myśli np. wiersz otwierający zbiorek *Głucha pamięć*, przywołujący słynne zdjęcie na-

giej, wietnamskiej dziewczynki, która biegnie pustą drogą spod napalmu. Świat to zobaczył. Ten ciemny po „zwęglonej Hiroszimie” znak, oczywiście, pamiętany, ale o tym ciągle „jest ślepa głucha pamięć”. W tych słowach zawarte wszystko. Nie uczymy się człowieczeństwa. Tragedia dzieje się nadal, powtarza się „w śpiącym Irpieniu/ ojca już nie ma nas nie ma/ tylko doły pełne mokre od krwi”. Przykłady można byłoby mnożyć. To zły znak dla cywilizacji, dla ludzkości, której wartości są łamane. Zbudowanie tedy jasnej wizji przyszłości wydaje się być wątpliwe możliwe. Wiele już przeminęło, choć z wysoka „płynęły iskrzące niegdyś idee. Dziś/ błyszczą ledwie chwilę, zaraz gasną”. Dlaczego? – słusznie jest pytać. Przecież, argumentuje poeta: „Wieczorem, jak zawsze, gwar rozpycha/ wąskie uliczki, na ciasnych

placach siedzą/ przy fontannach chłopcy z dziewczynami". I czy to życie, to piękno dnia jest utudne? Raczej, jak widać, zostaliśmy zarażeni śmiercią. Żyjemy w jej cieniu. W ogóle nie wiadomo, co ma być, jaką obrać drogę, jakie czynności są słuszne i pożyteczne po prostu. Poeta zna ten kłopot: „Czasem nie wiem co jest ważniejsze/ iść szybko przed siebie czy długo gapić się/ na mrówkę z igłą sosnową na plecach”. Brakuje motywacji dla określonych postaw i działań. Stała się śmierć i staje nieustannie codziennością, z której wykreśla radość. Nie mamy na nią sił, nie czujemy, że jest uzasadniona. Bo w imię czego? Blokuje ją strach. Ale żyjemy. Już wiemy, że to bardzo ryzykowne. Widać to na twarzach. Oczywiście poeta Jarosław Barańczak wrażliwie przytacza też obrazy, które można uznać za dowody normalnego trwania i dziania się rzeczywistości, jak w wierszu *Przecinek*: „szybowiec kołysze niebo/ rzeka sunie wzdłuż/ miasto drzemie widać/ pełnące strugi tramwajów poranna barka dźwiga/ rzekę nie milknie telefon”. Chciałoby się nawet dać upust zachwytowi. To bowiem obraz wręcz idylliczny, sielski, który kiedyś, dawno temu jednak, mógłby namalować dobry malarz, nawet Rafael Santi, ale czujemy, że na to piękno i dobro istnienia pada cień. Kartka jest pusta. Treści słów jałowe. Mózgi zmęczone. W cieniu czujemy siebie, swój i cudzy los. Nieustannie coś ginie. Narracja poetycka tego zbioru też o tym świadczy. Rytmikę wersyfikacji, poetyckich zdań zakłócają przerzutnie. To, co mogłoby jawić się jako klarownie, prawdziwie proste, przejrzyste usytuowane, bywa zawieszane przez tę poetykę, która rozmywa kontury rzeczywistości lub nawet to wszystko, co podmiot zobaczył, w czym uczestniczył i co przeżył. Linia biegu życia i spraw osobistych poplątała się. Sens zatarł się, mimo wielości faktów, doznań i myśli, wizji społecznych, które życie miały czymś ważnym naznaczać. Tylko zostały, oczywiście, „sterty nieważnych gazet/ o dawno odbytych turniejach, bilety do muzeów./ w których zastygła samotność/ poplątane nuty” (*Klucz*). Niczego one nie otwierają. Tylko pozwalają stwierdzić skład i stan śmietnika, który jest nikomu niepotrzebny. Ale zajmujemy się nim właśnie, uczestniczymy, mamy nawet taki obowiązek być za jego kształt odpowiedzialnymi. Ducho-



wo jesteśmy samotni. „Tak to trwa”. Mamy do czynienia z zawieszeniem i zaciemnieniem sensu, który jest krańcowo zubożony. Wyboru nie ma. Trudno bowiem nawet w najśmielszych rojeniach zgodzić się, że remedium na wszystkie kłopoty epoki może być „strajk generalny, do którego nawoływał” pewien poeta (*Wiersz ważny*). Przejmujący pod tym względem w tym zbioru, nie za dużym objętościowo, jest wiersz *Ecce homo*. Wymowny. W nim zwykłe czekanie w poczekalni do lekarza przybiera formę metafory współczesności, w której prawdziwie zraniony człowiek „z tą raną w dłoni” nie znajduje żadnej pomocy. Siedzący egotycznie udają, że ich nie dotyczy ani obchodzi jego problem. Jakaś wina spada jednak na każdego z obecnych. Mimo to każdego człowieka dotyczy duchowa powinność, jak ta, o której jest mowa, ważna mowa, w wierszu *Trąbka*. Jej melodię trzeba usłyszeć w chaosie, w milczeniu. Być otwartym na jej głos. Ma ona zadanie fundamentalne – przypominać o duchowej stronie człowieczej egzystencji. Choć nie jest „jasne, gdzie się

podziewa”, podobnie jak muzyka sfer. Muzyka to o tęsknocie, o współczuciu, wrażliwości, odwadze, godności. Tego ma strzec i o to się upominać. Tymi dyskretnymi intencjami, nie zawsze tu wprost wyrażanymi, bo przecież wiersz nie może być „jak suchy wiersz moralisty”, jest ten zbiorek wypełniony. Stanowi poetycką summę spraw świata. Sugeruje czytanie-rozmyślanie. Nawet, gdy w nim napotyamy

różne niedomówienia i niejasności, nierealności. Na ledwie zaznaczające się dobro i piękno nie można być obojętnym. Do tego rodzaju myśli i konstatacji przez poetę tu opowiedzianych historii, wcale gładkich, chropowatych, zachęcam wracać, choćby do świetnych wierszy: *Klucze czy Brzeg innego świata*.

Czesław Sobkowiak

Bliskość po katastrofie

Patrycja Mierzejewska, *Wchłanianie żelaza*, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 54 s.

Najnowsza polska poezja to opowieść o utracie, urazie, braku, tęsknocie za czymś, co można zdefiniować, nie tylko miłością, która okazuje się w tym kontekście na tyle oczywista, że nie podejmuje się tej kwestii zbyt często w krytycznoliterackich dyskursach. I nie zmienia tego miłosne wybory wierszy Andrzeja Sosnowskiego czy metafizyczne Marcina Świetlickiego. Chodzi o jakiś punkt odniesienia, który mógłby stanowić fundament, uzasadniać istnienie jakiejś podmiotowości, a w skrajnie utopijnych przypadkach – całości. Jakiś rodzaj synergii, symbiozy, choćby nić porozumienia między światem wewnętrznym a zewnętrznym, między wyobrażonym i realnym. Między żywym a żywym w obliczu rychłej śmierci.

Możemy tu sobie wpasowywać modne nurty eko i posthomo, dać się drażnić panseksualnie kontrowersjami wynikającymi z bliskości reprezentantów różnych gatunków i królestw. Zbierając grzyby, doznawać iluminacji, że uchował się jeszcze, na cienkim marginesie aspołecznym, taki organizm jak wiersz, próba zapisu nienazwanego, a silnie doświadczanego. Psychosomatycznie, cząsteczkowo, pierwiastkowo: nie chodzi przecież o rozpoznania zgodne z jakąkolwiek skodyfikowaną nauką, a z wymykającym się prostym rozważaniom i postchrześcijańskim dychotomiom ciała. Debiut poetycki Patrycji Mierzejewskiej, *Wchłanianie żelaza*, wpisuje się w ten (nie)porządek. I poprzednie zdanie może być wiarygodne wyłącznie z nawiasem; nie da się tu żądać ani pożądać jednoznacznych odpowiedzi, żeby nie-

chcący nie zaprzeczyć idącym za tak skonstruowaną książką intuicjom czy wręcz intencjom.

Jak zbliżyć?

„W to życie/ to my już/ teraz/ tak na poważnie?” – zaczepnie inauguruje podmiotka, a czytelniczka przy pierwszej lekturze jeszcze nie widzi w tym pytaniu piętrowości szczegółów, jaka się za nim kryje, a jaką odsłaniają kolejne teksty zbioru i ich (od)czytania. Aż do osiągnięcia poziomu dna (oka) i DNA, efekty specjalne to produkty uboczne interpretacji tych przecież minimalistycznie nieprzeszarżowanych, skupionych i jakże przy tym odważnych wierszy. Prawdopodobnie to jedyny dostępny mnie i zbyt nadgorliwemu, przez co za mało empatycznemu odbiorcy „poezji jako projektu”, „poezji jako systemu znaczeń”, zestaw narzędzi, żeby nie przesadzić z generalizacjami i klasyfikacjami, z uwzględnieniem tych, na co najmniej dwóch płaszczyznach, środowiskowych? Każdy wybór jest beznadziejny, nie trzeba parafrazy tytułu drugiego wiersza w tomie, by udowodnić, jak absurdalne może być działanie przyspieszające śmierć.

„Kocia łapa”, oczywiście, to tutaj symbol, istotna zmiana paradygmatu w sposobie mówienia o braciach i siostrach już nie mniejszych, a równych, pełnoprawnych, ważnych, a często nawet najważniejszych. To nie zmierzch antropocenu, to nowy jego rozumny, emocjonalny, pozamerkantylny i pozakapitalistyczny etap. Tak samo idiomatycznie: już nie „życie na kocią łapę”, a raczej „życie za kocią

łapę”, co nie wyklucza tego pierwszego. Pies nam świadkiem, tym cenniejszym, że uczciwym! Język, rozwijając się, niczego nie musi wypierać. Na sferę wyparcia najwięcej miejsca przeznaczył wiersz. W dobrym wierszu, jak u Mierzejewskiej, przestrzeń niedopowiedzeń niesie z sobą najwięcej w formie skonkretyzowanych przemilczeń albo przesunięć, także uwagi i środków ciężkości w pozorną lekkość. Przesadzam, czym przesądzam nadprogramowe spiętrzenia rozmytych dywagacji, przed którymi te teksty się bronią?

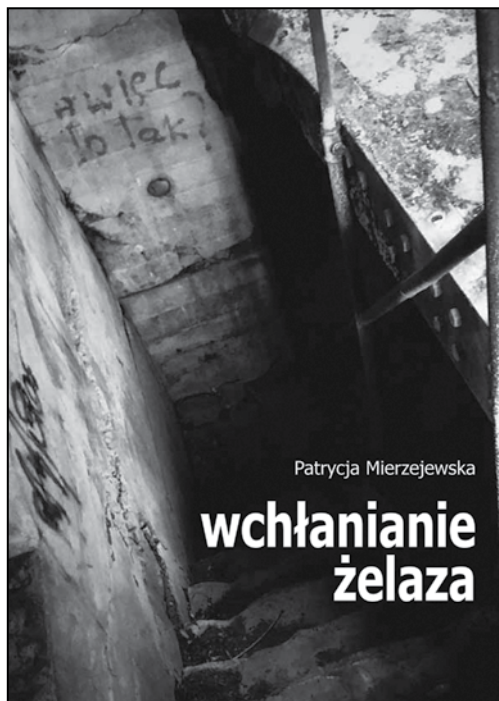
W trzecim wierszu „było już za późno”: od razu, na prawach instrukcji obsługi, dostajemy ten zabieg w formie czterech wersów z pojedynczą kropką każdej. Niby, wyjściowo, chodzi o imprezę, której się nie pamięta (liczba kropek to pokłosie „czterdziestki“?), ale to punkt wejścia w dyskurs o przemijaniu, tym bardziej uzasadniający pełniejsze „wchodzenie w życie” na kolejnych jego, coraz bardziej świadomych, przynajmniej pod tym względem, etapach. „Żal we włosach” (celowo abstrahując od samej gry słownej i znaczeniowej z „kwiatami” czy „zelem”) stanowi stały składnik tempury opartej o pamięć, konsumowaną w różnych procesach, procesjach, nie wszystkim umierającą, gdyż dzięki pozostawionym przez nią śladom teoretycznie kiedyś da się dotrzeć do źródła bólu i cierpienia. Do krwi i jej składników. I tyle z zabawy *Wchłanianie żelaza* może mieć do zaoferowania.

Gdzie uciekać?

Gdzie tymczasem gnieździ się i mości powszechne w społeczeństwach umorusanych chrześcijaństwem, począwszy od fazy analnej i oralnej w braku rozwoju człowieka na obraz i podobieństwo patriarchalnego boga, poczucie wstydu? „Prosto pod język/ aplikować winę” – konstatuje w *Porze* osoba mówiąca w wierszu, który kończy gromkie „Uciekać” (wielką literą). Jak hostię? Tabletkę na gardło? Papierek lakmusowy nasączony LSD? Czy zakonnice obchodzą Dzień Kobiet? Poczucie winy nie opuści nas jeszcze przez wieki, nawet jeśli zsekularyzujemy wszelkie obrządku świąteczne. Zostaje oswajanie tego najdzikszego ze zwierząt, regularnie wyprowadzanego na spacer przez wewnętrzne dziecko. Pod językiem jest

o tyle bezpiecznie, że można liczyć na dodatkowe doznania. A żadne doświadczenie nie hańbi, przeciwnie – działa odwrotnie proporcjonalnie do przemijania: przybliża do życia. Choćby to był, jak w wierszu z siostrami, balejaż, wykonywany przez Jezusa, męczennika, który zawłaszczzył sobie również kobiece cierpienie (patrz PS).

Granice dobrego smaku wyznaczają granice naszego ciała? Tylko jak go rozpoznać w świecie, w którym wszystko kosztuje, a „słodko smakuje/ i ropa/ i gruszka”? Na ile akt odwagi zasługuje na aplauz, a na ile chodzi o „przy(m/w)yknięcie”, jakąś niezdefiniowaną zwyczajność, przeciętność, powtarzalność? „Ocalanie wszechświata” drobnymi gestami? Apokalipsą mogłoby się okazać wytrącenie z wypracowanej równowagi: w relacji z sobą, z oswojonym czy z obcym. Znajoma terapeutka radzi: „przepracowanie” to złe słowo. Praca nie czyni wolnym, nie gwarantuje bycia sobą, niecelebrowania „Święta Bezsilności”. Zakorzeniona, nie tylko w wierszu, podmiotka, nigdzie się więc nie wyrwie.



Kiedy dotykać?

Ale to nie znaczy, że z ugruntowanej i umocowanej nie do końca z własnej woli pozycji traci możliwość doświadczenia. Zostaje dotyk. In spe, nie jedynie jako „międzygatunkowe esperanto” (wyjątek potwierdzający regułę, że tej książce służy niedomiar efektów specjalnych). Jako czułość? Zdecydowanie, pozbawiona nachalnej narratorki, bo dziejąca się niejako obok tych wierszy, a przecież na ich prawach. I wciąż – naiwnie, ale jak chce się wierzyć w takie diagnozy – pozostaje słowo (*Zmiana czasu*). W szczególności to najprecyzyjniejsze w danym momencie, punkcie, które się ucieleśnia w drugim. Poetyka tych wierszy, częściej różewiczowska niż sprozaizowana dłuższą frazą inkrustowaną interpunkcją (statystycznie: 30,5 : 2,5), pozwala takim słowom wyzwolić ich energię i ładunek emocjonalny, i to w taki sposób, by ten drugi nie wybuchł.

PS: Dobrze prześledzić całość przez pryzmat czasów, zwłaszcza przyszłych dokonanych. To w koń-

cu osie tego rachunku mikrozysków i makrostrat, przecinające się w (znaczącej i znaczonej) pustce.

PS2: Książka została wyposażona w blurb Karola Maliszewskiego i postowie Mirosławy Szott, pisane z podobnych pozycji, aczkolwiek zachowawczo, a więc z zachowaniem konwencjonalnych odczytań o końcu. Również tej herstorii. Zainteresowanych odsyłam do źródła. Życzyłbym tej książce, aby doczekała się dyskusji, polemik i refleksji nieoderwanych od niezmiennie żywej i rozedrganej afektywnie materii wierszy, jakie w sobie nosi, by wreszcie us(u)nać w (nie)pokoju. W rytmie, jaki został poziomowi meta w oderwaniu od fizyki: „tam-pon/ tam-pon/ tam-pon”. Problem skali tu nie istnieje, to wyłącznie nazewnictwo, pączkujące podczas podziału: na dłuższą metę „mikro” i „makro” to zbliżenia, ponieważ oddalenie ukazujące całość w pełnej krasie uwypukla jej fundamentalne szczególności.

Rafał Gawin

To ja mam rację

Magda Turska, *Szczęśliwostki*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im Zbigniewa Herberta, Gorzów Wielkopolski 2022, 244 s.

Prozy Magdy Turskiej *Szczęśliwostki* przeczytałem z niejakim zapałem. Z jednej strony dlatego, że są niezbyt dużej objętości – nawet kilkudzaniowe notowania myśli i sytuacji, a z drugiej, nacechowane są różnorodnością tematyczną. Nie rozsypują się jednak chaotycznie, gdyż konsekwentnie dotyczą postaci bohatera tej książki. Jego rozterek duchowych i przejść życiowych. Na nudę miejsca tu nie ma. Narracja toczy się wartko. Ma też znaczenie, że licznie stosowane gry słowne wprowadzają w nią lekkość. Jak zauważa Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk we wstępie, autorka „rozpracowuje skomplikowane połączenia słów” i znaczenia. Te zabiegi pokazują, jak potrafi popisywać się swoim stylem. Poza tym treści są klarowne i nie za mocno skomplikowane. Jeśli nawet mamy do czynienia z jakimiś dywagacjami filozoficznymi, bo takie się tu co rusz pojawiają,

to szczęśliwie nie są one bardzo głębokie. Oczywiście są ważne dla zidentyfikowania tego wszystkiego, z czym bohater tej prozy się zmagają. A zmagają się też z sensem życia. W najogólniejszym znaczeniu ta proza jest świadectwem wyzwania się z jakichś przymusów i obciążeń. Można rzec, że chodzi nie o schematyczne postępowanie, ale o prawdziwe, autentyczne, osobiste racje i życiowe wartości, z których nie chce zrezygnować. Te intencje i ten przekaz prozatorski wypada uznać za wartościowy. Już kilka lat temu, przed publikacją miałem możliwość zapoznać się z tymi utworami. Autorka od tamtego czasu wprowadziła dużo porządkujących zmian, przededagowała całość, dodała rzeczy nowe. To dobrze. Upłynęło trochę czasu i po prostu książka jest teraz dużo lepsza niż jej wcześniejsza wersja. Tytuł *Szczęśliwostki* jest nieco błahy czy nawet pozbawio-

ny głębszego znaczenia. Trochę myśląco. Nie z nich jedynie składa się ta proza, lecz także z doświadczeń i przemyśleń trudnych. Ale zarazem... Drobiazgi egzystencjalne, nawet takie jak picie kawy, piwa, wina, smaczne jedzenie, podróże egzotyczne, studenckie zauroczenia czy oglądanie krajobrazu, słuchanie muzyki w aucie też mają rację, istotnie cieszą. Składa się z nich życie. Jest ich w tej książce dużo. Lecz i poważne zmartwienia mają dostęp do wnętrza, co obrazuje nawet styl narracyjny. Decydują o życiowym samopoczuciu. Nie są więc pominięte. Oczywiście w książce widać zapał twórczy, fascynacje życiowe i podmiotowe emocje, które go wspierają. Moim zdaniem jednak wstępne narracje tej prozy, ciekawe jakby w swojej istocie, niekoniecznie są potrzebne, sprawiają wrażenie wyabstrahowanych dywagacji. Bierze w nich udział Minus, jakiś Plus, Pytajnik, Wykrzyknik. Można było to przynajmniej ograniczyć. Dla mnie ta książka prawdziwie zaczyna się od strony 28. Od mocnej deklaracji, która jest być może reakcją na poprzednie jakby puste dywagowanie. Bohaterka-narratorka tej książki dokonuje czegoś ważnego, gdy z całą mocą i impetem uderza w stół i mówi: „to ja mam rację”. To otwiera resztę tekstu. Odtąd ta osobista racja jest ukazywana na kolejnych stronicach tej prozy. Mamy do czynienia z kompozycją złożoną zasadniczo z trzech nurtów. Turska skrupulatnie opisuje swoje fascynacje filmowe, wymienia tytuły, nazwiska aktorów, reżyserów nie tylko dlatego, że lubi filmy, ale dlatego, że ich treści moralne, emocjonalne, filozoficzne są jej bliskie. Kształtowały ją duchowo. Opisuje też regularne podróże do różnych barwnych, wyjątkowych krain i miejsc, które wywarły na niej wielkie wrażenie. Zostały zobaczone i dotknięte. Na przykład: wyspa Inis Oirr, Spreewald, Wyspy Boromejskie, Wogezy i Równiny Alzackie, Grecja, o której można nieskończenie się rozpisywać. Píše o ich przyrodzie, historii, architekturze, obyczajach, ludziach. Czytam te barwne relacje i czuję się nawet zachęcony, by to wszystko ujrzeć. Są w nich oczywiste szczęśliwości. Gdy idzie o znaczenie literackie, te dwa nurty nie mają jednak głównego znaczenia w tej książce. Są to jednak jakieś ścieżki, którymi można dojść do autorskiego wnętrza. Do poglądów życiowych, do fa-

scynacji wielkością i pięknem świata, i wartościami sztuki. Zwłaszcza np. proza, relacja z filmu o Camille Claudel (przyjaciółce-kochance artystycznej Augusta Rodina) – *Granice sztuki*. Robi duże wrażenie jej przesłanie. I dlatego jest tutaj ważna. Główne znaczenie mają jednak prozy dotyczące podmiotu piszącego, np. *Miłość po wrocławsku* czy *Dzika*. W sensie artystycznym i stylistycznym, tematycznym jest to najlepszy nurt. Akcent jest mocno postawiony na autentyzm i realność emocjonalnych wyborów, które we wnętrzu uzyskują kształt duchowych racji. Widać, że Wrocław, w nim lata studenckie były wielką, bodaj najważniejszą przygodą i szkołą życia. Potem w to życie zaczęły wchodzić sprawy trudne, prowincjonalne Kłodawy, cienie myślowe, odczucia pustki egzystencji, zniecierpliwienia, momenty ostracyzmu (s. 86), sytuacje i myśli drastyczne. Lek-



tura tego rodzaju stronic może wywierać największe wrażenie i zostawać w pamięci, zwłaszcza zdania o przemijaniu, starzeniu się, „schyłku młodości kobiecości”, myśli o śmierci, o niespełnieniu nadziei i marzeń życiowych. Dochodzą do głosu impulsy straceńcze: „I wiesz, boję się sama siebie”, „Zrozum, umknęło moje życie” (s. 82). Inne są już fascynacje i emocje. Ciemne. Taka melancholia jednak nie jest tu stała ani mocno natarczywa. Aktywność stylistyczna tej prozy wskazuje, że mamy do czynienia z przewyciężaniem złych nastrojów i negatywów. Świat-

nie to pokazują malutkie prozy zawarte w *Scenach*. Dają one obraz aktywności wewnętrznej, gdyż wyraziście obrazują duchową problematykę. Do sedna życia chce dotrzeć ta proza. Głównie niepokornym tropem. Radziłbym jednak w kolejnej książce prozatorskiej, jeśli takowa miałaby powstać, aby znalazło się miejsce w większym wymiarze dla spraw podmiotowych, dla całej ich płątaniny i dookólnego chaosu rzeczywistości.

Czesław Sobkowiak

Wiersze jak tatuaże

Natalia Sztegner-Jaskulska, *Poezja dojrzewająca w słońcu*, Wydawnictwo AD REM, Jelenia Góra 2022, 25 s.

Są takie debiuty, które przechodzą niepostrzeżenie przez świadomość literacką. Pojawiają się w literackim światku wręcz nieśmiało. Nie mają szeroko zakrojonej kampanii promocyjnej i w związku z tym wie o nich niewiele osób albo tylko te, które o niej wiedzieć mają. Warto wyłapywać takie rzeczy z zalewu literatury. Kiedy w końcu wpadł mi w ręce poetycki debiut Natalii Sztegner-Jaskulskiej *Poezja dojrzewająca w słońcu*, wydany nakładem jeleniogórskiego Wydawnictwa AD REM, wraz z lekturą zaczął wsączać się w myśli zupełnie nienachalnie, ale stanowczo.

Okładka (zaprojektowana przez Ewę Ogórek) jest nie tylko intrygująca, ale też w pewien sposób sugeruje treść: jest niebieska jak niebo, które symbolicznie „wlewa” się wszędzie. Ta niebieskość wygląda też jak barwnik, który się rozlewa wśród bieli. Niebieski to kolor smutku, ale też ukojenia. Biel natomiast kojarzy się z chmurami, niewinnością. Nie wiadomo, który kolor (niebieski czy biały) był pierwszy: jeden zaczyna powoli przenikać drugi. Białe plamy wyglądają trochę jak chmury. Na tym wszystkim widzimy z prawej strony szkice kwiatów. Wygląda to tak, jakby ktoś zrobił tatuaż na skórze o nieoczywistym kolorze. Taka skóra mogłaby mieć plamy od słońca, ale nie są to brązowe przebarwienia, tylko niebieskie. Jest to przecież *Poezja dojrzewająca w słońcu*, jak mówi tytuł.

Wewnątrz znajdziemy bardzo dużo odwołań do Boga: podmiot liryczny silnie zaznacza swą religijność. W życie podmiotu co rusz wsącza się to niebo z okładki. Nie bez bólu. Ale jest ono zarówno ratunkiem, jak i punktem odniesienia. Podobnie jak Bóg. Czytając tę poezję, skojarzyła mi się ona z wersami rapera Opała (a raperów często można nazwać współczesnymi poetami – tak, tak!) z utworu *Niebo* (z albumu *Prze-strzeń*, 2023): „Odnajdziesz niebo, nad nami niebo/ jakbyśmy zlepili je z jednego snu/ w środku niczego, już niedaleko”. W poezji Sztegner-Jaskulskiej jest też obecna mimo wszystko niegasnąca nadzieja. Może mieć ona zabarwienie religijne, choć niekoniecznie. Jednak sam tom zadedykowany jest właśnie Bogu, a religia chrześcijańska niejako obiecuje (w uproszczeniu) po śmierci właśnie Niebo. Jest w tym tomie poetyckim także coś z charakteru poezji Jana Twardowskiego, któremu towarzyszyła przy odniesieniach do religii refleksja filozoficzna.

Z wierszy Natalii Sztegner-Jaskulskiej przebija emocjonalność. Może ona wydawać się momentami nieco naiwna, wręcz dziecięca, nie można jej jednak odmówić szczerości. W utworze *Pragnienie dorosłości* czytamy nawet: „Słodka naiwność stłumiona przez gorzki smak świata”. Podmiot doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jego odczuwanie świata może zostać uznane za błahe. Jednak jest to

niezwykle „czysta” wrażeniowość. Z kolejnych wersów przebija też duża wrażliwość i zmaganie z rzeczywistością, która nie jest przyjazna. Sama forma wierszy nie jest może do końca przekonująca, jednak wpisuje się w dzisiejszą konwencję poezji: każdy wers to zdanie. Zaczęte wielką literą, zakończone kropką. Zdarza się, że to zdanie rozlewa się na dwa wersy, przerzutnie są tu jednak raczej rzadkie.

Poezja dojrzewająca w słońcu przypomina potok myśli, zapisanych w konkretnym stanie emocjonalnym (najczęściej granicznym: rozpacz, lęk, strach, rozczarowania). Forma trąci nieco monodramem, nosi znamiona prozy. Wiersze są różnej długości: znajdziemy tu dłuższe formy (jak *Uczucia* czy *Lęk wysokości*), ale też zupełnie lapidarne (jak *Wino* czy *Moment zguby*). Czytając ten tom poetycki, odbędziemy podróż po różnych stanach emocjonalnych. Są tu zarówno chwile lekkości i uniesień: „Unoszę się i zatracam w tej beztrosce” (*Letni obrazek*), ale też zwątpienie i niemal odrzucenie rzeczywistości, jak w wierszu *Niewyraźne*: „Chodzę ulicami tego paskudnego miasta”. Ten bunt przypomina

mi nastrój utworu Cool Kids of Death *Niech wszystko sptonie* (z płyty *Cool Kids of Death*, 2002): „Nienawidzę tego miasta/ tutaj szybko się umiera/ powiedziałaś żeby uciec/ powiedziałaś żeby teraz”. Krzysztof Ostrowski i Jakub Wandachowicz wylewają tutaj swoją niezgodę na ten świat. Wierszem Sztegner-Jaskulskiej utrzymanym w tym tonie jest *Moment zguby*: „Serce rozrywa ból/ Głowa pęka od natłoku myśli” – to jakby punkt kulminacyjny tomu. Minimum słów, maksimum przekazu.

Są w tej poezji obecne także momenty nadziei, powracania do dobrych wspomnień, zauważania niepowtarzalności chwil, jak czytamy np. w *Potoku myśli kuchennych*: „Każdego dnia kawa smakuje inaczej”. Często podmiot w poetycki sposób opisuje obrazy, które ma przed oczami – takie, które cały czas pozostają wyryte na matrycy pamięci, jak w *Winie*, gdzie „Butelka obok staje się towarzyszem podróży”. Można zaryzykować stwierdzenie, że *Poezja dojrzewająca w słońcu* jest świadectwem drogi uwalniania się od cierpienia. Ostatecznie w *Debiucie*, kończącym tom, znajdziemy wers „Blask z wnętrza”. Coś ostatecznie przebiło się na powierzchnię – i jest to zdecydowanie coś dobrego.

Warto wspomnieć, że każda strona tomiku ozdobiona jest delikatnym szkicem: kwiatów lub zakrzywionych linii. Na białej karcie istnienia pojawia się niewielki, subtelnie wykonany rysunek i ją naznacza. Nieodwracalnie zmienia tym samym jej wygląd. Podobnie jak z tatuażami, które nie tylko ozdabiają skórę, ale są też symbolami, których znaczenie najczęściej zna tylko osoba, nosząca pod skórą tusz w konkretnym kształcie i kolorze. Jednak osoba postronna mimowolnie będzie miała z takimi rysunkami na ciele jakieś skojarzenia. Podobnie jest z wierszami Sztegner-Jaskulskiej. Niby naiwne, a zostawiają w czytelniku ślad. Nie jest ich dużo, ale zostają w myślach, jak tusz pod skórą. Są uniwersalne, delikatne – szkicują całą masę uczuć, przelewających się przez człowieka, który nieustannie zmienia się, dojrzewa. W wierszach młodej lubuskiej poetki znajdziemy opowieść o tym, że słońce nie tylko wypala, ale jego energia też daje życie, które (nie bez trudności) sami kształtujemy.

Joanna Marcinkowska



Przebudzenie poezji po długoletniej drzemce

Grażyna Rozwadowska-Bar, *Obudziłam wiersze*, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 52 s.

Pochodząca z Żar poetka Grażyna Rozwadowska-Bar wydała właśnie swój trzeci zbiór poetycki zatytułowany *Obudziłam wiersze*, który ukazał się po... 23 latach milczenia. I mimo że poetka debiutowała w prasie wierszem w wieku 20 lat, to na debiut książkowy zdecydowała się dość późno, bo w wieku 38 lat. Wówczas ukazał się jej tomik *Zapraszam do domu* (Wyd. AND Zielona Góra – Wrocław 1999), a trzy lata później drugi – *Nie lubię zegarów* (Wyd. Pro Libris, Zielona Góra 2000). Przed ukazaniem się tych książek poetyckich autorka należała do żarskiej Grupy Literackiej „Dziewin-Młodzi”, a po ich wydaniu została członkinią Związku Literatów Polskich, zamieszczała wiersze w prasie oraz w antologiach poetyckich. Przez pięć lat była również przewodniczącą Klubu Literackiego ZLP w Żarach, powołane go z ramienia zielonogórskiego Oddziału.

Cóż zatem się stało, że aktywna poetka zamilkła wydawniczo na ponad dwie dekady? Wiersze,

które znalazły się w najnowszym zbioru, a jest ich 24, podzielone zostały na trzy cykle – *Stare fotografie*, *W drodze* i *Lubię powroty*. I mimo że autorka nie stosuje przy swoich tekstach datacji, wiele z nich pochodzi właśnie z okresu jej wieloletniego „zamilczenia”. Można zatem by rzec, że budząc do życia nowe, przebudza stare i to w kontekście całościowym, gdyż nie idzie tu tylko o materię wiersza, ale o retrospektywną tematykę. Rozwadowska-Bar powraca bowiem do wspomnień, do lat dzieciństwa, do historii, rozpamiętuje dawność i ocala własną przeszłość. Ale po kolei, choć zacznę od... końca, bowiem ostatnim, zamykającym tomik wierszem, jest właśnie ten, z którego zaczerpnięto tytuł zbioru, a sam – co ciekawe – jest bez tytułu. W nim to podmiot wyznaje, dlaczego dokonał przebudzenia swojej twórczości:

obudziłam wiersze
uśpione snem wielozimowym

drzemały na półkach
między książkami
wtulone w słowa

latami
szukałam swoich wierszy
po całym świecie mojego pokoju [...]

wiersze
długo spały ukryte
między książkami

i długo ich szukałam

Poezja służy autorce „zbudzonych wierszy” do nazywania i opisywania, do zatrzymywania czasu, wspomniania, zapamiętywania i przypominania tego, co zatarte. W części otwierającej zbiór *Stare fotografie* w sentymentalny sposób podmiot opowiada, często też gorzko i z bólem, ale też z rozrzewaniem, o matce, babce, ojcu, którzy już odeszli. Przypomina przedmioty zapamiętane z dzieciństwa, które przy-



wieźli po drugiej wojnie dziadkowie i rodzice z Kresów i Grodna, przypomina ich sylwetki, słowa, czyny oraz przejmująco opisuje śmierć rodziców:

W ostatniej minucie
trzymałam cię za rękę

ty pytałaś – co teraz będzie

nie wiem
mamo

(*Twój świat*)

O ojcu zaś, któremu poetka poświęciła kilka liryków, napisze, że „cały świat/ zamykał się w tobie” (*Portret z pamięci*) i „szukałam twoich śladów/ świadków młodości” (***) „gdy nie było...”). To z ojcem autorka powróci w jego rodzinne strony w poszukiwaniu śladów jego dzieciństwa, o czym traktuje liryk (***) „zabrałeś mnie...”) i jemu towarzyszyć będzie aż do odejścia.

W cyklu *W drodze* Rozwadowska-Bar opisuje swoje liczne podróże i przemyślenia z nimi związane. Odwiedza Włochy, Francję, Holandię, Grecję i Bośnię, opisując zabytki, muzea, obrazy europejskich mistrzów pędzla, ale też zwykłych ludzi, np. sprzedawców – sardynek na Capri, owoców w Bośni czy pielgrzymów w drodze na górę Križevac nieopodal Medjugorja. A sielankę peregrynacji przerywa radiowy komunikat o wybuchu wojny na Ukrainie, który zakłóca odpoczynek przy kawiarnianym stoliku i wprowadza wewnętrzny niepokój. Ale nie opisywanie samych ekskursji po Europie jest istotne, tylko życiowa filozofia poetki, dla której wojaże i wędrówki są istotnym sposobem na poznawanie świata, a tym, co w nich najbardziej urzeka, są... powroty. Dla autorki *Obudzonych wierszy* powroty właśnie stanowią ważny element licznych wypraw, by nie rzecz sedno wyjazdów, bowiem po nich można znów cieszyć się rodzinnym miastem, domem i otoczeniem, na nowo można rozpamiętywać to, co się zobaczyło, przeżyło, doświadczyło. Stąd podmiot stwierdzi, że: „oczy znów błyszczą światłem/ napełniają pamięcią” (***) „kefalońskie koty...”).

Podróże i powroty, niemal jak u mitycznego Odyssa, pozwalają poznawać i podziwiać świat, zachwycać się jego pięknem, przyrodą i architekturą metropolii, nurtują i zmuszają do głębszych przemyśleń i poszukiwań sensu ziemskiego trwania. A rodzinny dom, niczym Itaka, przynosi ukojenie i spokój, pozwala na odpoczynek i wytchnienie, na retrospekcję, na beztrudne zagłębienie się w rozmyślenia i rozpamiętywanie minionego. Dlatego w wierszu bez tytułu (***) „idę do ciebie...” podmiot wyzna:

idę do ciebie miasto tam gdzie mój dom
idę przez kartki książek ciągle ciepłe
oddechem poetów umarłych
i tych jeszcze żywych
którzy jak ja zagubieni błądzą pytają
i dziwią się że odpowiedź
to kolejny znak zapytania

róże pachną wszędzie tak samo
jak dotyk
sens życia człowieka

Podmiot liryczny w utworach żarskiej poetki szuka i poznaje piękno w drobnych rzeczach, w zapachu róż, pomarańczy, macierzanki, leszczyny lub w smaku zielonych liści herbaty czy śliwek, które przypominają okres dzieciństwa, do którego z nostalgią chętnie powraca.

Ostatnia część tomu *Lubię powroty* najwięcej uwagi poświęca właśnie owym idyllicznym powrotom do domu, do ukochanego miasta, znajomych skwerów i ulic. To w wierszach tego cyklu uwidacznia się najlepiej istota i cel poetyckich wędrówek. Poetka powie wprost: „to z ciekawości/ biegam po ulicach świata” i wyjawi: „w podróży lubię powroty albo podróżując szukam prawdy”, a słowa te brzmią niczym autorskie credo. To właśnie w utworze bez tytułu (***) „w podróży lubię powroty...” podmiot rozwinie tę myśl:

w podróży lubię powroty

zakurzone myśli
w zmęczonych walizkach
do domu zwożę

Radość i otuchę przynoszą także małe rzeczy, wspomniane zapachy i smaki, ale też cisza i gwar, cień i światło, dotyk i muśnięcia, ciepło i pogodna aura pór roku, krajobrazy i spacerzy. Podmiot więc przechadza się ulicami i parkami swojego miasta, najchętniej jesienią i latem lub też rankiem i wieczorami. W wierszu bez tytułu (***) „krajobraz który noszę w sobie...” podmiot wyzna:

próbuję złapać
mijane obrazy
zamknąć w pamięci
oswoić nieznanne

w krajobrazie który noszę w sobie
jest też moje dzieciństwo [...]

przypadkowe obrazy
ważne i nieważne historie
i czas zostawiony za sobą

Podmiot liryczny autorki poprzedniego zbiorku, *Zapraszam do domu* był przede wszystkim domatorem. W najnowszej książce jest podobnie, znów najlepiej czuje się we własnym ognisku rodzinnym, dlatego wypowiedź znamienne słowa:

a ja udomowiona
najbardziej mieszkam
w moim pokoju

między komputerem
a półką z książkami

W postawieniu do zbioru wierszy Grażyny Rozwadowskiej-Bar, zatytułowanym *Długo ich szukałam*, dr Mirosława Szott słusznie zauważyła, że „W świecie bohaterki odbywają się równolegle dwie wyprawy: jedna prowadzi do dalekich miejsc, druga – to jej wewnętrzna peregrynacja. [...] Etap podróży i poszukiwań tego, co poza domem, przyniósł najistotniejsze odkrycie – że warto jest wrócić”. I tym właściwie sposobem powróciliśmy do punktu wyjścia – czyli odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak długo trwał poetycki zastój autorki. Odpowiedź znajdujemy w jej

ostatnim, zamykającym tom utworze (***) „obudziłam wiersze...”), gdy szczerze powie:

moje życie było niepełne
nie umiałam nazwać
radości ani smutku
nie rozumiałam łzy
ani kwiatów wazonie

rozmowy prowadziłam
za pomocą ciszy
zapomniałam języka słów

przez ten czas
nic nie było
na swoim miejscu

jak dobrze że
obudziłam wiersze

To dzięki poezji można nazwać to, co było tylko przeczute i zrozumieć to, co było niejasne lub zgoła niepewne. Wiersze pozwalają przetrwać nawet najdłużej trwający marazm i zapełnić językową pustkę. Pomagają ocaleć i tak stało się w przypadku długoletniego zamilczenia Grażyny Rozwadowskiej-Bar.

Nie ma w zbiorze *Obudziłam wiersze* zawrotnej metaforyki, wydumanych konceptów poetyckich, zawilej symboliki i abstraktów myślowych, nie ma też napuszonego słownictwa czy wirtuozerii językowej. Poetka nie sili się na takie chwytły, pisze prosto, od serca, tak jak czuje i myśli, bez ubierania słów w barwny i elegancki kostium poetycki. Jej wiersze skomponowane są w przyzwoitej formie warsztatowej i opisowej, stąd recepcja ich nie jest trudna, acz zdarzają się świetne, wręcz urocze perełki liryczne, np.: „najtrudniej zatrzymać człowieka/ tak szybko znika”; „wyjrzała nagość samotnych drzew/ porzuconych przez liście; kieliszek czerwonego wina/ nieśpiesznie kołyszże myśli”; „o świecie czuć jak rośnię światło oraz twierdza uspiętego czasu”.

Najnowsze wiersze Grażyny Rozwadowskiej-Bar stanowią dojmującą z jednej i ujmującą z drugiej strony zwartą, logiczną poetykę emocji. Są to wiersze bardzo mądre, przemyślane i dojrzałe, po-

parte życiowym doświadczeniem i autentycznym przeżyciem. Wiersze bardzo osobiste, retrospektywne, często sentymentalne i nostalgiczne, a przy tym bardzo kobiece i ciepłe. „U żarskiej poetki kobiecość uwidacznia się na pewno poprzez bliską relację z tekstem, brak jakiegoś kamuflażu, zdystansowania – wyjaśnia w postwowie wspomniana Mirosława Szott. – W końcu są to wiersze w dużym stopniu autobiograficzne”. I wiele w tych słowach prawdy,

gdyż poezja przefiltrowana przez własne doznania jest do bólu szczerą, nad wyraz realną, niewymuszoną, żywą i naturalną, a przez to własną i oryginalną. Zbiór „przebudzonych wierszy” ozdabia i zarazem uzupełnia czarno-biała ikonografia żarskiego artysty plastyka i pedagoga Ryszarda Tomczaka, co sprawia, że edytorsko i artystycznie prezentuje się on bardzo przyzwoicie i intrygująco.

Robert Rudiak

Minimum słów, maksimum smutku – o dwóch tomikach poetyckich Joanny Marcinkowskiej

Joanna Marcinkowska, *Czarne motyle*, Ridero, [bez miejsca wyd.] 2021, 58 s.; też, *Przemilczenia*, Ridero, [bez miejsca wyd.] 2023, 81 s.

Co może nam dać porównanie dwóch tomików tej samej autorki? Jaki może być sens takiego podejścia? Taka analiza z pewnością pozwala dostrzec kształtujący się styl danej osoby. Zwłaszcza w sytuacji, gdy mamy możliwość porównania debiutu i kontynuacji drogi twórczej. W przypadku obu wydawnictw autorstwa Joanny Marcinkowskiej – *Czarnych motyli* oraz *Przemilczeń* odnajdziemy punkty styeczne, ale także różnice, dzięki którym buduje ona oryginalny rys swojej twórczości. Przyjrzyjmy się im zatem bliżej.

W 2021 roku ukazał się pierwszy tomik o tytule *Czarne motyle*. Okładkę zdobi czarno-biała fotografia górskiej, leśnej ścieżki (autorstwa Joanny Marcinkowskiej). Głównie w takiej kolorystyce poruszamy się w świecie słów podmiotu lirycznego, co uzupełniają także zdjęcia znajdujące się wewnątrz wydawnictwa. Natknijemy się tutaj na ogrom smutku i tęsknoty za drugą osobą. Przerazający brak przekłada się tu na krajobrazy, które tracą kolory i przejmują chłodem jak w wierszu *Wdech*: „skuty lodem ogród/ jutro jest nieprawdopodobne/ nie pamiętam koloru nieba/ wtedy nad naszymi głowami”. Samotność jest nie do zniesienia i powoduje reakcje całego ciała: „chcesz wiedzieć więcej/ popatrz na dłonie/ one drżą” (*Oczy*), „płuca zwinięte w rulon/ przekłętę uczucia” (*Iluzja*). Jaka jest ta poezja? Dojrzała, cel-

na, intensywnie cielesna, ale także bardzo uniwersalna w swoim ascetycznym niemal przekazie. Ten zbiór wierszy wzrusza, odsyła do tematów trudnych, wartych przepracowania, powodujących reakcje tak psychiczne, jak i fizyczne. Obcuje z tymi lirykami, nie raz zdarzy się pomyśleć, że przecież już kiedyś się to przeżyło, czuło ten lęk i ogłuszający ból rozstania czy bezsilność i ciężar trosk świata.

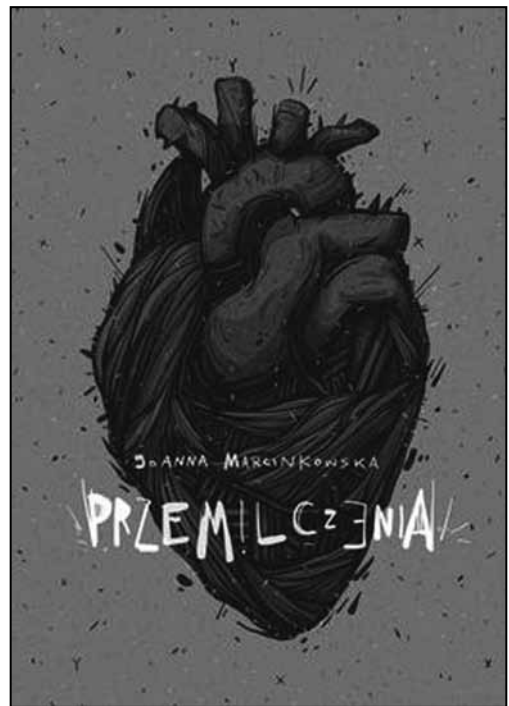
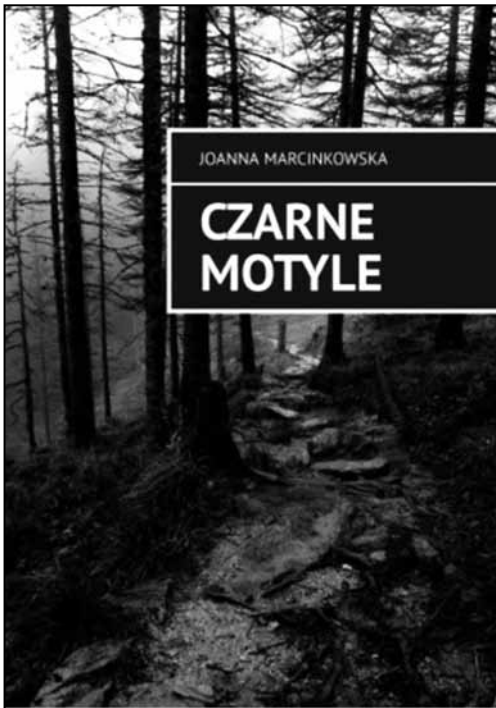
Natomiast w 2023 roku w ręce czytelników trafił drugi tomik o tytule *Przemilczenia*. Na szarej okładce widnieje kolorowa grafika przedstawiająca serce (zarówno ta, jak i wszystkie wewnętrzne grafiki są autorstwa BIOSME x BROCKI). Zdaje się ona zapraszać do świata nie tak pozbawionego kolorów, jak w przypadku pierwszego zbioru. Czy tak jest rzeczywiście? Podzielone na trzy części wydawnictwo opowiada o różnych stanach wewnętrznych, ale tym razem podmiot liryczny mówi głosem zarówno kobiecym, jak i męskim – „po prostu chciałem/ żebyś była obok/ ja też” (*Spojrzenia*). Powstaje ciekawa opowieść, odrobinę kronika, rodzącej się więzi, pełna również tęsknoty i lęku, będąca niekiedy gorzkim podsumowaniem kolei życia, jak w utworze *Islandia*: „o cierpieniu/ nikt nie prosi każdy dostaje/ bez sensu”. Ponownie za pomocą minimum słów wyrysowane zostają emocjonalne krajobra-

zy, po których czytelnik porusza się niczym w pełnej wspomnień i uniwersalnych odczuć przestrzeni. Dominującym doświadczeniem jest tu ponownie chłód, ale są także chwile, w których sytuacja zmienia się diametralnie za sprawą bliskości, jak w wierszu *Wyzwanie*, gdzie liryczne „ja” mówi: „jak ze snu/ wynurzamy się z siebie/ woła nas ciepło i światło”. W zbiorze tym odnajdziemy, znaną już z poprzedniego, dojrzałość spojrzenia na świat, umiejętność oddziaływania na zmysły, a także wiele wzruszających i zmuszających do refleksji wersów.

Zestawiając te dwa tomiki, możemy zauważyć bardzo wiele zbieżności, ale także subtelne różnice (choćby w doborze szaty graficznej, będącej ilustracyjnym uzupełnieniem dla słów autorki). Zapewne na pierwszy rzut oka w drugim możemy wyczuć odrobinę mniejszy ładunek smutku niż w pierwszym. W żaden sposób nie znaczy to jednak, że nowsze wydawnictwo jest utrzymane w dużo weselszym to-

nie. Tematyka obu jest zbliżona, ale to nie powoduje, że otrzymujemy te same opowieści. Przekazywane treści są zróżnicowane zarówno pod względem opowiadanych historii, jak i komponowanych obrazów i wrażeń emocjonalnych. To, co się tu powtarza, to zasada minimum słów dla wyrażenia maksimum treści. Warto także zauważyć, że w przypadku obu zbiorów metodą publikacji był self-publishing, co z pewnością pozwoliło na dużo szybsze wydanie oraz całkowitą swobodę w zakresie stworzenia szaty graficznej, na co nie zawsze pozwalają wydawcy działający pod konkretnym szyldem. Podjęcie się takiego zestawienia pozwoliło zauważyć, że w przypadku Joanny Marcinkowskiej mamy do czynienia z interesującą osobowością twórczą, która zaczyna konsekwentnie konstituować swój sposób artystycznego wyrazu.

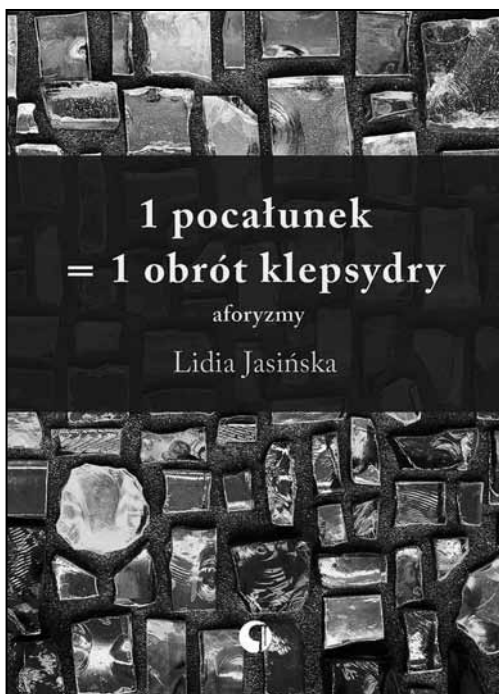
Agata Kostrzevska



Dobrych myśli nigdy za wiele

Lidia Jasińska, *1 pocałunek = 1 obrót klepsydry. Aforyzmy*, ImprintMedia, Warszawa 2022, 272 s.

Wyrzucony na margines, ale margines mu wystarczy. Nie potrzebuje dużo miejsca. Aforyzm, chociaż został zdegradowany, żyje. Krzysztof Bilica uważa, że dotknął go ostracyzm i pyta: „Kto wskaże czasopismo literackie prowadzące dział aforyzmu, kto wymieni liczący się ogólnopolski konkurs literacki uwzględniający ten osobny gatunek [...], kto wymieni więcej niż kilku krytyków literackich lub teoretyków zajmujących się tym gatunkiem?” („Topos” 5 [162], 2018). Autor tej opinii wskazuje miejsce, gdzie mamy szukać krótkiej formy literackiej: „aforyzm bryluje w Internecie. Znajduje tam tysiące wiernych i wdzięcznych czytelników. O jego popularności świadczy mnogość portali i stron specjalnie mu poświęconych”. Widać z tego, że niecały Internet jest zły. Kto umie szukać, znajdzie w nim wiele dobrego. To dzięki niemu spotkałem się przed kilku laty z twórczością Lidii Jasińskiej, a teraz leży przede mną zbiór jej aforyzmów



1 pocałunek = 1 obrót klepsydry. Jest to dziewiąty tomik nieżyjącej już autorki. Z czwartej strony okładki dowiadujemy się, że „tworzyła, mieszkając w Legnicy, Wrocławiu i Warszawie”. Zadebiutowała w roku 2000 tomikiem aforyzmów *Diabeł oswojony*.

Tytuły innych książek: *Frywolki*, *Flirtuchy*, *Poufałostki*, *Niedyskretcy* dużo mówią o tematyce w nich zawartej, ale to nie jest cała prawda o aforyzmach Lidii Jasińskiej. I chociaż w *Słowie wstępnym* czytamy: „Wiodącym motywem jest miłość, ze wszystkimi jej odcieniami”, to znajduję w omawianej książce wiele perełek, które nadają się nie tylko do miłosnego sztambucha. Rzeczywiście, inne tematy są w mniejszości, ale jak każdej mniejszości, należy się im szczególna uwaga. Wybierzmy kilka: „Świat nie pozwala, by używano go bez rewanzu” (s. 12); „Zaskakujące, że do tak wielu prostych słów, trzeba mieć rozum” (s. 15); „I wśród motyli zdarzają się typy o lepkich łapkach” (s. 17); „Pretensja bywa szybsza od podziękowania” (s. 23). Już ten krótki przegląd pokazuje, że autorka *Ustnego zapewnienia* świetnie odnajduje się w wielu motywach. Widać z niego, że rozszyfrowuje doskonale ludzką naturę. Czy można się nie uśmiechnąć, gdy przeczyta się: „Rzadko się zdarza zachwyt nad prostotą drutu” (s. 47). W myśli: „Na próżno dawać wędkę pozbawionym łowiska” (s. 51) możemy znaleźć nawiązanie do słów Lecha Wałęsy i widzieć w tym ocenę sytuacji społecznej po roku 1989. Możemy, nie musimy, bo sam aforyzm też jest trafnym spostrzeżeniem. Czas kończyć ten wybór. W myśl zasady „aforystę bronią jego aforyzmy” przedstawmy jeszcze dwa znajdujące się na sąsiadujących stronach: „Dobre ziarno i w błocie zakiełkuje” (s. 58) i „Trzeba bynajmniej raz się naciąć, by wiedzieć, jaka krew w nas płynie” (s. 59). Każdy czytelnik wskażeby inne myśli w celu zareklamowania omawianej książki.

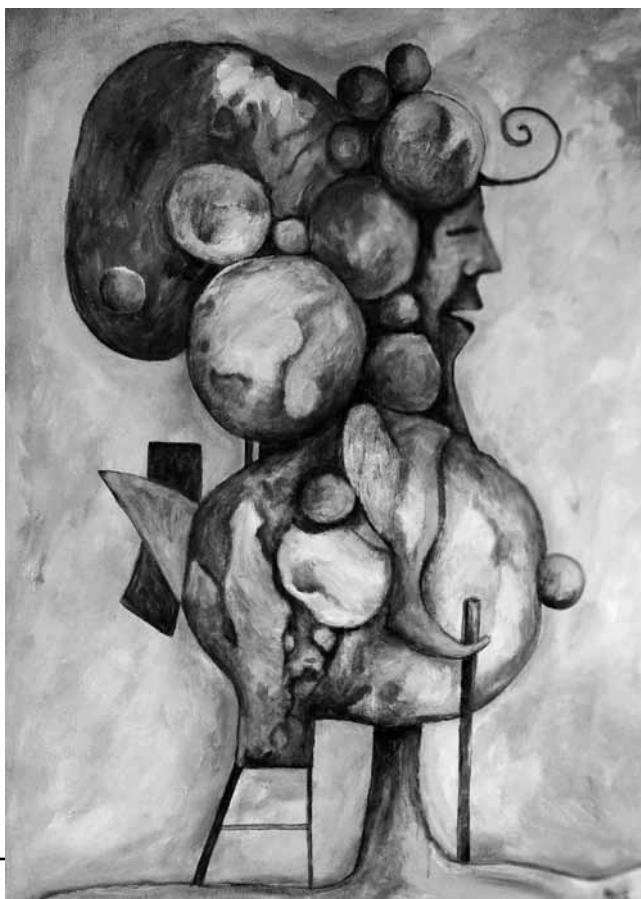
Oddajmy miłości, co jej się należy. Autorka *Ty i teraz* tak o niej pisze: „Lepiej uzależnić się od miłości niż od jej braku” (s. 178), „Kto umie kochać, ten już jest szczęściarzem” (s. 64). Prezentuje często nie tylko kobiecy punkt widzenia. Chociażby w takich afory-

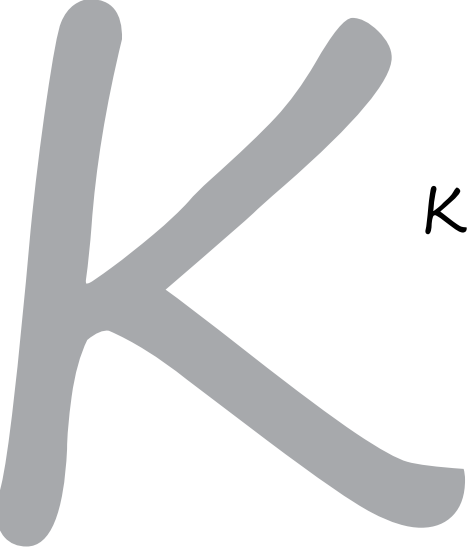
zmach: „Wtedy kobieta jest własnym katem, gdy traci głowę, gdy dla mężczyzny traci głowę” (s. 77); „Po życiu z jednym następuje życie z drugim... I to jest życie po życiu” (s. 86); „Przeznaczenie daje kobietom mężów, przypadek – kochanków” (s. 128). Miłość warta jest pisania. Lidia Jasińska przedstawia ją we wszystkich odcieniach. Od zakochania przez miłości aż po życie małżeńskie. Aforyzmy przypominają rozbite lustro. W każdym jego kawałku możemy się przejrzeć.

Na koniec zajrzyjmy jeszcze na jedną ze stron internetowych mającą nagłówek *Aforyzmy, cytaty, fraszki, przysłowia... Złote myśli*. W alfabetycznym spisie autorów znajdziemy nazwisko Lidii Jasińskiej. Z wyboru, jaki dokonali administratorzy strony, wi-

dać, że największym u nich powodzeniem cieszą się różne odcienie miłości i relacje męsko-damskie. Mnie jednak bardziej pociągają te, które mają w sobie trochę prawdy życiowej i odrobinę poezji, chociażby takie: „Żyć po bożemu trudno. Żyć po ludzku jeszcze trudniej” i „Tkamy marzenia, cerujemy rzeczywistość”. Każdy czytelnik omawianej książki sam zdecyduje, co mu jest bliższe, bo jest z czego wybierać. Dobrych myśli nigdy za wiele. Zbiór zawiera 780 myśli. Łatwo policzyć, bo na każdej stronie znajdują się trzy aforyzmy. Może dlatego, żeby obok nich było miejsce na przemyślenia czytających? Czytajmy więc *1 pocałunek + 1 obrót klepsydry* i rozmyślajmy.

Miroslaw R. Kaniecki





KSIAŻKI NADESŁANE

Bajka Poczytajka Mysia Imprezka [transkrypcja *Myszaczka Weczirka, Myszynaja Tusowka*] Bohdana Boboshko, Anhelina Honhalo, Yaroslav Kovalenko, Bruno Adam Reid, Zuzanna Rokitnicka, Albina Sula, Wydawnictwo MAJUS s.c., Zielona Góra 2023, 60 s.

Zofia Chrin-Nowicka, *Liczyby*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2023, 68 s.

Bogdan Fedorowicz, *Do Księcia, cz. 4: Homo gastronomicus*, [b.w.], Sulechów 2023, 47 s.

Magdalena Gryska, *Potencjał kontemplacyjny obrazu. Sfera mentalna, fizyczna i duchowa*, Instytut Sztuk Wizualnych, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2023, 216 s.

Roland Hellmann, *Herz&Seele / Serce i Dusza*, Ligatura, Zielona Góra 2023, 218 s.

Ryszard Jasiński, *Dziewczyna, która zgubiła imię*, GRAF MEDIA, Zielona Góra 2023, 110 s.

Ryszard Jasiński, *Król błot. Tuplickie opowieści*, GRAF MEDIA, Zielona Góra 2023, 82 s.

Daniel Koteluk, *Władza a tzw. księża pozytywni na przykładzie dziejów kapelana Hubalczyków Ludwika Muchy w latach 1945-1962*, Archiwum Państwowe w Zielonej Górze, Stowarzyszenie Archiwistów Polskich, Zielona Góra-Warszawa 2023, 210 s.

Mirosław Kuleba, *Prasiolity z Sokółowca na Dolnym Śląsku*, Graf Media, Zielona Góra 2023, 256 s.

Alicja Mielcarek, *Drzazgi*, Mamiko, Nowa Ruda 2023, 60 s.

Patrycja Mierzejewska, *wchłanianie żelaza*, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 54 s.

Okiem Czesława Luniewicza: Zielona Góra, oprac. Paweł Kalisz, Zielona Góra 2023, Archiwum Państwowe w Zielonej Górze, 216 s.

Mieczysław Ostrowski, *Może jeszcze*, Wydawnictwo MAJUS s.c., Zielona Góra 2023, 88 s.

Natalia Owsiana-Bilska, *Spadam w nieczułość*, Fundacja Poetariat, Wieluń 2023, 60 s.

Krystyna Polańska, *Smutek w oczach*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2023, 64 s.

Paulina Sacharczuk, *Kolor duszy*, Sowell, Rzeszów 2022, 80 s.

Alfred Siatecki, *Pokuta mojego dziadka*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2023, 232 s.

Enna Weiss, *Wiara i ufność*, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 74 s.

Znów wystawimy twarz do słońca. Antologia poezji lubuskiej 2007-2022, pod red. Małgorzaty Mikołajczak i Mirosławy Szott, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 270 s.

AUTORZY NUMERU



Józef Baran

Urodził się w 1947 roku w Borzęcinie. Poeta, laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich. Wydał kilkadziesiąt tomików wierszy, a także fragmenty dzienników, korespondencję ze Sławomirem Mrożkiem. Ostatnio ukazała się książka *Słoneczna ruleta. Wiersze przebrane z lat 1969-2020* (2021) oraz tom wierszy *Pokój i wojna* (2022). Jego teksty wielokrotnie stały się inspiracją dla piosenkarzy i piosenkarek (m.in. dla SDM, Beaty Rybotyckiej, Marka Burskiego) oraz były tłumaczone na około dwadzieścia języków. Poeta jest przewodniczącym jury Konkursu Poetyckiego „Źródło”. Mieszka w Krakowie.

Jarosław Barańczak

Urodził się w 1951 roku w Wałbrzychu. Absolwent Politechniki Wrocławskiej (magisterium z budownictwa lądowego, następnie doktorat z nauk technicznych), ukończył także studia magisterskie z filologii polskiej. Pierwsze wiersze opublikował pod koniec lat 70. w zielonogórskim tygodniku „Nadodrze”. W latach 80. był zaangażowany w ruch odnowy. Następnie pełnił funkcje parlamentarzysty i urzędnika państwowego, także jako dyplomata. Dużo podróżuje, słucha muzyki. Za debiutancki tomik *Znak* otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki. Mieszka we Wrocławiu.

Karolina Barczak

Zielonogórzanka, licealistka. Interesuje się muzyką, anime, siatkówką i książkami. W przyszłości chciałaby zostać zawodową pisarką albo piosenkarką.

Dariusz Bareya

Artysta wywodzący się z Nowej Soli. Ponad dekadę mieszkał w Bydgoszczy, obecnie – w podbydgoskiej wsi. Jest magistrem sztuki, ukończył Wydział Sztuk Pięknych UMK w Toruniu (specjalizacja serigrafia), pracę magisterską napisał na temat Ryszarda Horowitza. Jest jednym z pięciu laureatów konkursu fotograficznego DEBUTS 2015 doc! Photo Magazine.

Krzysztof T. Dąbrowski

Pisarz i scenarzysta. Autor wielu publikacji w kraju i za granicą. Został nagrodzony przez Krakowską Szkołę Scenariuszową za najlepszy scenariusz napisany w 2010 roku.

Elżbieta Dybalska

Zielonogórzanka, rocznik 1949. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, autorka czterech tomików poetyckich (*Ślady miłości, Bruzdy, Biały, Pomimo*). Publikuje w antologiach i prasie literackiej („Pro Libris”, „Pasje Literackie”, „Filologia Polska”). Zajmuje się fotografią, haftem artystycznym, działalnością społeczną.

Władysław Edelman

Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O Żółtą Szpilę”), Myslenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German), Małopolskiej Nagrodzie Poetyckiej „Źródło” i innych. Publikuje także w internetowym wydawnictwie MPK – Moja Przestrzeń Kultury. Wraz z Haliną Bohutą-Stapel i Aleksandrą Matusiak-Kujawską współtworzy Literacki Kabaret HALLO. Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego. Mieszka w Zielonej Górze.

Jolanta Fainstein

Urodziła się w 1986 roku. Filolożka, doktorka nauk humanistycznych w zakresie językoznawstwa, tłumaczka, dramaturżka, poetka. Jej teksty są głęboko osadzone w kodach kulturowych, intertekstualne. Autorka użycza swojego głosu grupom milczącym i skazanym na milczenie. Publikowała w „Chiduszu”, „Pro Libris” i na stronie Lubuskiej Fundacji Judaica. Została wyróżniona w konkursie poetyckim ¡No pasarán!, a jej utwory ukazały się w pokonkursowym tomie. Otrzymała wyróżnienie w Konkursie o Nagrodę Dramaturgiczną im. T. Różewicza (2022) za dramat *mama ma szorstkie ręce*, który został wydany sumptem wydawnictwa Pro Libris w 2023 roku.

Ewa Franków

Polonistka, pedagog. Mieszka w Międzyrzeczu. Laureatka 1. i 2. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Eryka Pietruszaka. Jej wiersze znajdują się w antologiach i czasopismach.

Maria Jolanta Fraszewska

Urodziła się w 1958 roku w Słupsku. Absolwentka socjologii, psychologii oraz pedagogiki i coachingu. Zadebiutowała poetycko w 1990 roku („Gazeta Nowa”, „Goniec Pomorski”). Publikowała w licznych czasopismach (m.in. w „Tygodniku Literackim Śmigło”, „Przedprożach”, „Na Winnicy”, „Pro Libris”, Piśmie Literacko-Artystycznym „Bezkres”, Miesięczniku Literackim „AKANT”) oraz kilku antologiach zielonogórskich. Od 2013 roku uczestniczy w programie unijnym Emultipoetry: „Wiersze na murach” (Kraków Europejska Stolica Kultury UNESCO 2019). Murki jej autorstwa znajdują się również w antologii *Wiersze na murach* – wybór z lat 2010-2020 (Fundacja Poemat 2021). Autorka trzynastu publikacji książkowych. Uprawia poezję, eseistykę i prozę. Jej tomiki *Wio w snach* oraz *Płonące języczki* zostały wyróżnione nominacją do Wawrzynu Lubuskiego. W 2022 roku wydała tomik poetycki *Posypana wiatrem*. W tym samym roku otrzymała dyplom uznania w konkursie Kobieta Roku Województwa Lubuskiego za działalność artystyczną i społeczną. Mieszka i tworzy w Zielonej Górze. Wolontariacko współpracuje z Lubuskim Stowarzyszeniem na Rzecz Kobiet BABA. Należy do ZLP Oddział Zielona Góra.

Rafał Gawin

Rocznik 1984. Poeta, krytyk, korektor, konferansjer i animator kultury. Wydał kilka tomików, ostatnio *Jem mięso* (2019) i *Wiersze dla koleżanek* (2022) oraz zredagował *Próby negocjacji. Szkice o laureatach konkursu im. Jacka Bierzina* (2022). Prowadzi *Wiersz wolny* w „Liberte”! i warsztaty literackie w Domu Literatury w Łodzi, gdzie pracuje jako instruktor.

Agnieszka Ginko-Humphries

Poetka i pisarka, anglistka, animatorka życia kulturalnego. Utwory literackie publikuje pod nazwiskiem Ginko. Wydała trzy tomiki wierszy (*Krucze, Modlitwa spod znaku Ryb, aż tyle*) i pięć książek dla dzieci. Otrzymała m.in. wyróżnienie Książka Przyjazna Dziecku 2011, nominację do nagrody Książka Roku 2013 IBBY, ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów (2015), wyróżnienie FENIKS na Targach Książki w Warszawie (2016) i Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2020). Wiersze i tłumaczenia publikowała w czasopismach literackich w Polsce, Wielkiej Brytanii i Serbii, a także wydawnictwach UJ, PWM, Zephyr Press, USA i Routledge, Wielka Brytania. Od ponad 20 lat organizuje imprezy kulturalne i literackie, od 2015 związana zawodowo z Biblioteką Norwida.

Karol Graczyk

Urodził się w 1984 roku w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję i prozę. Laureat i zwycięzca ponad 150 konkursów literackich, m.in. imienia Jana Kulki, Zdzisława Morawskiego, Jana Śpiewaka i Anny Kamińskiej, Michała Kajki, Haliny Poświatowskiej, Rafała Wojaczka, O liść konwalii im. Zbigniewa Herberta, Tadeusza Sułkowskiego, konkursu O Złote Pióro Sopotu, o Złote Cygaro Wilhelma, a także Wawrzynu Lubuskiego za książkę roku 2008. Teksty publikował m.in. we „Frazie”, „Obrzeżach”, „Twórczości”, „Arteriach”, „Akencie”, „Tygłu Kultury”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Odrze”, „Lampie”, „Śladzie”, „Toposie” i „Pograniczach”. Opublikował książki: *Oko i oko, Osiemdziesiąt cztery, Łowy* oraz *Przełomy*. Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp. Współorganizator Gorzowskiego Festiwalu Poetyckiego Wartal, prowadzący warsztaty literackie, spotkania autorskie i turnieje jednego wiersza. Jego wiersze były tłumaczone na język angielski i rosyjski.

Małgorzata Grelak

Germanistka, tłumaczka. Miłośniczka kina, literatury i sztuki. Aktywna uczestniczka życia kulturalnego Zielonej Góry. Sekretarz jury konkursowego Festiwalu Filmu, Teatru i Książki „Kozzi Film Festiwal”.

Natalia Haczek

Rocznik 1996. Poetka, czasem również prozaiczka. W 2021 roku debiutowała tomikiem *głód*, za który została nagrodzona w ramach Lubuskich Wawrzynów 2021 (kategoria debiuty). Jej utwory znalazły się na łamach „Helikoptera”, „Pro Libris”, „Pasji Literackich”, „eWatora”.

Ryszard Jasiński

Rzeźbiarz, pisarz. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Nauczyciel, działacz samorządowy. Autor nagrodzonej w Konkursie Literackim Uniwersytetu Gdańskiego (2003) powieści pt. *niewidzialna władza*, w której kontynuuje poszukiwania nowych form wypowiedzi artystycznej, nowych form ekspresji literackiej. Jest także autorem nowatorskiej powieści *wrota gomory*. W 2023 roku ukazały się dwie jego książki *Dziewczyna, która zgubiła imię* oraz *Król błot. Tuplickie opowieści*. Miłośnik muzyki heavy metal i fotografowania, entuzjasta przyrody. Mieszka i tworzy w Tuplicach.

Mirosław R. Kaniecki

Urodził się w 1957 roku w Brodnicy. Krytyk literacki. Publikował m.in. w „Toposie”, „Pro Libris” i „Kotwicy”. Jako twórca aforyzmów debiutował na łamach „Karuzeli” w 1978 roku. Kilkakrotnie uczestniczył w ogólnopolskich konkursach im. Stanisława Jerzego Leca organizowanych przez Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu. W ósmej edycji tego konkursu zdobył drugą nagrodę. Swoje utwory publikuje również na łamach „Ziemi Michałowskiej”. Wydał ponadto tomik aforyzmów pt. *Pchełki*.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagogka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentką (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Interesuje się muzyką klasyczną oraz naukowym ujęciem problemów współczesnego świata. Kilka lat uczyła się śpiewu. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

Paweł Karp

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii. Wśród jego zainteresowań naukowych znajdują się: sztuka wojenna od średniowiecza do czasów nowożytnych, epigrafika, historia polityczna XX-XXI wieku. Rozprawę doktorską pt. *Husyci w świetle polityki Polski wobec zakonu krzyżackiego* obronił w 2001 roku. Autor monografii *Polsko-husycka wyprawa zbrojna przeciw zakonowi krzyżackiemu w roku 1433* oraz artykułów poświęconych głównie wojnom husyckim i zabytkom epigraficznym województwa lubuskiego, publikowanych m.in. w „Studiach Zachodnich” i „Studiach Epigraficznych”. W latach 2003-2018 uczestnik prowadzonych na UZ projektów badawczych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Inskrypcje na terenach Polski Zachodniej” (od 2013 w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki), których celem była ochrona historycznego i kulturowego dziedzictwa Ziemi Lubuskiej. Współautor zeszytów X tomu serii *Corpus inscriptionum Poloniae: Powiat wschowski* (Toruń 2007), *Powiat zielonogórski* (Toruń 2012), *Powiat żarski* (Toruń 2018). Współautor (z Anną Polak) publikacji *Kościół i ich wyposażenie na terenie miasta oraz gminy Żary. Przeszłość – Teraźniejszość* (Żary 2022), będącej efektem programu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Badanie polskich strat wojennych”. Od 2017 roku pracownik Działu Informacji Regionalnej i Bibliograficznej WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Członek zespołu realizującego projekty digitalizacyjne w ramach programu „Kultura Cyfrowa”. Redaktor Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej.

Władysław Kłępka

Urodził się w 1942 roku w Krężnicy Jarej koło Lublina. Poeta, tłumacz z języka czeskiego i gruzińskiego. Ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, potem studiował kulturoznawstwo na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Pracował jako instruktor plastyki w instytucjach kultury, obecnie przebywa na emeryturze. Debiutował przekładami z języka gruzińskiego na łamach „Poezji” w 1985 roku. Jego wiersze przetłumaczone zostały na język niemiecki przez Dietera Kalkę i opublikowane w 2001 roku. Członek Związku Literatów Polskich od 2007, należał do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, a obecnie jest członkiem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów (od 1995) w Zielonej Górze. Plastyk, uprawia marlarstwo w technice papier barwny ręcznie czerpany. Mieszka w Zielonej Górze.

Piotr Kładoczny

Doktor habilitowany, językoznawca, pracownik polonistyki gorzowskiej i zielonogórskiej. Autor książek *Proctwa chrześcijańskie jako gatunek mowy: na tle innych gatunków profetycznych* (2004) i *Semantyka nazw dźwięków w języku polskim* (2012) oraz współautor wraz z Leszkiem Berezowskim książki *Jak redagować przekłady angielskich dokumentów prawnych i gospodarczych* (2022). Interesuje się językiem w aspektach kulturowych, semantyką, komunikacją językową, konceptualizacją zmysłów w języku oraz problemami współczesnego języka polskiego oraz kulturą języka. Jest członkiem zespołu poradni języko-

wej Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz przewodniczącym Zielonogórskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Prywatnie lubi aktywne spędzanie czasu, podróże i dobrą muzykę.

Agata Kostrzewska

Rocznik 1984. Urodziła się w Gubinie, aktualnie mieszka w Zielonej Górze. Absolwentka filologii polskiej i angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim, recenzentka portalu dziennikteatralny.pl. Na co dzień pracuje w biurze i uczy języka angielskiego. W wolnych chwilach czyta książki, biega i podróżuje.

Marek Krukowski

Rocznik 1980, zielonogórzanin, twórca awangardowego teatru, filozof, amator tenisa, a przede wszystkim autor *Udręczenia* nagrodzonego Srebrnym Sokolim Piórem za prozatorski debiut podczas Lubuskich Wawrzynów Literackich 2018 oraz powieści *JAMIMOJE* nominowanej do LWL w 2019, obecnie pracuje nad trzecią powieścią z gatunku autofikcji *Zapiski Bez Znaczenia*.

Julia Kruszakin

Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Szafera w Gorzowie Wielkopolskim, obecnie studentka polonistyki-komparatystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jej pasją jest literatura, zwłaszcza poezja. Swoje zainteresowania czytelnicze koncentruje przede wszystkim wokół poetów, których charakteryzuje eksperymentalne podejście do języka (Cyprian Kamil Norwid, Edgar Allan Poe, Bolesław Leśmian). Laureatka (z pierwszą lokatą) 53. Olimpiady Literatury i Języka Polskiego.

Rafał Krzywiński

Absolwent politologii Uniwersytetu Zielonogórskiego, dziennikarz, autor opowiadań, redaktor bądź współpracownik lokalnych periodyków („Polska The Times Lubuskie”, „Gazeta Lubuska”, „Tygodnik Regionalna”, „Tydzień Lubuski”, „Życie nad Odrą”, Twójrynek.pl, „LiteraT”). Obecnie publikuje w „Łączniku Zielonogórskim” i nowosolskim „Tygodniku Krąg”.

Roman Krzywotulski

Urodził się w 1953 roku w Żarach, gdzie mieszka do dziś. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, animator kultury, instruktor, pedagog teatru, reżyser. Twórca amatorskiej grupy teatralnej Teatr Drewniana Kurtyna, z którą – w latach 1977-2019 – zrealizował kilkadziesiąt widowisk poetyckich, dramatycznych i plenerowych. W 2022 roku zadebiutował książką *Po tamtej stronie granicy*.

Mirosław Kuleba

Urodził się w Kołobrzegu w 1958 roku. Prozaik, reportażysta, niezależny dziennikarz, tłumacz z języka rosyjskiego. Absolwent Politechniki Zielonogórskiej, inżynier budownictwa lądowego. Korespondent prasowy na wojnach w Abchazji (1992, 1993), Jugosławii (1993) i Czeczenii (1994-1996). Wydał serię książek oraz wiele reportaży o konfliktach zbrojnych. Autor monografii zielonogórskiego winiarstwa: *Ampelografia Zielonej Góry, Enographia Thalloris*. Jest także właścicielem winnicy, plantatorem, producentem wina. Podejmuje aktywne działania zmierzające do wskrzeszenia zabytków związanych z winiarską przeszłością regionu zielonogórskiego. W 2022 roku wydał zbiór esejów pn. *Enografia mistyczna miasta Thalloris. Jest znawcą mineralogii (Prasiolity z Sokołowca na Dolnym Śląsku, 2023)* i sztuki.

Agnieszka Leśniewska

Poetka, autorka tomików *Dwie rzeczy* (2005) oraz *Wyprawa w częstochowskie* (2017). Mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Wyróżniona za debiut podczas Lubuskich Wawrzynów Literackich 2005 oraz nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2017. Laureatka Nagrody „Winiarka” w 2016 roku.

Władysław Łazuka

Urodził się w Tyrawie Solnej w 1946 roku. Poeta, prozaik, muzyk. Absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie. Pracował w instytucjach rolnych. Debiutował opowiadaniem na antenie rozgłośni Polskiego Radia Szczecin w 1969 roku oraz wierszami w „Tygodniku Kulturalnym” i kwartalniku „Vineta”. Członek Związku Literatów Polskich od 1984 roku. Autor kilku tomików poetyckich, m.in. *Przejdę sad, Tamto wszystko za tobą, Czytanie z natury, Blżej o jeden dzień, Idę, Od przebiśniegów do płatków śniegu*. Mieszka i tworzy w Choszczynie.

Jerzy Madejski

Doktor habilitowany, profesor w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa US, krytyk, recenzent „Nowych Książek”. W latach 2009-2012 redaktor Szczecińskiego Dwumiesięcznika Kulturalnego „Pogranicza”. Współredagował książki: *Zapisywanie historii. Literaturoznawstwo i historiografia* (z Włodzimierzem Boleckim, Warszawa 2010); *Czesław Miłosz i rewolucja* (z Beatą Małgorzatą Wolską i Urszulą Bielas-Gołubowską, Szczecin 2011); *Z kuchni* (z Urszulą Bielas-Gołubowską i Beatą Małgorzatą Wolską, Szczecin 2013) oraz *Adlojada. Biografia i świadectwo* (z Jaromirem Brejdakiem, Dariuszem Kacprzakiem i Beatą Małgorzatą Wolską, Szczecin 2014). Redaktor naczelny (razem z Iną Iwasiów) czasopisma naukowego „Autobiografia”.

Joanna Marcinkowska

Urodziła się w 1988 roku w Jeleniej Górze. Poetka, teatrolożka, poetka, autorka zbioru wierszy *Czarne motyle i Przemilczenia*. Jej wiersze znalazły się w kilku antologiach poezji. Pracuje w Lubuskim Teatrze, fotografuje.

Marcin Mielcarek

Urodzony w 1996 roku w Kaliszu, od kilku lat mieszka w Zielonej Górze. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Debiutował opowiadaniem *Wszystkie nasze Boginie-Matki* w czasopiśmie literackim „Twórczość” (nr 5/2020). Od tamtego czasu publikowany w wielu poważnych ogólnopolskich czasopismach. Autor zbioru opowiadań pod tytułem *Parada myśli nocnych. Sztuka latania*, która ukazała się w 2022 roku w Wydawnictwie Anagram, jest jego debiutem powieściowym. Laureat 8. Konkursu literackiego o tematyce zielonogórskiej – pierwsze miejsce za opowiadanie *Koty nie piją whisky*. Prowadzi bloga, na którym zamieszcza swoje teksty poświęcone szarej egzystencji człowieka. Literacko – brudny realista.

Patrycja Mierzejewska

Prozaiczka i poetka, teksty publikowała w magazynach literackich („Strona Czynna”, „Pro Libris”, „Szpol”), zdobywczyni wyróżnień w kilku konkursach, finalistka Połowy Biura Literackiego. Laureatka Konkursu Debiut Pro Libris (2023 – *Wchłanianie żelaza*). Mieszkanka lubuskich lasów, gdzie spędza czas, podglądając zwierzęta.

Małgorzata Mikołajczak

Prof. dr hab., kierowniczka Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Autorka monografii poświęconych poezji Urszuli Koziół i Zbigniewa Herberta, autorka i współredaktorka monografii na temat literackiego regionalizmu. Opracowała *Wybór poezji Zbigniewa Herberta* w serii Biblioteka Narodowa (Ossolineum 2018).

Agnieszka Moroz

Literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich (*Każdy idzie do nieba*, *Ulica magików*, *Pomiędzy mną a mną*, *Aneks do gier*), monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka Marszałka Województwa Lubuskiego i (dwukrotnie) Prezydenta Gorzowa Wlkp. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Przez 11 lat recenzowała spektakle, widowiska taneczne i opery dla wortalu „Dziennik Teatralny”. Obecnie prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@polawiaczka_ksiazek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

Weronika Nawrocka

Studiuje filologię polską oraz filologię angielską na Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadzi konto na Instagramie, gdzie publikuje swoje recenzje książek (@weronika_nawrocka). Jest miłośniczką starego rocka oraz szeroko pojętej literatury pięknej i klasycznej.

Andrzej Nowak

Aktor, były zastępca dyrektora Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Wykładowca sztuki scenicznej dla studentów UZ. Były kierownik mediateki Góra Mediów w Bibliotece Norwida.

Iwona Peryt-Gierasimczuk

Doktor historii sztuki, konserwator, zabytkoznawca, teoretyczka i krytyczka sztuki, autorka wielu publikacji dotyczących regionalnych założeń architektonicznych i parkowych, opracowań konserwatorskich, również recenzji krytyczno-artystycznych; kurator wielu wystaw (m.in.: A. Buchalik-Drzyzga, W. Michorzewski, M. Kościelniak, K. Bereźnicki, L. Krutulski-Krechowicz), do których tworzy katalogi. Obecnie kierownik Wydziału Kultury Departamentu Infrastruktury Społecznej Lubuskiego Urzędu Marszałkowskiego.

Anna Polak

Doktor nauk humanistycznych, znawczyni historii Łużyc wschodnich Dolnych i Górnych, szczególnie kwestii dotyczących społeczeństwa, zabytków i kultury. Jest autorką i współautorką publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, przewodników turystycznych, a także artykułów prasowych. Brała udział w projektach międzynarodowych dotyczących m.in. województwa lubuskiego. Jednym z bardziej znaczących przedsięwzięć był projekt „Dolne Łużyce i południowa część województwa lubuskiego. Krajobraz kulturowy w centrum Europy”, realizowany przez Uniwersytet Zielonogórski i Brandenburski Uniwersytet Techniczny w Cottbus, a wspierany ze środków Unii Europejskiej. Dwukrotna stypendystka programu Erasmus. Pasionatka fotografii i zdrowego stylu życia. Jest autorką wystaw fotograficznych oraz zdjęć do wielu książek. Wielbicielka turystyki i zwierząt. Ostatnio pracowała jako adiunkt w Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach.

Piotr Prusinowski

Urodził się w 1987 roku w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych w dyscyplinie literaturoznawstwo. Absolwent filologii polskiej w zakresie filmoznawstwa, telewizji i kultury medialnej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. W 2008 roku otrzymał wyróżnienie w Konkursie dla Młodych Krytyków Filmowych im. Krzysztofa Mętraka. Od 2021 roku pracuje na stanowisku sekretarza literackiego i konsultanta programowego w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze.

Grzegorz Pul

Urodził się w 1973 roku. Mieszka w Białymstoku. W 2021 roku Instytut Literatury wydał jego debiut *Ni szagu nazad czyli sztuka łowienia wspomnień*, co było efektem zdobycia wyróżnienia w trzeciej edycji konkursu „Nowego Dokumentu Tekstowego”. Publikuje w „Helikopterze” i TY.TU.Le.

Grażyna Rozwadowska-Bar

Urodziła się w 1959 roku w Żarach. Poetka. Debiutowała wierszem na łamach „Słowa Żarskiego” w 1979 roku, publikowała m.in. w „Nadodrzcu”, „Głosie z Regionów”, lubuskim „Nadodrzcu”, „Radarze”, „Argumentach”, „Pro Libris”, „Gazecie Kulturalnej”, „Toposie”, „pisarze.pl” oraz w wielu antologiach poetyckich. Wydała trzy książki poetyckie. Od 1998 roku jest członkinią ZLP. Mieszka w Żarach.

Robert Rudiak

Urodził się w 1966 roku, poeta, prozaik, literaturoznawca i prasoznawca, historyk literatury regionu, krytyk literacki, regionalista, polonista i bibliotekarz, doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu zbiorów poezji i prozy, monografii naukowych i opracowań redakcyjnych oraz realizator wystaw i filmów dokumentalnych o twórcach lubuskiego środowiska literackiego. Prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, wcześniej był prezesem stowarzyszenia kulturalnego „Debiut”. Laureat ogólnopolskich, międzynarodowych i regionalnych nagród literackich i kulturalnych w kraju i za granicą.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu koło Wolsztyna. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracował m.in. z „Odrą”, „Nadodrzem”, „Gazetą Lubuską”, „Kroniką Ziemi Żarskiej”. Debiutował wierszem w „Nadodrzcu” w 1967 roku. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Laureat wielu prestiżowych nagród. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Mirosława Szott

Urodziła się w 1987 roku w Międzyrzeczu, obecnie mieszka w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku*, *Anna*) oraz monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Otrzymała stypendium artystyczne Miasta Zielona Góra (2015) oraz Nagrodę im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2017). Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie. *Jeszcze żywi* to jej debiutancki dramat.

Marcin Stefaniak

Urodził się w 1975 roku. Uzyskał wykształcenie inżynierskie. Obecnie jest przed debiutem muzyczno-literackim. Pasjonuje go sztuka. Składa się z żółcieni cytrynowej, B12, czerwieni kadmowej + woda.h2o. Mieszka w Łodzi.

Wojciech Śmigieński

Urodził się w 1952 roku w Zielonej Górze. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Poeta, krytyk, tłumacz, doktor nauk humanistycznych. Debiutował zbiorem *Nieobecny nie będzie dziedziczył* (Ossolineum, Wrocław 1977). W roku 1996 ukazały się jego *Wiersze wybrane* (Miniatura, Kraków), kolejne tomy *Tchnienie* i *Śnieżnobiałe wiśnie* zostały wydane przez Pro Libris. Jest autorem książki eseistycznej o Andrzeju Bursie (*Luiza w salonach zmęczonego socjalizmu*) i tomu przekładów Václava Hrabě. Pierwszy redaktor „Obecności”, kwartalnika literackiego wydawanego poza cenzurą w latach 1983-90, we Wrocławiu. Pracował m.in. jako redaktor „Gazety Nowej”, wykładowca Uniwersytetu Zielonogórskiego. Był (od roku 2007) kie-

rownikiem literackim Lubuskiego Teatru im. L. Kruczkowskiego. Jesienią 2002 roku przeniósł się na wieś i zamieszkał w Dronikach, w pobliżu Jeziora Sławskiego.

Barbara Maria Wauben-Czekalska

Rocznik 1985. Lekarka, absolwentka Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu i Uniwersytetu Umeå w Szwecji. Pochodzi z Ostrowa koło Sulęcina, od 11 lat mieszka w Niderlandach. Pracuje jako lekarz rodzinny w ośrodku dla uchodźców w Eelde i gościnnie wykłada „Opiekę zdrowotną dla migrantów” na Uniwersytecie w Groningen.

Adam Bolesław Wierzbicki

Urodził się w 1972 roku. Pisze wiersze, opowiadania i artykuły do gazet. W latach 1995-2005 był związany z lubuską prasą lokalną i regionalną. Wydał dwa arkusze sonetów: *W pogoni za Słońcem* (1997), *Trzy słowa krwią pisane* (1998) oraz dwa tomiki autorskie: *429/01* (2007), *Po przejściach* (2013). Publikował w prasie literackiej oraz w wielu antologiach, almanachach. Otrzymał nagrody, wyróżnienia w ponad stu ogólnopolskich konkursach literackich. W 2014 roku został uhonorowany przez Burmistrza Miasta i Gminy Lubsko Nagrodą Zasłużonego Działacza Kultury w kategorii: twórczość literacka. Mieszka w Dłużku (województwo lubuskie).

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. CYPRIANA NORWIDA w ZIELONEJ GÓRZE

DEBIUT PRO LIBRIS

VII edycja

PRACE LITERACKIE:

- poezja - 30-40 wierszy
- proza - 20-50 s.
- dramat - 20-50 s.

KATEGORIE WIEKOWE:

- 15-25 lat
- 26 lat i więcej

TERMIN ZGŁOSZEŃ - 15.02.2024

OGŁOSZENIE LAUREATÓW -
do 30.06.2024

NAGRODA GŁÓWNA:

publikacja książek laureatów (jeden laureat w każdej kategorii wiekowej)

Konkurs jest skierowany do osób przed debiutem książkowym, wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie.

szczególne regulamin
www.biblioteka.zgora.pl

BIBLIOTEKA NORWID **PRO LIBRIS**

13. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej15.11-1.12.2023
Zielona GóraAnna Tokarska
1936-2013

7.11

18.00

WERNISAŻ

OBRAZY WIERSZAMI MALOWANE

Prezentacja literowa i wizualna: sylwetki i portretów sławnych poetów z 2023 roku próżno przypominając wieloletni program warsztatowy **WISŁAWY SZYMBORSKIEJ** w dniu urodzin 100. rocznicy smutnej śmierci w Bibliotece

ARTYŚCI - MALARZE:

TOMASZ AKUSZ, ANDRZEJ ANDRZEJEWSKI,
NADIA KOTKOWSKA, DARIA WIERCIOCH, KARINA WIKI

Kurator: wybitny Tomasz Akusz

Wytworze czynno do 28 listopada 2023

Galeria i Szafka Biblioteki Norwida, ul. Wojska Polskiego 9

15.11

10.00

KONWERSATORIUM BIBLIOTOKOZNAWCE

WISŁAWY SZYMBORSKIEJ FASCYNACJE FILMOWE

PROF. DR HAB. WOJCIECH LIĘŻA (Uniwersytet Jagielloński)

Koordynator: dr Przemysław Bartkowiak, Program cyfrowy: dr Andrzej Buck

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9, także transmisja online

15.11

18.00

SPEKTAKL

ZEMSTA. Aleksander Fredro

TEATR KSIĘŻY DOROTY z Zagania

Reżyseria: TOMASZ SIEMION

Obsada: Pola CHWAŁEK, Krzysztof DULSKI, Mirosław GOSLER, Grzywa JANCYKO,
Artur KRUK, Kuba MARCZENIA, Hlacyeta OTYLO, Kinga PAKIES, Anna PIKOWSKA,
Martyna PRZYBORSKA, Marek PSIAŃSKI, Tomasz SIEMION, Wojciech SONDŁOWSKI,
Kasper SUPEL, Jęży SZAREK, Lidia WOLANOWSKA, Zdzisław ZACHARCZAK

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

16.11

17.00

CZWARTEK LUBUSKI

DEBIUTY LITERACKIE

- W KATEGORII PROZA: BARBARA CZYŻEWSKA

Spotkanie poprowadzi Magdalena Farań

- W KATEGORII POEZJA: PATRYCJA MIERZEJEWSKA

Spotkanie poprowadzi dr Mirosława Scott

- PROMOCJA LUBUSKIEGO PISMA LITERACKO-KULTURALNEGO

Pro Libris Nr 4 (85) 2023

Spotkanie poprowadzi dr Andrzej Buck, eol. Ewa Mielczarek

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

17.11

17.00

PROJEKCJA FILMOWA

Larysa Kadochnikova. Wojna

Reż. Dmitrij Bortnyczkij, 2022, czas trwania 1h 30'

Film w języku ukraińskim i rosyjskim, napisy w języku angielskim

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

22.11

17.00

CZYTELNIĄ DRAMATU

LETNI DZIEŃ

Autor: Jon Fosse Laureat Literackiej Nagrody Nobla 2023

za nowelisticzną sztukę i prozę, której wyraz Anny, to niewypowiedziane

Reżyseria: Tomasz Mian, Koordynator: dr Janusz Łatwolecki

Gospodarz, pomysłodawca cyklu: dr Andrzej Buck

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

23.11

18.00

WERNISAŻ

DO TRZECH RAZY SZUKA

Wyprawa malarska trzech znanych artystów z Zielonej Góry: malarska, rysunek, grafika

GRZEGÓRZ SKAWIŃSKI, SZYMON CHWAŁUSZ, DARIUSZ KAMYS

Na wernisaż zapraszamy bezpłatnie wszystkich mieszkańców w Bibliotece i Katalogowo-
bibliotecznicy od 30 października

Wytworze czynno do 28 grudnia 2023

Galeria i Szafka Biblioteki Norwida, ul. Wojska Polskiego 9

24.11

17.00

GOŚĆ SPECJALNY FESTIWALU

EWA LIPSKA



SPOTKANIE AUTORSKIE

z jedną z najwybitniejszych polskich poetek połączone z promocją tomiku **MIARACIE GELBERGOWSKIE**, zbioru prozy poetyckiej

Przewodzenie:

ks. dr hab. Andrzej Draguła, prof. UŚ

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

26.11

18.00

MONODRAM

HISTORIA JAKUBA

W roli głównej: LUKASZ LEWANDOWSKI

Opowieść inspirowana prawdziwą historią kłajdy i kłajda

Benedykta Jakuba Weklera-Wanckera. Autor: Tadeusz Słobodzianek

Reżyseria: Alibona Figura, scenografia: Joanna Zemanek

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

27.11

17.00

PROMOCJA KSIĄŻKI

Antologia *Szpiadki. 10 poetek niemieckich*

pod redakcją TOMASZA OSOŚNIEGIEGO, poety, germanisty,

filologa klasycznego, tłumacza, wydawcy

Prezentacja wierszy w języku niemieckim i polskim.

Rozmowę z redaktorem poprowadzi dr Joanna Kapka-Czyżyk

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

29.11

17.00

PROMOCJA KSIĄŻKI

ANTOLOGIA ZIELONOGÓRSKIEGO DRAMATU

Tędy wybrali, postawili i notami biograficznymi opatrzył Andrzej Buck

Spotkanie poprowadzi red. Ewa Mielczarek

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

30.11

17.00

CZWARTEK LUBUSKI

ANTOLOGIA POEZJI LUBUSKIEJ 2007-2022

pod redakcją prof. dr hab. Małgorzaty Mikolajczak, dr Mirosławy Scott

Spotkanie poprowadzi red. Ewa Mielczarek

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

30.11

18.30

SPACER SZLAKIEM POETKI

DROGAMI ANNY TOKARSKIEJ

Na wernisaż zapraszamy dr Mirosława Scott

Zbiórka: Gmach główny Biblioteki Norwida, ul. Wojska Polskiego 9

1.12

18.00

SPOTKANIE AUTORSKIE

TOMASZ RÓŻYCKI

Poeta, tłumacz, krytyk, laureat licznych nagród

Spotkanie połączone z promocją zbioru wierszy *Ryko pasciellose*

Spotkanie poprowadzi dr Mirosława Scott

Sala im. Janusza Korcia, ul. Wojska Polskiego 9

Kurator programowy dr Andrzej Buck

